

A movie poster for the film 'Lektor' by Bernhard Schlink. The image features a man and a woman in a close, intimate pose, possibly in a bathtub, with dramatic lighting highlighting their profiles against a dark background. The man is on the left, looking towards the woman on the right. The woman's hair is wet and slicked back. The overall mood is contemplative and emotional.

Bernhard
Schlink

Lektor

Bernhard Schlink

Lektor

(Der Vorleser)

Przełożyła Maria Podlasek-Ziegler

Część Pierwsza

Kiedy miałem piętnaście lat, zachorowałem na żółtaczkę. Choroba zaczęła się jesienią, a skończyła na wiosnę. Im było zimniej i ciemniej w starym roku, tym bardziej opadałem z sił. Dopiero wraz z początkiem nowego roku zaczęło mi się polepszać. Styczeń był ciepły, matka przygotowała więc dla mnie łóżko na balkonie. Widziałem niebo, słońce, chmury i słyszałem dzieci bawiące się na podwórzu. Pewnego razu w lutym wczesnym wieczorem usłyszałem śpiewającego kosa.

Pierwsze kroki zaprowadziły mnie z ulicy Blumenstrasse, gdzie mieszkaliśmy na drugim piętrze masywnego domu wybudowanego na przełomie wieków, na Bahnhofstrasse. Tam, gdzie zwymiotowałem w pewien poniedziałek w październiku w drodze ze szkoły do domu. Już od wielu dni byłem wtedy słaby, tak słaby jak jeszcze nigdy w życiu. Każdy krok kosztował mnie sporo wysiłku. Kiedy w domu lub szkole wchodziłem po schodach, ledwo trzymałem się na nogach. Nie miałem także apetytu. Nawet gdy zasiadałem do stołu głodny, wkrótce pojawiała się uczucie obrzydzenia. Rano budziłem się z zaschniętymi ustami i poczuciem, że moje organy są ciężkie i nie leżą wewnątrz ciała na właściwym miejscu. Wstydzilem się tego, że byłem taki słaby. Wstydzilem się zwłaszcza wtedy, gdy zwymiotowałem. Również i to nie przytrafiło mi się jeszcze nigdy w życiu. Moje usta wypełniły się czymś, próbowałem wszystko połknąć, zacisnąłem wargi, zasłoniwszy je ręką,

jednak to przelało się przez usta i palce. Potem oparłem się o ścianę domu i patrzyłem na wymiociny u swoich stóp, przełykając z trudem masy śluzu.

Kobieta, która się mną zajęła, zrobiła to niemal obcesowo. Ujęła mnie za ramię i zaprowadziła przez ciemną bramę na podwórze. Górą z okna do okna rozciągnięte były sznury, na których wisiało pranie. Na podwórzu zmagazynowane było drewno; w otwartym warsztacie jazgotała piła i leciały wióry. Obok drzwi prowadzących na podwórze znajdował się kurek od wody. Kobieta odkręciła go, umyła w pierwszej kolejności moją rękę, a następnie chlusnęła mi w twarz wodą, którą nabrała w zagłębienie dłoni. Otarłem się chusteczką do nosa.

– Weź to drugie! – Obok kurka stały dwa wiadra, chwyciła jedno z nich i napełniła je wodą. Ja napełniłem drugie i podążyłem w ślad za nią przez korytarz. Zamachnęła się szeroko, woda plusnęła o chodnik, zmywając wymiociny do rynsztoka. Wzięła mi z ręki wiadro i puściła na chodnik kolejny strumień wody.

Wyprostowała się i zobaczyła, że płaczę. – Chłopczyku – powiedziała ze zdziwieniem – chłopczyku. – Wzięła mnie w ramiona. Byłem od niej niewiele większy, czułem jej biust na swojej piersi, w ciasnym objęciu czułem swój nieprzyjemny oddech i jej świeży pot i nie wiedziałem co począć z rękami. Przestałem płakać.

Zapytała, gdzie mieszkam, odstawiła wiadra na korytarz i odprowadziła mnie do domu. Szła obok, w jednej ręce niosąc moją

teczkę, drugą trzymając mnie za ramię. Z ulicy Bahnhofstrasse na Blumenstrasse nie jest daleko. Szła szybko, ze zdecydowaniem, przez co łatwiej było mi dotrzymać jej kroku. Pożegnała się przed naszym domem.

Tego samego dnia matka sprowadziła lekarza, który stwierdził żółtaczkę. Opowiedziałem jej kiedyś o tej kobiecie. Nie sądzę, żebym ją w innym przypadku odwiedził. Dla matki było jednak oczywiste, że gdy tylko będę mógł, kupię z kieszonkowego bukiet kwiatów, przedstawię się i podziękuję. W ten sposób pod koniec lutego poszedłem na Bahnhofstrasse.

Dom na Bahnhofstrasse dziś już nie istnieje. Nie wiem, kiedy i dlaczego został zburzony. Przez wiele lat nie byłem w rodzinnym mieście. Nowy dom, zbudowany w latach siedemdziesiątych albo osiemdziesiątych, ma pięć pięter oraz zaadaptowane na mieszkanie poddasze, obywa się bez wykuszy, balkonów i pokrywa go gładki, jasny tynk. Liczne dzwonki zapowiadają liczne małe mieszkania. Są to mieszkania, do których człowiek się wprowadza i z których się wyprowadza, tak jak wynajmuje i odstawia samochód. Na parterze znajduje się teraz sklep komputerowy; wcześniej była tam samoobsługowa drogeria, sklep spożywczy i wypożyczalnia kaset wideo.

Stary dom miał tę samą wysokość, a przy tym cztery kondygnacje; parter z piaskowcowych ciosów szlifowanych diamentem, a powyżej trzy piętra z cegły z piaskowcowymi wykuszami, balkonami i obramieniami okien. Do klatki schodowej na parterze prowadziło kilka stopni, na dole szerszych, węższych u góry, z obydwu stron otoczonych murkami, które podtrzymywały metalową balustradę i u dołu zakończone były ślimacznicą. Po obu bokach drzwi stały kolumny, z rogów architrawy jeden lew spoglądał w górę ulicy Bahnhofstrasse, a drugi w dół. Brama, przez którą kobieta zaprowadziła mnie na podwórze do kurka od wody, była bocznym wejściem.

Już jako mały chłopiec zwróciłem uwagę na ten dom. Dominował on

w szeregu domów. Myślałem, że jeśli stanie się jeszcze cięższy i szerszy, sąsiadujące z nim budynki będą musiały ustąpić na bok i zrobić mu miejsce. Wewnątrz wyobrażałem sobie klatkę schodową ze sztukaterią, lustrami i orientalnym wzorzystym chodnikiem, który przytrzymują na stopniach wypolerowane do połysku mosiężne pręty. Spodziewałem się, że w wielkopańskim domu mieszkają wielcy panowie. Ponieważ pociemniał on jednak z upływem lat od dymu pociągów, w ponurych barwach wyobrażałem sobie jego arystokratycznych mieszkańców, którzy może zdziwaczeli, byli głusi albo niemi, garbaci albo kulawi.

W późniejszych latach ten dom ciągle mi się śnił. Sny były podobne: odmiany jednego snu i tematu. Idę przez obce miasto i widzę ów dom. Stoi w szeregu budynków w dzielnicy, której nie znam. Idę dalej, zmieszany, gdyż znam dom, lecz nie znam dzielnicy. Później przychodzi mi do głowy, że już go widziałem. Nie myślę przy tym o Bahnhofstrasse w rodzinnym mieście, lecz o innym mieście lub innym kraju. We śnie jestem na przykład w Rzymie, widzę tam ten dom i przypominam sobie, że widziałem go już w Bernie. To wyśnione wspomnienie mnie uspokaja; widok domu w innym otoczeniu nie wydaje mi się dziwniejszy niż przypadkowe spotkanie ze starym przyjacielem w obcej scenerii. Zawracam w kierunku domu, wchodzę po schodach. Chcę wejść do środka. Naciskam klamkę.

Kiedy widzę ten dom na wsi, sen trwa dłużej albo lepiej pamiętam później jego szczegóły. Jadę samochodem. Po prawej stronie widzę dom,

jadę jednak dalej, w pierwszej chwili zmieszany tylko dlatego, że dom, którego miejsce jest niewątpliwie w szeregu budynków przy miejskiej ulicy, stoi w szczerym polu. Potem przychodzi mi do głowy, że już go widziałem i to wprawia mnie w podwójne zmieszanie. Kiedy sobie przypominam, gdzie go spotkałem, zawracam. We śnie droga jest zawsze pusta, mogę zawrócić z piskiem opon i jechać z powrotem z dużą prędkością. Boję się, że mogę się spóźnić, jadę więc szybciej. Po chwili go widzę. Otoczony jest polami; rzepak, zboże lub winogrona w Palatynacie, lawenda w Prowansji. Okolica jest równinna albo pokryta najwyżej łagodnymi wzgórzami. Nie ma żadnych drzew. Dzień jest bardzo pogodny, świeci słońce, drży powietrze, a droga błyszczy od upału. Przeciwpozarowe mury przydają domowi odosobnionego, niedokończonego wyglądu. Mogłyby one otaczać jakikolwiek budynek. Dom nie jest bardziej ponury niż ten na Bahnhofstrasse. Jednak okna pokryte są całkowicie kurzem i nie widać przez nie przedmiotów znajdujących się w pomieszczeniach, nawet firanek. Dom jest ślepy.

Zatrzymuję się na skraju drogi, przechodzę na drugą stronę, zmierzając w kierunku wejścia. Nikogo nie widać, nic nie słychać, nawet odgłosu silnika, wiatru, ptaka. Świat jest martwy. Wchodzę na górę po schodach i naciskam klamkę.

Nie otwieram jednak drzwi. Budzę się i wiem tylko tyle, że chwyciłem za klamkę i ją nacisnąłem. Po chwili przypominam sobie sen w całości i że już mi się to śniło.

Nie znałem nazwiska tej kobiety. Z bukietem kwiatów w ręku stałem niezdecydowany przed drzwiami i dzwonkami. Najchętniej zawróciłbym. Z domu wyszedł jednak jakiś mężczyzna, zapytał, kogo szukam, i posłał mnie do pani Schmitz mieszkającej na trzecim piętrze.

Żadnej sztukaterii, żadnych luster, żadnego chodnika. Nieporównywalna z przepychem fasady skromna uroda, którą klatka schodowa kiedyś może się odznaczała, dawno przeminęła. Czerwona farba na stopniach była środkiem wytarta, tłoczone, zielone linoleum przyklejone przy schodach do ściany na wysokości ramienia – zniszczone, a tam, gdzie w balustradzie brakowało prętów, naciągnięty był sznurek. Pachniało środkami czystości. Możliwe, że dopiero później zwróciłem na to wszystko uwagę. Zawsze było tam równie nędznie, jak czysto i zawsze czuć było ten sam zapach środków czystości, zmieszany czasem z zapachem kapusty albo grochu, pieczeni albo gotującej się bielizny. O pozostałych mieszkańcach domu nigdy niczego się nie dowiedziałem, znałem tylko te zapachy, wycieraczki przed drzwiami mieszkań i wizytówki pod przyciskami dzwonek. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek spotkał kogoś na klatce schodowej.

Nie pamiętam już także, jak powitałem panią Schmitz. Prawdopodobnie ułożyłem sobie w głowie dwa, trzy zdania o mojej chorobie, jej pomocy, mojej wdzięczności i je wyrecytowałem.

Zaprowadziła mnie do kuchni.

Kuchnia była największym pomieszczeniem w mieszkaniu. Stał tam piec i zlew, wanna i piecyk łazienkowy, stół i dwa krzesła, kredens, szafa i sofa. Sofa przykryta była czerwoną aksamitną narzutą. W kuchni nie było okna. Światło wpadało przez szyby w drzwiach prowadzących na balkon – skąpe światło; jasno było tam tylko wtedy, gdy drzwi pozostawały otwarte. Wówczas słyszało się dochodzący ze stolarni na podwórzu jazgot piły i czuło się zapach drewna.

Do mieszkania należał ponadto wąski, ciasny pokój z bufetem, stołem, czterema krzesłami, fotelem z wysokim oparciem i piecem. Ten pokój zimą prawie nigdy nie był ogrzewany, a i latem rzadko się z niego korzystało. Jego okno wychodziło na Bahnhofstrasse; widać było przez nie teren dawnego dworca przekopany wzdłuż i wszerz, na którym tu i ówdzie położono już fundamenty pod nowe budynki sądu i urzędów. Wreszcie do mieszkania należała również ciemna ubikacja. Gdy śmierdziało w ubikacji, śmierdziało także w przedpokoju.

Nie pamiętam już, o czym rozmawialiśmy w kuchni. Pani Schmitz prasowała; na stole rozłożyła wełniany koc i prześcieradło, wyjmowała z kosza jedną wypraną rzecz po drugiej, prasowała, składała i odkładała ją na jedno z dwóch krzesel. Na drugim siedziałem ja. Prasowała również bieliznę osobistą, nie chciałem wtedy patrzeć, nie potrafiłem jednak odwrócić wzroku. Miała na sobie podomkę bez rękawów w kolorze niebieskim w małe, wyblakłe czerwone kwiaty. Płowe włosy

sięgające do ramion spięła na karku klamrą. Jej nagie ramiona były białe. Ruchy rąk podnoszących żelazko, prowadzących i odstawiających je, a potem składających i odkładających wyprane rzeczy były wolne i skoncentrowane, tak samo wolno i z koncentracją poruszała się, schylała i wyprostowywała. Jej ówczesną twarz przesłoniły w mojej pamięci jej późniejsze twarze. Kiedy przywołuję ją taką, jaka była wówczas, wtedy pojawia się bez twarzy. Muszę tę twarz rekonstruować. Wysokie czoło, wysokie kości policzkowe, bladoniebieskie oczy, pełne, równomiernie wykrojone wargi bez zagłębień, mocny podbródek. Szeroka, surowa kobieca twarz. Wiem, że wydawała mi się piękna. Tego piękna nie mam już jednak przed oczami.

– Zaczekaj – powiedziała, kiedy się podniosłem i chciałem odejść – ja też muszę wyjść, pójdę z tobą.

Czekałem w przedpokoju, kiedy ona przebierała się w kuchni. Drzwi były uchylone. Zdjęła podomkę i stała w jasnozielonej halce. Przez oparcie krzesła przewieszzone były dwie pończochy. Wzięła jedną z nich i zwinęła w rolkę, chwytając na przemian to prawą ręką, to lewą. Balansowała przez chwilę na jednej nodze, oparłszy na jej kolanie piętę drugiej nogi, pochyliła się w przód, nałożyła zrolowaną pończochę na czubki palców, postawiła stopę na krześle, naciągnęła pończochę na łydkę, kolano i udo, przechyliła się w bok i przymocowała pończochę do podwiązki. Wyprostowała się, zdjęła stopę z krzesła i sięgnęła po drugą pończochę.

Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Od jej karku i od jej ramion, od jej piersi, które halka bardziej otulała, niż zasłaniała, od jej pupy, na której halka była napięta, kiedy opierała stopę na kolanie, a potem postawiła ją na krześle, od jej nogi, z początku nagiej i białej, a później lśniącej jedwabiście w pończosze.

Poczuła mój wzrok. Znieruchomiła, sięgając po drugą pończochę, odwróciła się w stronę drzwi i spojrzała mi w oczy. Nie wiem, jak patrzyła – ze zdziwieniem, pytająco, znacząco, z naganą? Poczzerwieniałem. Przez krótką chwilę stałem z palącą twarzą. Później

nie wytrzymałem, wypadłem z mieszkania, zbiegłem pędem po schodach i wybiegłem z domu.

Szedłem wolno. Bahnhofstrasse, Hauserstrasse, Blumenstrasse – od lat była to moja droga do szkoły. Znałem tu każdy dom, każdy ogród i każdy płot, ten, który co roku był świeżo odmalowywany, ten, którego drewno tak poszarzało i zbutwiało, że mogłem je rozgnieść w ręce, metalowe ogrodzenia, wzdłuż których biegałem jako dziecko, dzwoniąc w ich pręty kijem, i wysokie ceglane mury, za którymi moja fantazja wyczarowywała rzeczy cudowne i przerażające, dopóki nie wdrapałem się na nie i nie zobaczyłem nudnych rzędów zaniedbanych grządek z kwiatami, jagodami i warzywami. Znałem bruk i asfalt na ulicy oraz zmieniające się płyty, ułożone w fale bazaltowe klocki, asfalt i szuter na chodniku.

Wszystko było mi znajome. Kiedy serce przestało szybciej uderzać, a twarz płonąć, spotkanie między kuchnią a przedpokojem wydawało się już dalekie. Byłem zły. Uciekłem jak dziecko, zamiast zareagować tak suwerennie, jak się tego po sobie spodziewałem. Nie miałem już dziewięciu, miałem piętnaście lat. Jednak pozostawało dla mnie zagadką, na czym miałyby polegać taka suwerenna reakcja.

Drugą zagadką było samo spotkanie między kuchnią a przedpokojem. Dlaczego nie mogłem oderwać od niej wzroku? Miała bardzo mocne i bardzo kobiece ciało, pełniejsze niż dziewczęta, które mi się podobały i za którymi się oglądałem. Byłem pewien, że nie zwróciłbym na nią

uwagi, gdybym ją zobaczył na basenie. Nie ukazywała również więcej nagości niż dziewczęta i kobiety, które tam już widziałem. Poza tym była znacznie starsza od dziewcząt, o których marzyłem. Po trzydziestce? Trudno jest oszacować wiek, którego się jeszcze nie przekroczyło lub nie przekroczy w najbliższym czasie.

Wiele lat później wpadłem na to, że nie mogłem oderwać od niej wzroku nie tylko z powodu jej sylwetki, lecz ze względu na pozycje i ruchy jej ciała. Prosiłem swoje kobiety, żeby nakładały pończochy, nie chcąc jednak objaśniać tej prośby, opowiadać o zagadce spotkania między kuchnią a przedpokojem. Dlatego prośba odbierana była jako życzenie dotyczące podwiązek, koronek i innych erotycznych ekstrawagancji i jeśli została spełniona, to w kokieteryjnej pozie. To nie dlatego nie mogłem oderwać od niej wzroku. Ona nie pozowała, nie kokietowała. Nie przypominam sobie, żeby to kiedykolwiek robiła. Pamiętam, że jej ciało, jego pozycje i ruchy sprawiały czasami wrażenie ociężałych. Nie znaczy to, że ona była tak ciężka. Wydawało się raczej, że zamknęła się we wnętrzu swojego ciała, pozostawiając je samemu sobie i własnemu spokojnemu rytmowi, nie zakłócanemu żadnym rozkazem głowy i zapomniała o świecie zewnętrznym. Zapomniała tak samo o całym świecie, kiedy nakładała pończochy, i widać to było w jej pozycjach i ruchach. Jednak wtedy nie była ociężała, lecz płynna, pełna wdzięku, uwodzicielska – uwodzenie, które nie ma nic wspólnego z piersiami, pupą i nogami, lecz jest zaproszeniem, by we wnętrzu ciała

zapomnieć o świecie.

Tego wtedy nie wiedziałem – o ile to teraz wiem, a nie próbuję sobie wszystkiego tylko wytłumaczyć. Jednak gdy myślałem wówczas o tym, co mnie tak podnieciło, wracało podniecenie. Żeby rozwikłać tę zagadkę, przywołałem w pamięci owo spotkanie, i zniknął dystans, który sam stworzyłem, robiąc z niego zagadkę. Znowu miałem wszystko przed oczami i znowu nie mogłem oderwać wzroku od tego obrazu.

Tydzień później znowu stałem przed jej drzwiami.

Przez cały tydzień usiłowałem o niej nie myśleć. Nie było jednak takiej rzeczy, która mogłaby mnie pochłonąć i rozproszyć moją uwagę; lekarz nie pozwolił mi jeszcze chodzić do szkoły, po miesiącach czytania miałem dosyć książek, a koledzy do mnie wprawdzie zaglądali, jednak byłem chory tak długo, że te wizyty nie mogły już przerzucić pomostu między ich życiem codziennym a moim i były coraz krótsze. Miałem chodzić na spacer, codziennie trochę dalej, nie przemęczając się. Wysilek by mi się przydał.

Cóż to za zaklęty czas – czas choroby w dzieciństwie i latach młodości! Świat zewnętrzny, świat wolnego czasu na podwórzu, w ogrodzie albo na ulicy dociera do pokoju chorego jedynie w formie przytłumionych odgłosów. Wewnątrz panoszy się świat historii i postaci, o których chory czyta. Pod wpływem gorączki przytępiającej zmysły i wyostrejającej wyobraźnię jego pokój przekształca się w nowe, znajome i obce zarazem pomieszczenie; we wzorach zasłony i tapety ukazują się poczarne gęby potworów, a krzesła, stoły, regały i szafa spiętrzają się w góry, budowle albo statki, będące jednocześnie w zasięgu ręki i w oddaleniu. Podczas długich nocnych godzin choremu towarzyszą uderzenia zegara na kościelnej wieży, pomruk przejeżdżających niekiedy samochodów i odblask ich reflektorów przesuwany się po ścianach

i sutficie. Są to godziny bez snu, lecz nie bezsenne godziny, nie godziny niedoboru, lecz godziny obfitości. Wspomnienia, tęsknoty, obawy, pragnienia aranżują labirynty, w których chory gubi się, odnajduje, znowu się gubi. Są to godziny, podczas których wszystko jest możliwe, tak rzeczy dobre, jak i złe.

To mija, kiedy chory poczuje się lepiej. Jeśli choroba trwała jednak dość długo, pokój chorego jest wtedy zaimpregnowany tym wszystkim, a powracający do zdrowia, choć nie ma już gorączki, gubi się jeszcze w labiryntach.

Co rano budziłem się z wyrzutami sumienia, czasami ze zwilgotniałymi lub poplamionymi spodniami piżam. Obrazy i sceny, które mi się śniły, nie były przyzwoite. Wiedziałem, że matka, proboszcz, który przygotowywał mnie do konfirmacji i którego obdarzałem głębokim szacunkiem, starsza siostra, której powierzałem tajemnice dziecięcych lat, mnie na pewno nie zgania. Napomną mnie jednak w czuły, zatroskany sposób, który był gorszy od nagany. Szczególnie nieprzyzwoite było to, że jeśli nie śniłem pasywnie o tych obrazach i scenach, fantazjowałem o nich aktywnie.

Nie wiem, skąd zebrałem na tyle odwagi, żeby pójść do pani Schmitz. Czy moralne wychowanie obraca się niejako przeciw sobie? Skoro pożądlive spojrzenie było równie naganne, co zaspokojenie pożądania, aktywne fantazjowanie równie naganne, co wyfantazjowany akt – dlaczego więc nie chcieć zaspokojenia i aktu? Co dzień przekonywałem

się na nowo, że nie potrafię porzucić grzesznych myśli. Wtedy zapragnąłem również grzesznego czynu.

Była jeszcze kolejna refleksja. Pójście tam mogło być niebezpieczne. Jednak realność tej groźby była właściwie znikoma. Pani Schmitz powita mnie ze zdziwieniem, wysłucha usprawiedliwienia mojego dziwaczego zachowania i uprzejmie mnie pożegna. Niebezpieczniej było tam nie iść; ryzykowałem, że nie uwolnię się od swoich fantazji. A więc słusznie postępowałem, idąc tam. Ona zachowa się normalnie, ja zachowam się normalnie i wszystko znowu wróci do normy.

Tak wówczas mędrkowałem, zamieniając pożądanie w pozycję osobliwej moralnej kalkulacji i tłumiąc wyrzuty sumienia. Przez to nie zdobyłem się jednak na odwagę, żeby pójść do pani Schmitz. Jedną rzeczą było układać sobie w głowie, dlaczego matka, obdarzany głębokim szacunkiem ksiądz i starsza siostra, gdyby się gruntownie zastanowili, nie mogliby mnie powstrzymać, lecz musieliby prosić, żebym do niej poszedł. Czymś zupełnie innym było faktycznie do niej pójść. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Dziś w tamtych zdarzeniach dostrzegam pewien wzór, według którego przez całe moje życie myślenie i działanie łączyły się ze sobą lub się nie łączyły. Myślę, dochodzę do jakiegoś wniosku, utrwalam wniosek w decyzji i przekonuję się, że działanie jest rzeczą samą w sobie i może być następstwem decyzji, ale nie musi. Nazbyt często robiłem w ciągu życia rzeczy, na które się nie zdecydowałem, a nie robiłem tego, na co się

zdecydowałem. Coś, czymkolwiek by to nie było, zaczyna działać; prowadzi do kobiety, której nie chcę już widzieć, robi w stosunku do przełożonego uwagę, przez którą muszę nadstawić głowę, nadal pali papierosy, chociaż zdecydowałem się rzucić palenie, i rzuca palenie, kiedy doszedłem do przekonania, że jestem i zostanę palaczem. Nie twierdzę, że myślenie i podejmowanie decyzji nie ma wpływu na działanie. Jednak działanie nie jest automatycznie wynikiem tego, co wcześniej zostało pomyślane i zdecydowane. Ma ono swoje własne źródło i w równie samodzielny sposób jest moim działaniem, tak jak moje myślenie jest moim myśleniem, a moje decydowanie moim decydowaniem.

Nie zastałem jej w domu. Brama kamienicy była uchylona, wszedłem po schodach na górę, zadzwoniłem i poczekałem chwilę. Zadzwoniłem jeszcze raz. W mieszkaniu wszystkie drzwi były otwarte, widziałem to przez szybę drzwi wejściowych, rozpoznając w przedpokoju lustro, wieszak na ubrania i zegar. Słyszałem jego tykanie.

Usiadłem na stopniach i czekałem. Nie czułem ulgi, jak to zwykle bywa, kiedy powziąwszy jakąś decyzję, ktoś ma niedobre uczucie, boi się konsekwencji, cieszy się więc, że wykonał postanowienie, konsekwencje go jednak ominęły. Nie byłem również rozczarowany. Postanowiłem ją zobaczyć i czekać, aż przyjdzie.

Zegar w przedpokoju wybijał każdy kwadrans, każde pół godziny i każdą pełną godzinę. Próbowałem nadążać za jego cichym tykaniem i liczyć wraz z nim owe dziewięćset sekund między jednym uderzeniem a drugim, jednak ciągle coś odwracało moją uwagę. Na podwórzu jazgotała piła stolarza, z któregoś mieszkania w kamienicy dochodziły głosy albo muzyka, zatrzasnęły się jakieś drzwi. Po chwili usłyszałem, jak ktoś wchodzi po schodach równomiernym, powolnym, ociężałym krokiem. Liczyłem na to, że ten ktoś mieszka na drugim piętrze. Jeśli mnie zobaczy – jak miałem wyjaśnić, co tutaj robię? Jednak kroki nie zatrzymały się na drugim piętrze. Zbliżały się coraz bardziej. Podniosłem się.

To była pani Schmitz. W jednej ręce trzymała węglarkę z koksem, w drugiej pojemnik z brykietami. Miała na sobie mundur, marynarkę i spódnicę, poznałem więc, że była konduktorką tramwajową. Nie widziała mnie, dopóki nie znalazła się na podeście. Nie miała zirytowanego, zdziwionego czy ironicznego spojrzenia – nic z tych rzeczy, których się obawiałem. Wyglądała na zmęczoną. Kiedy odstawiła węgiel i w kieszeni marynarki zaczęła szukać klucza, na ziemi zabrzęczały monety. Pozbierałem pieniądze i jej podałem.

– Na dole w piwnicy stoją jeszcze dwie węglarki. Napelnisz je i przyniesiesz na górę? Drzwi są otwarte.

Zbiegłem pędem po schodach. Drzwi prowadzące do piwnicy były otwarte, paliło się tam światło, na dole przy długich piwnicznych schodach odnalazłem komórkę z desek. Drzwi do niej były tylko przymknięte, na ryglu wisiała otwarta kłódka. W tym dużym pomieszczeniu koks piętrzył się aż do otworu pod sufitem, przez który wsypywano go z ulicy. Po jednej stronie ułożone były porządnie warstwy brykietu, a po drugiej stały węglarki.

Nie wiem, jaki błąd popełniłem. W domu również przynosiłem z piwnicy węgiel i nigdy nie miałem z tym kłopotów. Tam koks nie był jednak usypany tak wysoko. Napelnianie pierwszej węglarki poszło nieźle. Kiedy złapałem za uchwyty drugiej i chciałem nabrać koksu przy ziemi, góra została wprowadzona w ruch. Małe bryłki w dużych, a duże w małych podskokach stoczyły się w dół, niżej wszystko zaczęło się

obsuwać, a przy ziemi toczyć i przemieszczać. W górę wzbiła się chmura czarnego pyłu. Zatrzymałem się przestraszony, dostałem kilkoma bryłkami i po chwili stałem w koksie po kostki.

Kiedy góra znieruchomiła, wyszedłem z koksu, napełniłem drugą węglarkę, rozejrzałem się za miotłą, zgarnąłem nią do komórki bryłki, które wypadły na korytarz piwnicy, zamknąłem drzwi i wyniosłem na górę obydwie węglarki.

Kobieta zdjęła marynarkę, rozluźniła krawat, rozpięła guzik bluzki u samej góry i siedziała przy kuchennym stole ze szklanką mleka. Na mój widok zaśmiała się najpierw powstrzymywanym, stłumionym śmiechem, a potem na całe gardło. Pokazywała na mnie palcem, drugą ręką uderzając w stół. – Jak ty wyglądasz, chłopczyku, jak ty wglądasz! – Wtedy i ja zobaczyłem w lustrze nad zlewem swoją czarną twarz i zawtórowałem jej śmiechem.

– Tak nie możesz iść do domu. Napuszczę ci wody na kąpiel i wytrzępię twoje rzeczy. – Podeszła do wanny i odkręciła kurek. Dymiąca woda wlewała się do wanny ze szmerem. – Zdejmuj ubrania ostrożnie, nie chcę mieć w kuchni czarnego pyłu.

Zawahałem się, zdjąłem sweter, koszulę i znowu się zawahałem. Woda szybko się podnosiła, wanna była już prawie pełna.

– Chcesz się kąpać w butach i spodniach? Chłopczyku, ja nie patrzę. – Kiedy jednak zakręciłem kran i zdjąłem nawet slipy, mierzyła mnie spokojnie wzrokiem. Poczerwieniałem, wszedłem do wanny

i zanurzyłem się całkowicie w wodzie. Kiedy się wynurzyłem, była z moimi rzeczami na balkonie. Słyszałem, jak uderza but o but, trzepie spodnie i sweter. Krzyknęła coś w dół, przez węglowy pył i wióry, z dołu ktoś na to odkrzyknął, a ona się zaśmiała. Wróciwszy do kuchni, położyła moje rzeczy na krześle. Rzuciła ku mnie jedynie szybkie spojrzenie. – Weź szampon i umyj sobie włosy. Zaraz przyniosę frotowy ręcznik. – Wyjęła coś z szafy i wyszła z kuchni.

Myłem się. Woda w wannie była brudna, dolałem więc świeżej, żeby pod jej strumieniem wypłukać głowę i twarz. Potem leżałem, słyszałem buzujący piecyk, czułem na twarzy zimne powietrze napływające przez uchylone kuchenne drzwi, a na ciele ciepłą wodę. Było mi przyjemnie. To uczucie było podniecające i moje przyrodzenie stężało.

Nie podniosłem wzroku, kiedy weszła do kuchni, lecz dopiero wtedy, gdy stała już przy wannie. W rozpostartych ramionach trzymała duży ręcznik. – Chodź! – Byłem odwrócony do niej plecami, podnosząc się i wychodząc z wanny. Otuliła mnie od tyłu w ręcznik, od stóp do głów, i zaczęła wycierać do sucha. Po jakimś czasie upuściła ręcznik na podłogę. Nie miałem odwagi się poruszyć. Podeszła do mnie tak blisko, że poczułem na plecach jej piersi, a na pupie jej brzuch. Ona też była naga. Objęła mnie ramionami, kładąc jedną ręką na moich piersiach, a drugą na sztywnym przyrodzeniu.

– Po to tu przecież przyszedłeś!

– Ja... – Nie wiedziałem co powiedzieć. Nie powiedziałem ani tak, ani

nie. Odwróciłem się do niej. Nie widziałem jej wyraźnie. Staliśmy zbyt blisko siebie. Byłem jednak porażony obecnością jej nagiego ciała. – Jakże jesteś piękna!

– Ach, chłopczyku, co ty mówisz. – Zaśmiała się, zarzucając mi ramiona na szyję. I ja wziąłem ją w ramiona.

Bąłem się: dotykania, całowania, tego, że jej się nie spodobam i jej nie sprostam. Kiedy jednak obejmowaliśmy się już przez jakiś czas, czułem jej zapach, jej ciepło i siłę, wszystko stało się oczywiste. Poznawanie jej ciała za pomocą rąk i ust, spotkanie naszych ust i wreszcie ona nade mną, oko w oko, aż do mojego orgazmu, kiedy zacisnąłem mocno powieki i próbowałem się początkowo opanować, wreszcie zacząłem jednak krzyczeć tak głośno, że stłumiła ten krzyk ręką na moich ustach.

Następnej nocy zakochałem się w niej. Nie spałem głęboko, tęskniłem za nią, śniłem o niej, miałem wrażenie, że ją czuję, dopóki nie zauważyłem, że obejmowałem poduszkę albo kołdrę. Usta miałem obolałe od całowania. Moje przyrodzenie ciągle drgało, nie chciałem się jednak onanizować. Nigdy więcej nie chciałem się już onanizować. Pragnąłem być z nią.

Czy zakochałem się w niej za to, że ze mną spała? Do dzisiaj, po nocy spędzonej z kobietą, pojawia się uczucie, że byłem rozpieszczany i muszę to wynagrodzić – tej kobiecie, przynajmniej starając się ją pokochać, jak również światu, któremu stawiam czoło.

Jedno z nielicznych, żywych wspomnień, jakie zachowałem z wczesnego dzieciństwa, dotyczy pewnego zimowego poranka, kiedy miałem cztery lata. Pokój, w którym wówczas spałem, nie był ogrzewany, rano i wieczór było w nim często bardzo zimno. Pamiętam ciepłą kuchnię i gorący piec, ciężki stalowy sprzęt, w którym widoczny był ogień, kiedy za pomocą pogrzebacza odsuwało się płyty i obręcze zakrywające otwory w blasze, i na którym zawsze stała w pogotowiu miednica ciepłej wody. Matka przysunęła do pieca krzesło, na którym stałem, podczas gdy ona myła mnie i ubierała. Pamiętam przyjemne uczucie ciepła i rozkosz, jaką sprawiało mi mycie i ubieranie w tym ciepłe. Pamiętam także, że zawsze gdy przychodziła mi na myśl ta

sytuacja, zadawałem sobie pytanie, dlaczego matka mnie tak rozpieszczała. Czy byłem chory? Czy rodzeństwo dostało coś, czego ja nie dostałem? Czy w ciągu dnia czekała mnie jakaś nieprzyjemna, trudna rzecz i musiałem przez to przejść?

Ponieważ kobieta, dla której w myślach nie miałem imienia, tak rozpieszczała mnie. Po południu, następnego dnia poszedłem do szkoły. Pragnąłem ponadto zademonstrować dopiero co zdobytą męskość. Nie chciałem się bynajmniej przechwalać. Czułem jednak, że byłem w pełni sił i miałem przewagę, i z owym poczuciem chciałem stanąć przed szkolnymi kolegami i nauczycielami. Wyobrażałem sobie także, chociaż z nią o tym nie rozmawiałem, że jako konduktorka często musiała pracować do wieczora, do nocy. Jak miałbym ją codziennie widywać, gdybym musiał zostać w domu i mógł odbywać jedynie rekonwalescencyjne spacery?

Kiedy przyszedłem od niej do domu, rodzice i rodzeństwo siedzieli już przy kolacji. – Dlaczego wracasz tak późno? Matka martwiła się o ciebie. – Głos ojca był raczej zirytowany niż zatroskany.

Powiedziałem, że zgubiłem drogę; zaplanowałem spacer na górę Molkenkur przez cmentarz Ehrenfriedhof, błędząc jednak przez dłuższy czas, trafiłem w końcu do Nussloch. – Nie miałem pieniędzy i z Nussloch musiałem wracać pieszo.

– Mogłeś złapać okazję. – Młodsza siostra robiła to czasami, czego rodzice nie pochwalali.

Starszy brat parsknął lekceważąco. – Molkenkur i Nussloch – to zupełnie różne kierunki.

Starsza siostra spojrzała na mnie badawczo.

– Jutro pójde do szkoły.

– To uważaj dobrze na geografii. Jest północ, południe, a słońce wschodzi...

Matka przerwała bratu. – Jeszcze trzy tygodnie, tak powiedział lekarz.

– Skoro potrafi przejść do Nussloch przez Ehrenfriedhof i z powrotem, to równie dobrze może iść do szkoły. Jemu nie brakuje sił, jemu brak piątej klepki. – Jako mali chłopcy ciągle biliśmy się z bratem, później zwalczaliśmy się werbalnie. Będąc trzy lata starszy ode mnie, przewyższał mnie pod każdym względem. Kiedyś przestałem mu się odwzajemniać i jego bojowy zapał trafiał w próżnię. Od tego czasu ograniczał się do gderania.

– Co o tym sądzisz? – Matka zwróciła się do ojca. Ten odłożył nóż i widelec na talerz, odchylił się w tył i splótł ręce na podołku. Milczał, patrząc przed siebie w zamyśleniu, jak za każdym razem, gdy matka zwracała się do niego w sprawie dzieci albo domu. Znowu zastanawiałem się, czy rzeczywiście rozmyśla nad pytaniem matki, czy nad swoją pracą. Być może próbował nawet zastanowić się nad pytaniem matki, skoro już raz pogrążył się w myślach, nie mógł jednak myśleć o niczym innym, jak tylko o swojej pracy. Był profesorem filozofii, myślenie stanowiło jego życie – myślenie, czytanie, pisanie i nauczanie.

Czasami miałem uczucie, że my, jego rodzina, jesteśmy dla niego niczym domowe zwierzęta. Pies, z którym wychodzi się na spacer, i kot, z którym człowiek się bawi, nawet mruczący kot, zwijający się na podolku w kłębek i pozwalający się głaskać – to ktoś może lubić, może tego nawet w pewien sposób potrzebować, a jednak kupowanie pokarmu, czyszczenie kociej ubikacji i wizyty u weterynarza to już właściwie za duży kłopot. Życie toczy się bowiem gdzie indziej. Pragnąłem, żebyśmy my, rodzina, byli jego życiem. Czasami życzyłem też sobie, żeby gderający brat i zuchwała młodsza siostra byli inni. Jednak tego wieczoru nagle zacząłem ich wszystkich strasznie lubić. Moja młodsza siostra. Prawdopodobnie nie było łatwo być najmłodszą z czworga rodzeństwa i bez pewnej zuchwałości nie mogłaby się przebić. Mój starszy brat. Mieliśmy wspólny pokój i dla niego było to z pewnością trudniejsze do zniesienia niż dla mnie, a poza tym kiedy zachorowałem, musiał mi zwolnić pokój i spać na kanapie w salonie. Jak miał nie gderać? Mój ojciec. Dlaczego my, dzieci, miałybyśmy być jego życiem? Dorastaliśmy, wkrótce wkroczyliśmy w dorosłość i opuściliśmy dom.

Czułem się tak, jakbyśmy ostatni raz siedzieli razem przy okrągłym stole pod pięcioramiennym mosiężnym żyrandolem z pięcioma świecami, jakbyśmy jedli ostatni posiłek ze starych talerzy z zielonymi pnączami na brzegach, jakbyśmy po raz ostatni tak poufale ze sobą rozmawiali. Czułem się jak podczas pożegnania. Jeszcze tu wprawdzie

przebywałem, lecz jednocześnie byłem już daleko stąd. Tęskniłem do domu, do matki, ojca i rodzeństwa, lecz pragnąłem także być z tą kobietą.

Ojciec spojrział w moją stronę. – „Jutro pójdę do szkoły” – tak powiedziałeś, nieprawda?

– Tak. – Zauważył więc, że zwróciłem się do niego, a nie do matki i nie powiedziałem, że się zastanawiam, czy mam pójść do szkoły.

Skinął głową. – Idź do szkoły. Jeśli to będzie ponad twoje siły, to zostaniesz po prostu w domu jak dotychczas.

Byłem zadowolony. Jednocześnie miałem uczucie, że teraz nastąpiło pożegnanie.

Przez następne dni kobieta miała ranną zmianę. Przychodziła do domu o dwunastej, a ja dzień w dzień opuszczałem ostatnią lekcję, żeby czekać na nią na podeście przed jej mieszkaniem. Braliśmy prysznic i kochaliśmy się, tuż przed wpół do drugiej ubierałem się pospiesznie i wybiegałem z kamienicy. O wpół do drugiej jedliśmy obiad. W niedzielę obiad był już o dwunastej, jednak wtedy jej ranna zmiana wcześniej się zaczynała i kończyła.

Z chęcią zrezygnowałbym z prysznic. Była pedantycznie czysta, co rano myła się pod natryskiem, a ja lubiłem zapach perfum, świeżego potu i tramwaju, który przynosiła z pracy. Lubiłem jednak również jej mokre, namydlone ciało; lubiłem, gdy mnie namydlała, i lubiłem ją namydlać, a ona nauczyła mnie to robić bez zawstydzenia, z oczywistą, zawłaszczającą gruntownością. Gdy się kochaliśmy, brała mnie również z oczywistością w posiadanie. Jej usta brały moje, jej język bawił się moim, mówiła mi, gdzie i jak mam jej dotykać, a kiedy siedziała na mnie w pozycji jeźdźca, aż do orgazmu istniałem tylko dla niej, gdyż ze mną, u mnie szukała rozkoszy. Nie oznacza to, że sama nie była czuła i nie dawała mi rozkoszy. Robiła to jednak dla zabawy, dopóki i ja nie nauczyłem się brać jej w posiadanie.

To było później. Nigdy mi się to całkiem nie udało. Przez długi czas nie było mi zresztą tego brak. Byłem młody, szybko miałem orgazm,

a kiedy potem wracałem powoli do życia, z chęcią pozwalałem jej sobie posiąść. Patrzyłem na nią, gdy była nade mną, na jej brzuch, który nad pępkiem tworzył głęboką bruzdę, na jej piersi, prawą odrobinę większą od lewej, jej twarz z otwartymi ustami. Opierała ręce na moich piersiach i odrywała je w ostatnim momencie, chwytając się za głowę i wydając bezdźwięczny, jękliwy, gardłowy krzyk, który za pierwszym razem mnie przeraził, a na który później czekałem z upragnieniem.

Po tym wszystkim byliśmy wyczerpani. Często na mnie zasypiała. Słyszałem piłę na podwórzu i głośnie nawoływania rzemieślników, którzy przy niej pracowali i próbowali ją przekrzyczeć. Kiedy piła milkła, do kuchni docierał słaby odgłos ruchu ulicznego z Bahnhofstrasse. Gdy usłyszałem nawołujące, bawiące się dzieci, wiedziałem, że minęła pierwsza i skończyła się szkoła. Sąsiad wracający do domu na przerwę obiadową rozsypywał na balkonie pokarm dla ptaków, do którego zlatywały się gruchające gołębie.

– Jak masz na imię? – Zapytałem ją szóstego albo siódmego dnia. Zasnęła na mnie i akurat się budziła. Unikałem dotąd bezpośredniego zwracania się do niej, per pani lub per ty.

Zerwała się. – Co?

– Jak masz na imię!

– Dlaczego o to pytasz? – Spojrzała na mnie nieufnie.

– Ty i ja... znam twoje nazwisko, lecz nie znam twojego imienia. Chcę wiedzieć, jak masz na imię. Co w tym jest...

Zaczęła się śmiać. – Nic, chłopczyku, nie ma w tym nic niewłaściwego. Mam na imię Hanna. – Śmiała się dalej, nie mogąc się uspokoić, zaraziła mnie tym śmiechem.

– Patrzyłaś tak dziwnie.

– Byłam jeszcze pogrążona w półśnie. Jak ty się nazywasz?

Myślałem, że to wiedziała. Szkolnych rzeczy nie nosiło się w torbie, lecz pod pachą – to było akurat modne; kiedy je kładłem na jej kuchennym stole, moje nazwisko widniało na wierzchu, na zeszytach, jak również na książkach. Nauczyłem się oprawiać je w mocny papier i naklejać na nich nalepki z tytułem książki i swoim nazwiskiem. Ona nie zwróciła jednak na to uwagi.

– Nazywam się Michael Berg.

– Michael, Michael, Michael. – Wypróbowała imię. – Mój chłopczyk ma na imię Michael, jest studentem...

– Uczniem.

– ...jest uczniem, ma, ile, siedemnaście lat?

Byłem dumny z dwóch dodatkowych lat, które mi dołożyła, i skinąłem głową.

– ...ma siedemnaście lat i gdy dorośnie, chce zostać sławnym... – Zawahała się.

– Nie wiem, kim chcę zostać.

– Uczysz się jednak pilnie.

– Czy ja wiem. – Powiedziałem jej, że jest dla mnie ważniejsza niż

nauka i szkoła. Że chciałbym bywać u niej częściej. – I tak będę siedział.

– Gdzie będziesz siedział? – Wyprostowała się. Była to pierwsza poważna rozmowa, jaką ze sobą przeprowadziliśmy.

– W dziesiątej klasie. Zbyt dużo opuściłem podczas ostatnich miesięcy, kiedy byłem chory. Gdybym chciał zaliczyć tę klasę, musiałbym pracować jak głupi. Teraz musiałbym być w szkole. – Opowiedziałem jej o wagarach.

– Precz. – Odwinęła kołdrę. – Precz z mojego łóżka. I nie przychodź więcej, skoro nie robisz tego, co do ciebie należy. Twoja praca jest głupia? Głupia? Jak ci się wydaje, co to znaczy sprzedawać i dziurkować bilety. – Podniosła się, stanęła naga w kuchni i zaczęła udawać konduktorę. Lewą ręką otworzyła małą teczkę z biletowymi bloczkami, kciukiem tej samej dłoni, na którym tkwił gumowy napastrzek, oderwała dwa bilety, opuściła luźno prawą rękę, chwytając uchwyt dyndającego na przegubie dłoni dziurkacza, i nacisnęła go dwa razy. – Dwa razy Rohrbach. – Wypuściła dziurkacz, wyciągnęła rękę, przyjęła banknot, otworzyła portfel na brzuchu, wsunęła do niego banknot, zamknęła go i z umieszczonych na zewnątrz pojemników na monety wycisnęła drobne do wydania. – Kto nie ma jeszcze biletów? – Spojrzała na mnie. – Głupia praca? Ty nie wiesz, co to znaczy głupia praca.

Siedziałem na krawędzi łóżka. Byłem jak ogłuszony. – Przykro mi. Będę robił, co do mnie należy. Nie wiem, czy dam radę, za sześć tygodni jest koniec roku szkolnego. Spróbuję. Nie dam na pewno rady, jeśli nie

będę cię już mógł widywać... – W pierwszym momencie chciałem powiedzieć: kocham cię. Po chwili przeszła mi jednak na to ochota. Być może miała rację, z pewnością miała rację. Nie miała jednak prawa żądać ode mnie, żebym więcej robił dla szkoły i od tego uzależniać, czy się zobaczymy, czy nie. – Nie mogę cię nie widywać.

Zegar na korytarzu wybił godzinę wpół do drugiej. – Musisz iść. – Zawahała się. – Od jutra mam drugą zmianę. Będę w domu o wpół do szóstej, ty też możesz przyjść. Jeśli wcześniej popracujesz.

Staliśmy nadzy naprzeciw siebie, lecz nawet w swoim mundurze nie wydałaby się mi bardziej odpychająca. Nie rozumiałem całej tej sytuacji. Czy chodziło jej o mnie? Czy o siebie? Jeśli moja praca jest głupia, to co dopiero jej – czy to ją dotknęło? Ja jednak wcale nie powiedziałem, że moja albo jej praca jest głupia. A może nie chciała mieć za kochanka nieudacznika? Czy byłem jednak jej kochankiem? Kim dla niej byłem? Marudziłem z ubieraniem, mając nadzieję, że coś powie. Ona nic jednak nie powiedziała. Wreszcie byłem gotowy, ona nadal stała naga, a kiedy objąłem ją na pożegnanie, nie zareagowała.

Dlaczego jestem taki smutny, kiedy myślę o tamtych czasach? Czy z powodu tęsknoty za przebrzmiałym szczęściem – a byłem szczęśliwy podczas następnych tygodni, kiedy naprawdę pracowałem jak głupi, dzięki czemu zaliczyłem klasę, i kiedy kochaliśmy się tak, jakby nic innego na świecie się nie liczyło. Czy z powodu wiedzy o tym, co nastąpiło później, i że później wyszło na jaw tylko to, co już przez cały czas było?

Dlaczego? Dlaczego coś, co było piękne, kruszy się nam z perspektywy czasu, bo skrywało ohydne prawdy? Dlaczego zatruwa to wspomnienie szczęśliwych lat małżeńskich, gdy się okazuje, że druga osoba przez całe lata miała kochanka? Gdyż w takiej sytuacji nie można być szczęśliwym? Jednak było się szczęśliwym! Czasami pamięć już wtedy sprzeniewierza się szczęściu, gdy koniec był bolesny. Gdyż szczęście wtedy jest prawdziwe, jeśli trwa wiecznie? Gdyż boleśnie może się kończyć tylko to, co było bolesne, w nieświadomy, nierozpoznany sposób? Czym jest jednak nieświadomy, nierozpoznany ból?

Wracam myślą do tamtych czasów i mam przed oczami siebie. Nosilem eleganckie ubrania, które pozostały po bogatym wujku i trafiły do mnie wraz z wieloma parami dwukolorowych butów: czarno-brązowych, czarno-białych, z zamszu i gładkiej skóry. Miałem zbyt

długie ramiona i zbyt długie nogi, nie na ubrania – ich rękawy i nogawki matka mi przedłużyła – przeszkadzały one jednak w koordynacji ruchów. Okulary pochodziły z taniej serii kasy chorych, a włosy były rozwichrzoną szczotką, choćbym robił nie wiem co. W szkole nie byłem ani dobry, ani zły; wydaje mi się, że wielu nauczycieli tak naprawdę mnie nie dostrzegało, podobnie jak uczniowie, którzy w klasie nadawali ton. Nie lubiłem tego, jak wyglądałem, jak się ubierałem i poruszałem, co osiągnąłem i co znaczyłem. Ileż było we mnie jednak energii, ileż ufności, że pewnego dnia będę piękny i mądry, przewyższający innych i podziwiany, ileż oczekiwań, kiedy stykałem się z nowymi ludźmi i sytuacjami.

Czy dlatego jestem smutny? Z powodu zapału i wiary, która mnie wówczas przepełniała i wymogła na życiu obietnicę, jakiej ono przenigdy nie mogło dotrzymać? Czasami w twarzach dzieci i nastolatków dostrzegam ten sam zapał i wiarę i patrzę na nie z tym samym smutkiem, z jakim myślę o sobie z tamtego okresu. Czy ten smutek to smutek sam w sobie? Czy jest on smutkiem ogarniającym nas wtedy, gdy z perspektywy czasu kruszą się piękne wspomnienia, gdyż wspomniane szczęście było nie tylko wytworem sytuacji, lecz obietnicy, która nie została dotrzymana?

Ona – muszę zacząć nazywać ją Hanną, tak jak wówczas zacząłem ją nazywać Hanną – ona nie istniała oczywiście dzięki obietnicy, lecz stworzyła ją wyłącznie sytuacja.

Zapytałem ją o przeszłość i było tak, jakby treść odpowiedzi wydobywała z zakurzonej skrzyni. Dorastała w Siedmiogrodzie, w wieku siedemnastu lat przyjechała do Berlina i została robotnicą u Siemensa, a gdy miała dwadzieścia jeden lat, trafiła do wojska. Od końca wojny utrzymywała się na powierzchni, imając się przeróżnych zajęć. W zawodzie konduktorki tramwajowej, który wykonywała od kilku lat, lubiła mundur, ruch, zmieniające się obrazy i toczenie się kół pod nogami. Poza tym go nie lubiła. Nie miała rodziny. Skończyła trzydzieści sześć lat. Wszystko to opowiadała tak, jakby to nie było jej życie, lecz życie kogoś innego, kogo dobrze nie zna i kto ją nic nie obchodzi. Gdy chciałem wiedzieć coś dokładniej, często nie pamiętała już, jak to było, nie rozumiała także, dlaczego mnie interesuje, co się stało z jej rodzicami, czy miała rodzeństwo, jak żyła w Berlinie i co robiła w wojsku. – Pytasz o takie rzeczy, chłopczyku!

Tak samo było z przyszłością. Nie snułem oczywiście planów dotyczących małżeństwa i rodziny. Bliższy był mi jednak związek Julienu Sorela z madame de Renal niż ten z Mathilde de la Mole. Cieszyłem się, że Felix Krull znalazł się w końcu w ramionach matki, a nie córki. Siostra, która studiowała germanistykę, opowiadała przy obiedzie o sporze, czy pana von Goethego i panią von Stein łączył miłosny związek, a ja ku zdumieniu rodziny broniełem tego stanowczo. Wyobrażałem sobie, jak mógł wyglądać nasz związek za pięć, dziesięć lat. Pytałem Hannę, jak ona to sobie wyobraża. Ona nie miała ochoty

wybiegać myślą nawet do Wielkanocy, kiedy podczas ferii chciałem z nią wyjechać na rowerach. Jako matka i syn mogliśmy wynająć wspólny pokój i być razem przez całą noc.

Dziwne, że to wyobrażenie, ta propozycja nie wprawiała mnie w zakłopotanie. Podróżując z matką, walczyłem o własny pokój. Wydawało mi się to niestosowne, żeby w moim wieku matka towarzyszyła mi podczas wizyty u lekarza czy przy zakupie nowego płaszcza albo wyjeżdżała po mnie, gdy wracałem z jakiejś podróży. Kiedy szła razem ze mną i po drodze spotykaliśmy kolegów ze szkoły, bałem się, żeby mnie nie wzięli za maminsynka. Pokazywanie się z Hanną, która mimo że była o dziesięć lat młodsza od matki, mogła być moją matką, nie przeszkadzało mi. Napawało mnie dumą.

Gdy dzisiaj widzę trzydziestosześcioletnią kobietę, uważam, że jest młoda. Kiedy natomiast widzę dzisiaj piętnastoletniego chłopca, mam przed sobą dziecko. Podziwiam, ile pewności zyskałem dzięki Hannie. Sukces w szkole sprawił, że nauczyciele nagle zwrócili na mnie uwagę, i zapewnił mi ich respekt. Dziewczęta, z którymi miałem do czynienia, zauważyły, że się ich nie bałem, i to im się podobało. Nieźle czułem się w swojej skórze.

W pamięci jasno rozświetlającej i dokładnie utrwalającej pierwsze spotkania z Hanną zlewają się tygodnie między naszą rozmową i końcem roku szkolnego. Jedną z przyczyn jest regularność, z jaką spotykaliśmy się i z jaką te spotkania przebiegały. Innym powodem jest to, że nigdy

wcześniej nie miałem tak wypełnionych dni, moje życie nie było nigdy wcześniej tak szybkie i zagęszczone. Kiedy wspominam pracę podczas tamtych tygodni, mam wrażenie, jakbym zasiadł przy biurku i przy nim pozostał, dopóki nie nadrobione zostało wszystko to, co straciłem podczas żółtaczki, dopóki nie nauczyłem się wszystkich słówek, nie przeczytałem wszystkich tekstów, nie przeprowadziłem wszystkich matematycznych dowodów i nie połączyłem chemicznych związków. O Republice Weimarskiej i Trzeciej Rzeszy czytałem już w czasie choroby. Również nasze spotkania pozostały w mojej pamięci jako jedno długie spotkanie. Od czasu naszej rozmowy odbywały się one zawsze po południu: gdy Hanna miała trzecią zmianę, od trzeciej do wpół do piątej, poza tym o wpół do szóstej. O siódmej jadło się u nas kolację i z początku Hanna mnie ponaglała, żebym był w domu punktualnie. Po pewnym czasie nie skończyło się jednak na półtorej godziny, zacząłem więc wymyślać wymówki i opuszczać kolację.

Wiązało się to z głośną lekturą. Dzień po naszej rozmowie Hanna zapytała, czego uczę się w szkole. Opowiedziałem o eposejach Homera, mowach Cycerona i historii Hemingwaya o starym człowieku i jego walce z rybą i morzem. Chciała usłyszeć, jak brzmi grecki i łacina, przeczytałem jej więc fragment z „Odysei” i mów przeciw Katylinie.

- Uczysz się także niemieckiego?
- Co masz na myśli?
- Uczysz się tylko języków obcych, czy w przypadku własnego

języka też można się jeszcze czegoś nauczyć?

– Czytamy teksty. – Podczas mojej choroby klasa czytała „Emilię Galotti” i „Intrygę i miłość” i wkrótce trzeba było napisać o tym wypracowanie. Musiałem więc przeczytać obydwie sztuki, robiłem to, gdy uporałem się z innymi przedmiotami. Wtedy było późno, czułem zmęczenie i następnego dnia nie wiedziałem już, o czym czytałem, musiałem więc zaczynać wszystko od początku.

– Przeczytaj mi to!

– Sama przeczytaj, przyniosę ci te sztuki.

– Masz taki piękny głos, chłopczyku, wolałabym posłuchać ciebie, niż czytać sama.

– Ach, czy ja wiem.

Kiedy jednak przyszedłem następnego dnia i chciałem ją pocałować, odsunęła się. – Najpierw musisz mi coś przeczytać.

Nie żartowała. Przez pół godziny musiałem jej czytać „Emilię Galotti”, zanim wzięła mnie pod natrysk, a potem do łóżka. Teraz i ja byłem zadowolony z prysznic. Pożądanie, z którym przyszedłem, minęło w trakcie głośnej lektury. Czytanie sztuki na głos tak, żeby różni aktorzy byli w miarę rozpoznawalni i żywi, wymaga niemałej koncentracji. Pod prysznicem pożądanie znowu się wzmogło. Głośne czytanie, prysznic, kochanie się, a później leżenie obok siebie przez chwilę – to był rytuał naszych spotkań.

Była uważną słuchaczką. Jej śmiech, jej lekceważące parskanie i jej

oburzone albo aprobujące okrzyki nie pozostawiały wątpliwości, że z napięciem śledziła fabułę i że zarówno Emilię, jak i Luizę uważała za głupie gęsi. Niecierpliwość, z jaką mnie czasem prosiła, żebym czytał dalej, wypływała z nadziei, że głupota w końcu minie. – To przecież nie do wiary! – Czasami sam nie mogłem się doczekać dalszego czytania. Gdy dni były dłuższe, czytałem dłużej, żeby być z nią w łóżku o zmierzchu. Kiedy na mnie zasypiała, piła milczała na podwórzu, kos śpiewał, a po kolorach i przedmiotach w kuchni pozostawały jedynie jaśniejsze i ciemniejsze odcienie szarości, byłem w pełni szczęśliwy.

W pierwszy dzień ferii wielkanocnych wstałem o czwartej rano. Hanna miała ranną zmianę. Kwadrans po czwartej wyjeżdżała na rowerze do zajezdni tramwajowej, a o wpół do piątej wyruszała tramwajem do Schwetzingen. W czasie jazdy w tamtą stronę, tak mi powiedziała, tramwaj był często pusty. Zapełniał się dopiero w drodze powrotnej.

Wsiadłem na drugim przystanku. Drugi wagon był pusty, w pierwszym Hanna stała przy motorniczym. Wahałem się, czy wsiąść do przedniego, czy tylnego wagonu, zdecydowałem się w końcu na tylny. Obiecywał prywatność, objęcie, pocałunek. Hanna jednak nie przyszła. Musiała widzieć, że czekałem na przystanku i że wsiadłem. Dlatego tramwaj się zatrzymał. Ona została jednak przy motorniczym, rozmawiając i żartując z nim. Widziałem to.

Tramwaj mijał jeden przystanek po drugim. Nikt tam nie stał i nie czekał. Ulice były puste. Słońce jeszcze nie wzeszło i pod białym niebem wszystko tonęło w bladym świetle: domy, parkujące samochody, zieleniejące się dopiero drzewa i kwitnące krzewy, zbiornik na gaz i góry w oddali. Tramwaj jechał wolno; prawdopodobnie rozkład jazdy obejmował czas przejazdu i postoju, jazda musiała więc trwać dłużej, odpadły bowiem postoje. Byłem zamknięty w jadącym wolno tramwaju. Z początku siedziałem, później stanąłem na przedniej platformie,

próbując ściągnąć Hannę wzrokiem; miała poczuć moje spojrzenie na plecach. Po chwili obróciła się i popatrzyła na mnie wymownie. Później znowu zaczęła rozmawiać z motorniczym. Jazda trwała dalej. Za Eppelheim szyny położone były nie na jezdni, lecz bieły wzdłuż ulicy na nasypie z tłucznia. Tramwaj zaczął jechać szybciej z równomiernym stukotem pociągu. Wiedziałem, że ta trasa prowadziła przez kolejne miejscowości aż do Schwetzingen. Czulem się jednak wyłączony, wypchnięty z normalnego świata, w którym ludzie mieszkają, pracują, kochają się. Jakbym był skazany na bezcelową, nie kończącą się jazdę w pustym wagonie.

Wreszcie zobaczyłem przystanek, budkę dla oczekujących stojącą w szczerym polu. Pociągnąłem za linkę, za pomocą której konduktorzy sygnalizują motorniczemu, że ma się zatrzymać albo może ruszać dalej. Ani Hanna, ani motorniczy nie popatrzyli na mnie po sygnale. Kiedy wysiadłem, miałem wrażenie, jakby przyglądali mi się ze śmiechem. Nie byłem tego jednak pewien. Po chwili tramwaj ruszył, a ja patrzyłem w ślad za nim, dopóki nie zniknął najpierw w obniżeniu terenu, a później za wzniesieniem. Stałem między nasypem a ulicą, otaczały mnie pola, drzewa owocowe, a trochę dalej znajdował się zakład ogrodniczy ze szklarniami. Powietrze było świeże. Wypełniał je świergot ptaków. Nad górami białe niebo połyskiwało różowo.

Jazda w tramwaju była jak zły sen. Gdybym tak wyraźnie nie zachował w pamięci jej epilogu, naprawdę byłbym skłonny ją tak

traktować. Stanie na przystanku, słuchanie ptaków i oglądanie wschodzącego słońca było niczym przebudzenie. Jednak przebudzenie ze złego snu niekoniecznie przynosi ulgę. Wtedy można sobie dopiero w pełni uświadomić, jakże potworny sen się śniło, a może nawet z jakże potworną prawdą człowiek we śnie się zetknął. Wyruszyłem w powrotną drogę, z oczu płynęły mi łzy, przestałem płakać dopiero wtedy, gdy doszedłem do Eppelheim.

Do domu wracałem pieszo. Kilka razy na próżno próbowałem złapać okazję. Kiedy pokonałem połowę drogi, minął mnie tramwaj. Był pełny. Hanny nie widziałem.

Czekałem na nią o dwunastej na podeście przed jej mieszkaniem, smutny, zalękniony i wściekły.

– Znowu chodzisz na wagary?

– Mam ferie. Co się stało dziś rano? – Otworzyła drzwi, a ja wszedłem za nią do mieszkania, a potem do kuchni.

– Co dziś rano miało się niby stać?

– Dlaczego zachowywałaś się tak, jakbyś mnie nie znała? Chciałem...

– Zachowywałam się tak, jakbym cię nie znała? – Odwróciła się, patrząc mi w twarz zimnym wzrokiem. – To ty nie chciałeś mnie znać. Wsiadasz do drugiego wagonu, chociaż widzisz, że jestem w pierwszym.

– Po co ja jadę w pierwszym dniu ferii o wpół do piątej do Schwetzingen? Przecież tylko dlatego, żeby ci zrobić niespodziankę, bo myślałem, że się ucieszysz. Do drugiego wagonu wsiadłem...

– Biedne dziecko. Wstało już o wpół do piątej, w dodatku w czasie ferii. – Jeszcze nigdy nie widziałem u niej ironii. Potrząsnęła głową. – Skąd ja mam wiedzieć, po co jedziesz do Schwetzingen. Skąd ja mam wiedzieć, dlaczego nie chcesz mnie znać. To twoja sprawa, nie moja. Pójdiesz sobie wreszcie?

Trudno mi opisać, jak byłem oburzony. – To niesprawiedliwe, Hanno. Wiedziałaś, musiałaś wiedzieć, że zabrałem się tym tramwajem tylko ze względu na ciebie. Jak możesz więc sądzić, że nie chciałem cię znać? Gdybym cię nie chciał znać, nigdzie bym nie pojechał.

– Ach, daj mi spokój. Już ci powiedziałam, że to, co robisz, to twoja sprawa, nie moja. – Stała w taki sposób, że dzielił nas kuchenny stół; jej wzrok, jej głos, jej gesty traktowały mnie jak intruza, nakazując, żebym sobie poszedł.

Usiadłem na sofie. Źle mnie potraktowała, chciałem więc zażądać od niej wyjaśnień. Jednak nie znalazłem do niej żadnego przystępu. Tymczasem to ona mnie zaatakowała. I zacząłem tracić pewność. Czy może miała rację, nie obiektywną, lecz subiektywną rację? Mogła, musiała mnie źle zrozumieć? Czy ją zraniłem, mimo woli, wbrew woli, ale jednak zraniłem?

– Przykro mi, Hanno. Wszystko poszło na opak. Nie chciałem cię urazić, zdaje się jednak...

– Zdaje się? Mówisz, że się zdaje, iż mnie uraziłeś? Ty nie możesz mnie urazić, ty na pewno nie. Pójdiesz sobie wreszcie? Jestem po pracy,

chcę się wykąpać i mieć spokój. – Spojrzała na mnie wyczekująco. A gdy się nie podniosłem, wzruszyła ramionami, odwróciła się, napuściła wody do wanny i się rozebrała.

Teraz wstałem i wyszedłem. Myślałem, że odchodzę na zawsze. Jednak po pół godziny znowu stałem przed jej mieszkaniem. Wpuściła mnie do środka i wszystko wziąłem na siebie. Postąpiłem bezmyślnie, bezwzględnie, bez wyczucia. Rozumiałem, że była urażona. Rozumiałem, że nie była urażona, bo ja nie mogłem jej urazić. Rozumiałem, że ja nie mogłem jej urazić, wypraszała sobie jednak po prostu moje zachowanie. W końcu byłem szczęśliwy, kiedy przyznała, że ją zraniłem. Nie była więc taka nieczuła i obojętna, jak udawała.

– Wybaczysz mi?

Skinęła głową.

– Kochasz mnie?

Znowu skinęła głową. – W wannie jest jeszcze woda. Chodź, wykąpię cię.

Później zadawałem sobie pytanie, czy dlatego zostawiła wodę w wannie, bo wiedziała, że wrócę. Czy rozebrała się, bo wiedziała, iż ten widok nie wyjdzie mi z głowy i skłoni mnie do powrotu. Czy chciała jedynie wygrać próbę sił. Kiedy przestaliśmy się kochać i leżeliśmy obok siebie, a ja opowiedziałem jej, dlaczego wsiadłem do drugiego wagonu zamiast do pierwszego, zaczęła się ze mną droczyć. – Nawet w tramwaju chcesz ze mną robić te rzeczy? Oj, chłopczyku, chłopczyku!

– Jakby powód naszej kłótni był właściwie bez znaczenia.

Jej wynik miał jednak znaczenie. Przegrałem nie tylko tę kłótnię. Skapitulowałem po krótkiej walce, kiedy mi zagroziła, że mnie odepchnie, odwróci się ode mnie. W następnych tygodniach nie walczyłem już nawet przez chwilę. Gdy groziła, natychmiast bezwarunkowo kapitulowałem. Wszystko brałem na siebie. Przyznawałem się do błędów, których nie popełniłem, wyznawałem zamiary, których nigdy nie powziąłem. Kiedy była zimna i twarda, zebrałem, żeby nie gniewała się już na mnie, przebaczyła mi i mnie kochała. Czasami miałem uczucie, jakby ona sama cierpiała z powodu swej oziębłości i oschłości. Jakby tęskniła do ciepła moich przeprosin, zapewnień i zaklinań. Czasami myślałem, że triumfuje po prostu nademną. Tak czy owak nie miałem jednak wyboru.

Nie mogłem z nią o tym mówić. Rozmowa o naszych kłótniach prowadziła tylko do kolejnej sprzeczki. Raz czy dwa razy napisałem do niej długi list. Ona jednak na to nie zareagowała, a kiedy się o nie dopytywałem, odpowiadała pytaniem: – Znowu zaczynasz?

Nie oznacza to, że po tym pierwszym dniu ferii wielkanocnych nie byliśmy z Hanną szczęśliwi. Nigdy nie byliśmy szczęśliwsi niż w tamtych tygodniach kwietnia. Ta pierwsza kłótnia i w ogóle nasze spieranie się było mylące – wszystko, co otwierało nasz rytuał czytania na głos, brania prysznic, kochania się i leżenia obok siebie, dobrze nam robiło. Ponadto zarzutem, że nie chciałem jej znać, Hanna związała sobie ręce. Kiedy pragnąłem się z nią gdzieś pokazać, nie mogła zgłosić żadnych zasadniczych zastrzeżeń. „A więc jednak nie chciałaś, żeby cię ze mną widziano” – tego nie musiałem jej mówić. W tygodniu po świątach Wielkanocnych wyjechaliśmy więc na rowerach, cztery dni w Wimpfen, Amorbach i Miltenberg.

Nie wiem już, co powiedziałem rodzicom. Że jadę na wycieczkę z moim przyjacielem Mathiasem? Z grupą? Że odwiedzam dawnego kolegę ze szkoły? Matka była prawdopodobnie zatroskana, jak zawsze, a ojciec, jak zawsze, powiedział, żeby się nie martwiła. Czy nie udało mi się właśnie przejść do następnej klasy, czego nikt się po mnie nie spodziewał?

Kiedy byłem chory, nie wydawałem kieszonkowego. To by jednak nie wystarczyło, jeśli chciałbym płacić również za Hannę. W sklepie filatelistycznym przy kościele św. Ducha zaoferowałem więc do sprzedaży kolekcję znaczków. Był to jedyny sklep anonsujący na

drzwiach skup kolekcji. Sprzedawca przejrzał albumy i zaproponował mi sześćdziesiąt marek. Zwróciłem mu uwagę na mój okaz, wycięty równo egipski znaczek z piramidą, wpisany do katalogu z ceną czterystu marek. Wzruszył ramionami: jeśli tak jestem przywiązany do swojej kolekcji, może powinienem ją raczej zatrzymać. Czy wolno mi ją w ogóle sprzedać? Co na to powiedzą rodzice? Spróbowałem się targować: jeśli znaczek z piramidą nie jest jednak tak wartościowy, to go po prostu zachowam. Wtedy mógł mi dać tylko trzydzieści marek. A więc znaczek z piramidą był jednak wartościowy? W końcu dostałem siedemdziesiąt marek. Czułem się oszukany, lecz było mi to obojętne.

Nie tylko ja odczuwałem podniecenie przed podróżą. Ku mojemu zdziwieniu wiele dni przed wyjazdem również Hanna była niespokojna. Zastanawiała się bez końca co ze sobą zabrać i ciągle przepakowywała sakwy i plecak, o który się dla niej postarałem. Kiedy pokazywałem jej na mapie trasę, którą obmyśliłem, nie chciała nic słyszeć ani widzieć. – Jestem teraz zbyt zdenerwowana. Na pewno przygotowałeś wszystko jak trzeba, chłopczyku.

Wyruszyliśmy w poniedziałek wielkanocny. Świeciło słońce, świeciło tak przez cztery dni. Rano zawsze było chłodno, lecz w ciągu dnia ocieplało się; nie było za gorąco na jazdę rowerem, za to wystarczająco ciepło na piknik. Lasy zamieniły się w zielone dywany z żółto-zielonymi, jasnozielonymi, ciemnozielonymi, niebiesko – i czarnozielonymi centkami, plamami i powierzchniami. Na nizinie

reńskiej kwitły już pierwsze drzewa owocowe. W Odenwaldzie właśnie okrywały się kwiatami forsycje.

Często mogliśmy jechać obok siebie. Wtedy pokazywaliśmy sobie nawzajem, co widzieliśmy: zamek, wędkarza, statek na rzece, namiot, rodzinę idącą gęsiego wzdłuż brzegu, amerykański krążownik szos z otwartym dachem. Kiedy zmienialiśmy kierunek lub drogę, musiałem jechać przodem; ona nie chciała się tym zajmować. Zwykle, jeśli ruch nie był zbyt duży, raz ona jechała za mną, raz ja za nią. Miała rower z osłoną na szprychach, łańcuchu, kole zębatym i nosiła niebieską sukienkę, której szeroka spódnica trzepotała podczas jazdy. Dopiero po jakimś czasie przestałem się bać, że spódnica dostanie się między szprychy albo w zębate koło i Hanna upadnie. Później lubiłem na nią patrzeć, gdy jechała przede mną.

Jakże się cieszyłem na noc. Wyobrażałem sobie, że będziemy się kochać, zasypiać, budzić się i tak dalej, noc w noc. Przebudziłem się jednak tylko podczas pierwszej nocy. Leżała odwrócona do mnie plecami, pochyliłem się nad nią i ją pocałowałem. Obróciła się na plecy, przygarnęła mnie do siebie i wzięła w ramiona. – Mój chłopczyku, mój chłopczyku. – Po chwili na niej zasnąłem. Pozostałe noce przespaliśmy, zmęczeni jazdą, słońcem i wiatrem. Kochaliśmy się rano.

Hanna zostawiła mi nie tylko wybór kierunków i dróg. Wyszukiwałem również gospody, w których zatrzymywaliśmy się na noc, wpisywałem nas jako matkę i syna na formularzu meldunkowym,

który ona tylko podpisywała, i wybierałem z jadłospisu potrawy nie tylko dla siebie, lecz także dla niej. – Lubię, gdy czasem nie muszę się o nic troszczyć.

Jedyną kłótnię mieliśmy w Amorbach. Obudziłem się wcześniej, ubrałem po cichu i wykradłem z pokoju. Chciałem przynieść na górę śniadanie i sprawdzić, czy nie znajdę już jakiejś otwartej kwiaciarni i nie zdobędę dla Hanny róży. Na nocnej szafce zostawiłem kartkę: „Dzień dobry! Poszedłem po śniadanie, zaraz będę z powrotem” – lub coś w tym rodzaju. Kiedy wróciłem, stała w pokoju na pół naga, drżąca z wściekłości, błada na twarzy.

– Jak możesz sobie tak po prostu pójść!

Odstawiłem tacę ze śniadaniem i różą i chciałem ją wziąć w ramiona.
– Hanno...

– Nie dotykaj mnie. – Miała w ręku wąski skórzany pasek, którym przepasywała sukienkę, cofnęła się o krok i przejechała mnie nim po twarzy. Pękła mi warga i poczułem smak krwi. To nie bolało. Okropnie się przestraszyłem. Zamachnęła się jeszcze raz.

Nie uderzyła mnie jednak powtórnie. Opuściła ramię, wypuściła z ręki pasek i zaczęła płakać. Jeszcze nigdy nie widziałem, jak płacze. Jej twarz zupełnie się zniekształciła. Rozwarte oczy, rozwarte usta, powieki napuchnięte od pierwszych łez, czerwone plamy na policzkach i szyi. Z jej ust wydobywały się chrapliwe, gardłowe tony podobne do bezdźwięcznego krzyku, kiedy się kochaliśmy. Stała tak, patrząc na mnie

przez łzy.

Powinienem był wziąć ją w ramiona. Nie mogłem się jednak na to zdobyć. Nie wiedziałem co począć. U nas w domu nie płakało się w ten sposób. Nie biło się, nie biło się nawet ręką, nie mówiąc już o skórzanym rzemieniu. U nas się rozmawiało. Cóż miałem jednak powiedzieć?

Zrobiła dwa kroki w moim kierunku, rzuciła się na moje piersi, bijąc mnie pięściami, uchwyciła się mnie kurczowo. Teraz mogłem ją objąć. Jej ramiona drżały, uderzała czołem o moją pierś. Po chwili odetchnęła głęboko i utuliła się w moich ramionach.

– Zjemy śniadanie? – Oderwała się ode mnie. – Mój Boże, chłopczyku, jak ty wyglądasz! – Przyniosła mokry ręcznik i otarła nim moje usta i podbródek. – I koszula jest cała we krwi. – Zdjęła mi koszulę, potem spodnie, a potem sama się rozebrała i zaczęliśmy się kochać.

– Co się właściwie stało? Dlaczego byłaś taka wściekła? – Leżeliśmy obok siebie, tak zaspokojeni i zadowoleni, że pomyślałem, iż teraz wszystko się wyjaśni.

– Co się stało, co się stało – pytasz zawsze tak głupio. Nie możesz sobie tak po prostu iść.

– Zostawiłem ci przecież kartkę...

– Kartkę?

Usiadłem. Na nocnej szafce nie było już kartki, a tam ją położyłem. Wstałem, zacząłem szukać obok i pod szafką, pod łóżkiem, w łóżku. Nie

znalazłem jej. – Nie rozumiem. Napisałem ci kartkę, że idę po śniadanie i zaraz wracam.

– Napisałeś? Nie widzę żadnej kartki.

– Nie wierzysz mi?

– Chciałabym wierzyć. Nie widzę jednak żadnej kartki.

Nie klóciliśmy się dłużej. Czy to podmuch wiatru zmiotł kartkę i zaniósł ją dokądś, donikąd? Czy to wszystko było nieporozumieniem, jej wściekłość, moja pęknięta warga, jej zraniona twarz, moja bezradność?

Czy powinienem był dalej szukać kartki, przyczyny wściekłości Hanny, przyczyny mojej bezradności? – Przeczytaj mi coś, chłopczyku! – Przytuliła się do mnie, a ja wziąłem do ręki „Nicponia” Eichendorffa i zacząłem czytać w miejscu, w którym przerwałem ostatnim razem. „Nicponia” czytało się na głos łatwo, łatwiej niż „Emilię Galotti” i „Intrygę i miłość”. Hanna znowu śledziła wszystko w pełnym napięciu. Lubiła przeplatane wiersze. Lubiła maskarady, pomyłki, uwikłania i zasadzki, w jakie bohater wplątywał się we Włoszech. Jednocześnie brała mu za złe, że jest nicponiem, nic nie robi, nic nie umie i nie chce nic umieć. Była w rozterce i nawet wiele godzin po zakończeniu głośnej lektury mogła jeszcze zadawać pytania. – Poborca celny – czy to nie był dobry zawód?

Relacja o naszej kłótni znowu wypadła tak obszernie, że chcę opowiedzieć również o naszym szczęściu. Przez tę kłótnię nasz

wzajemny stosunek stał się głębszy. Widziałem, jak płakała; Hanna, która płakała, była mi bliższa niż tylko silna Hanna. Zaczęła pokazywać łagodną stronę, jakiej jeszcze u niej nie znałem. Moją pękniętą wargę ciągle oglądała i dotykała jej delikatnie, dopóki się nie zagoiła.

Kochaliśmy się już inaczej. Przez długi czas całkowicie oddawałem się jej prowadzeniu, w jej posiadanie. Później i ja nauczyłem się brać ją w posiadanie. W trakcie naszej podróży i później nie tylko próbowaliśmy siebie nawzajem osiąść.

Jest taki wiersz, który wówczas napisałem. Jako wiersz nie jest on wiele wart. Fascynowałem się w tym czasie Rilkiem i Bennem i widzę, że chciałem naśladować obydwu na raz. Dostrzegam jednak i to, jak byliśmy sobie wówczas bliscy. Oto ten wiersz:

Kiedy się sobie otwieramy

ty mnie a tobie ja,

kiedy się pogrążamy

we mnie ty a ja w tobie,

kiedy się rozplywamy

ty we mnie a w tobie ja

Wtedy

ja to ja

a ty to ty

Choć nie pamiętam kłamstw, które zaserwowałem rodzicom w związku z wyjazdem z Hanną, pamiętam cenę, jaką musiałem zapłacić, żebym w ostatnim tygodniu ferii mógł zostać sam w domu. Nie wiem już, dokąd pojechali rodzice, starsza siostra i brat. Problemem była młodsza siostra. Miała się zatrzymać u rodziny koleżanki. Jeśli ja zostałbym w domu, ona też chciała zostać. Na to rodzice nie chcieli pozwolić. I ja miałem się więc zatrzymać u rodziny kolegi.

Z perspektywy czasu wydaje mi się to godne uwagi, że mnie, piętnastolatka, rodzice gotowi byli zostawić samego w domu przez cały tydzień. Czy dostrzegli większą samodzielność, którą wykazywałem od czasu spotkania z Hanną? Czy może po prostu zdali sobie sprawę, że mimo miesięcy choroby przeszedłem do następnej klasy, i wysnuli z tego wniosek, że byłem bardziej odpowiedzialny i godny zaufania, niż to dotąd dałem po sobie poznać? Nie pamiętam również, żebym musiał się tłumaczyć z tych wielu godzin, które spędzałem wówczas u Hanny. Najwidoczniej rodzice uwierzyli mi, że po powrocie do zdrowia chciałem przebywać często z przyjaciółmi, uczyć się razem z nimi i razem z nimi spędzać wolny czas. Ponadto czwórka dzieci to spora gromada i uwaga rodziców nie może być skierowana na wszystkich jednakowo, lecz skupia się na tym, co sprawia akurat szczególne problemy. Ja wystarczająco długo sprawiałem problemy; rodzicom

ulżyło, że byłem już zdrowy i przeszedłem do następnej klasy.

Kiedy zapytałem młodszą siostrę, co chce mieć w zamian za to, że zatrzyma się u koleżanki, podczas gdy ja zostanę w domu, zażądała džinsów, blue jeans albo spodni z nitami – jak wtedy mówiliśmy, i swetra z aksamitu nazywanego „Nickim”. Rozumiałem ją. Dżinsy były wówczas jeszcze czymś szczególnym, eleganckim, a poza tym zapowiadały wyzwolenie z ubrań w jodełkę i sukienek w wielkie kwiaty. Tak jak ja musiałem nosić ubrania po wujku, tak młodsza siostra nosiła rzeczy po starszej siostrze. Nie miałem jednak pieniędzy.

– To je ukradnij! – Młodszą siostrę patrzyła przed siebie ze spokojem.

Było to zdumiewająco proste. Zacząłem przymierzać różne džinsy, do przebieralni zabrałem również jedną parę w jej rozmiarze i wyniosłem ją ze sklepu na brzuchu pod szeroko wykrojonymi spodniami garnituru. „Nickiego” ukradłem w domu towarowym Kaufhof. Wraz z młodszą siostrą przechadzaliśmy się najpierw w dziale mody od jednego stoiska do drugiego, dopóki nie znaleźliśmy odpowiedniego stoiska i odpowiedniego „Nickiego”. Następnego dnia przeszedłem przez ten dział pośpiesznym, zdecydowanym krokiem, złapałem sweter, schowałem go pod marynarkę i już byłem na zewnątrz. Dzień później ukradłem dla Hanny jedwabną nocną koszulę, zauważył mnie sklepowy detektyw, zacząłem biec, jakby chodziło o moje życie; z wielkim trudem udało mi się uciec. Przez wiele lat nie przestąpiłem później progu Kaufhofu.

Od czasu wspólnych nocy podczas naszej podróży co noc pragnąłem czuć ją obok siebie, przytulić się do niej, przycisnąć brzuch do jej pupy, pierś do jej pleców, położyć dłoń na jej piersiach, wyciągnąć rękę i znaleźć ją po przebudzeniu się nocą, wsunąć nogę na jej nogi i wtulić twarz w jej ramię. Tydzień spędzony samotnie w domu oznaczał siedem nocy z Hanną.

Pewnego wieczoru zaprosiłem ją i ugotowałem dla niej kolację. Stała w kuchni, kiedy kończyłem przyrządzanie potraw. Stała w otwartych dwuskrzydłowych drzwiach między jadalnią a salonem, kiedy podawałem do stołu. Siedziała w jadalni przy okrągłym stole, tam gdzie zwykle siedział ojciec. Rozglądała się wkoło.

Jej wzrok dotykał wszystkiego: biedermeierowskich mebli, fortepianu, starego stojącego zegara, obrazów, regałów z książkami, naczyń i sztucców na stole. Kiedy zostawiłem ją samą, żeby dokończyć przyrządzanie deseru, później nie zastałem jej już przy stole. Przeszła z pokoju do pokoju i zatrzymała się w gabinecie ojca. Oparłem się cicho o framugę drzwi, przyglądając się jej. Wędrowała wzrokiem po wypełniających ściany regałach z książkami, jakby czytała jakiś tekst. Po chwili podeszła do jednego z regałów, palcem wskazującym prawej ręki przejechała powoli wzdłuż grzbietów książek znajdujących się na wysokości jej piersi, podeszła do następnego regału, znowu przejechała palcem jeden grzbiet po drugim, obeszła w ten sposób cały pokój. Zatrzymała się przy oknie, popatrzyła w ciemność, na odbicie regałów

z książkami i na własne lustrzane odbicie.

Jest to jeden z obrazów Hanny, jakie zachowałem. Zakodowałem je w pamięci, mogę je więc wyświetlać i oglądać na wewnętrznym ekranie, nie zmienione, nie zużyte. Czasami przez długi czas o nich nie myślę. Kiedyś mi się one jednak znowu nasuwają i bywa, że muszę je wtedy wyświetlać i oglądać wiele razy z rzędu. Jeden to Hanna, która nakłada w kuchni pończochy. Inny to Hanna, która stoi przy wannie i trzyma w rozpostartych ramionach frotowy ręcznik. Kolejny to Hanna, która jedzie na rowerze, a jej spódnica trzepoce podczas jazdy. Następnie pojawia się obraz Hanny w gabinecie mojego ojca. Ma na sobie sukienkę w niebiesko-białe paski, nazywaną wówczas szmizjerką. Wygląda w niej młodo. Przejechała palcem wzdłuż grzbietów książek i popatrzyła w okno. Teraz odwraca się do mnie na tyle szybko, że na krótką chwilę spódnica okręca się wokół jej nóg, a potem znowu się wygładza. Jej wzrok jest zmęczony.

– Czy te książki twój ojciec tylko przeczytał, czy je również napisał?

Wiedziałem o książkach ojca o Kancie i Heglu, znalazłem obydwie i jej pokazałem.

– Przeczytaj mi z nich jakiś fragment. Nie chcesz mi przeczytać, chłopczyku?

– Ja... – Nie miałem na to ochoty, lecz nie chciałem jej odmawiać. Wziąłem książkę ojca o Kancie i przeczytałem z niej fragment, tekst o analityce i dialektyce, którego ani ona, ani ja jednakowo nie

rozumieliśmy. – Wystarczy?

Popatrzyła na mnie tak, jakby wszystko zrozumiała albo jakby nie było ważne, co się rozumie, a co nie. – Czy pewnego dnia też będziesz pisał takie książki?

Potrząsnąłem głową.

– Będziesz pisał inne książki?

– Nie wiem.

– Będziesz pisał sztuki?

– Nie wiem, Hanno.

Skinęła głową. Potem zjedliśmy deser i poszliśmy do niej. Chętnie spałbym z nią w moim łóżku, ona jednak tego nie chciała. Czuła się u mnie w domu jak intruz. Nie wyraziła tego słowami, lecz przez sposób, w jaki stała w kuchni albo w otwartych dwuskrzydłowych drzwiach, chodziła z pokoju do pokoju, przeszła wzdłuż rzędów książek ojca i siedziała ze mną przy kolacji.

Podarowałem jej jedwabną nocną koszulę. Była koloru oberżyny, miała cienkie ramiączka, odsłaniała ramiona i ręce i sięgała aż do kostek. Błyszczała i mieniła się. Hanna była uradowana; śmiała się, promieniała zachwytem. Popatrzyła po sobie, obróciła się, zrobiła kilka tanecznych kroków, zobaczyła siebie w lustrze, przyglądała się przez krótką chwilę swojemu odbiciu, a potem znowu zaczęła tańczyć. To także obraz, który pozostał mi po Hannie.

Początek roku szkolnego zawsze odczuwałem jako cezurę. Przejście z dziesiątej do jedenastej klasy przyniosło szczególnie przełomową zmianę. Moją klasę rozwiązano i podzielono między trzy równoległe. Sporo uczniów nie pokonało progu między dziesiątą a jedenastą klasą, dlatego cztery małe klasy połączono w trzy duże.

Gimnazjum, do którego uczęszczałem, przez długi czas przyjmowało tylko chłopców. Kiedy zaczęto przyjmować również dziewczęta, było ich z początku tak niewiele, że nie rozdzielano ich równomiernie między równoległe oddziały, lecz przydzielano najpierw tylko do jednej, później dwóch, trzech klas, aż w każdej stanowiły jedną trzecią uczniów. W moim roczniku nie było na tyle dziewcząt, żeby któreś z nich mogły trafić również do mojej dawnej klasy. Byliśmy czwartą równoległą, wyłącznie męską klasą. Dlatego naszą klasę rozwiązano i podzielono, a nie którąś z pozostałych.

Dowiedzieliśmy się o tym dopiero na początku nowego roku szkolnego. Dyrektor wezwał nas do sali lekcyjnej i oznajmił, że zostaliśmy podzieleni, objaśniając przy tym w jaki sposób. Razem z sześcioma innymi uczniami udałem się przez puste korytarze do nowej klasy. Wskazano nam miejsca, które pozostały jeszcze wolne; moje znajdowało się w drugim rzędzie. Były to pojedyncze stoliki, jednak w każdej z trzech kolumn stały po dwa obok siebie. Ja siedziałem

w środkowej kolumnie. Po lewej stronie miałem ucznia z dawnej klasy, ciężkiego, spokojnego, solidnego Rudolfa Bargena, który grał w hokeja i szachy; w dawnej klasie nie miałem z nim prawie nic do czynienia, w krótkim czasie został on jednak moim przyjacielem. Na prawo ode mnie po drugiej stronie przejścia siedziały dziewczęta.

Moją sąsiadką była Sophie. Ciemnowłosa, ciemnooka, z letnią opalenizną i złotymi włoskami na nagich ramionach. Kiedy usiadłem i obejrzałem się, uśmiechnęła się do mnie.

Odpowiedziałem jej uśmiechem. Miałem dobre samopoczucie, cieszyłem się na nowy początek w nowej klasie i na dziewczęta. Obserwowałem kolegów z dziesiątej klasy: niezależnie od tego, czy w ich klasach były wcześniej dziewczęta, czy nie, bali się ich, schodzili im z drogi, przechwalali się przed nimi lub je adorowali. Ja znałem kobiety, mogłem być swobodny i koleżeński. Dziewczęta to lubiły. W nowej klasie poradzę sobie z nimi i przez to zyskam również uznanie chłopców.

Czy każdy myśli w ten sposób? Kiedy byłem młody, czułem się albo zbyt pewnie, albo zbyt niepewnie. Albo miałem wrażenie, że jestem zupełnie nieudolny, niepozorny, nic nie wart, albo uważałem, że w sumie jestem udany, więc wszystko musi mi się udać. Kiedy czułem się pewnie, pokonywałem największe przeszkody. Wystarczyła jednak najmniejsza porażka, żebym się przekonał o swojej nicości. Poczucia pewności siebie nigdy nie odzyskiwałem po odniesieniu jakiegoś

sukcesu; każde powodzenie w żaloszny sposób pozostawało w tyle za osiągnięciem, którego się właściwie po sobie spodziewałem, i uznaniem innych, za którym tęskniłem, i czy odczuwałem ową żaloszność lub czy sukces napawał mnie dumą, zależało od tego, w jakiej byłem kondycji. Z Hanną było mi dobrze przez wiele tygodni – mimo naszych sprzeczek i chociaż ona ciągle mnie odpychała, a ja ciągle się poniżałem. Dlatego lato w nowej klasie również zaczęło się pomyślnie.

Widzę przed sobą salę lekcyjną: z przodu po prawej stronie – drzwi, na ścianie obok listwa z haczykami na ubrania, po lewej stronie okno przy oknie i dzięki temu widok na górę Heiligenberg – a kiedy podczas przerw staliśmy przy nich – na ulicę w dole, rzekę i łąki na jej drugim brzegu. Z przodu tablica, stojak na mapy i tablice pokazowe oraz pulpit i krzesło nauczyciela na podeście wysokim na stopę. Ściany aż do wysokości głowy pomalowane były żółtą olejną farbą, powyżej na biało, a z sufitu zwisały dwie kuliste mleczne lampy. W pomieszczeniu tym nie było nic zbędnego: żadnych obrazów, żadnych kwiatów, żadnego zbywającego stolika, żadnej szafy z zapomnianymi książkami i zeszytami albo kolorową kredą. Błądzący wzrok wymykał się przez okno na zewnątrz albo dotykał skrycie sąsiadki lub sąsiada. Gdy Sophie zauważyła, że na nią patrzę, obracała się do mnie z uśmiechem.

– Panie Berg, Sophie jest greckim imieniem, to jednak nie powód, żeby w czasie lekcji greki studiował pan swoją sąsiadkę. Proszę tłumaczyć!

Tłumaczyliśmy „Odyseję”. Przeczytałem ją w języku niemieckim, uwielbiałem i uwielbiam ją do dziś. Kiedy przychodziła kolej na mnie, potrzebowałem kilku sekund na zorientowanie się w tekście i zaczynałem tłumaczyć. Gdy nauczyciel zadrwił ze mnie z powodu Sophie i klasa przestała się śmiać, zacząłem dukać z innego względu. Nauzykaa, śmigła i piękna jak bogini, dziewicza i białoramienna – czy miałem wyobrazić sobie przy tym Hannę, czy Sophie? Musiała to być jedna z nich.

Kiedy w samolotach przestają pracować silniki, nie oznacza to jeszcze końca lotu. Samoloty nie spadają z nieba jak kamienie. Olbrzymie, wielodyszowe samoloty pasażerskie szybują dalej przez pół godziny, trzy kwadranse, by rozbić się później podczas próby lądowania. Pasażerowie nic nie zauważają. Lotu z wyłączonymi silnikami nie odczuwa się inaczej niż z pracującymi. Jest ciszej, ale tylko trochę: głośniejszy od silników jest wiatr, który odbija się o kadłub i skrzydła. W którymś momencie widać przez okno, że ziemia albo morze są zatrważająco blisko. Albo leci jakiś film, dlatego stewardesy i stewardzi spuścili żaluzje. Być może ten trochę cichszy lot jest nawet dla pasażerów szczególnie przyjemny.

Lato było takim ślizgowym lotem naszej miłości. Lub raczej mojej miłości do Hanny; o jej miłości do mnie nic nie wiem.

Zachowaliśmy nasz rytuał: głośne czytanie, branie prysznic, kochanie się i leżenie obok siebie. Czytałem na głos „Wojnę i pokój” ze wszystkimi wywodami Tołstoja na temat historii, wielkich ludzi, Rosji, miłości i małżeństwa, musiało to trwać czterdzieści, pięćdziesiąt godzin. Hanna znowu śledziła w napięciu rozwój akcji książki. Było jednak inaczej niż dotychczas; powstrzymywała się od ocen, nie włączała Nataszy, Andrzeja i Pierre’a w swój świat, jak Luizę i Emilię, lecz sama wkraczała w ich świat, tak jak ktoś odbywa w zdumieniu daleką podróż

albo przestępuje próg pałacu; zostaje do niego wpuszczony, wolno mu tam zabawić, poznaje go, nigdy nie traci jednak całkowicie onieśmielenia. To, co jej do tej pory czytałem, znałem już wcześniej. „Wojna i pokój” była nowa również dla mnie. Wspólnie odbywaliśmy tę daleką podróż.

Wymyślaliśmy dla siebie pieszczotliwe określenia. Ona nie mówiła już do mnie tylko „chłopczyku”, lecz z dodatkiem różnych przydawek i zdrobnień, zaczęła mnie nazywać żabą lub żółwiem, szczeniędem, kamykiem i różą. Ja zostałem przy Hannie, aż mnie kiedyś zapytała: – O jakim stworzeniu myślisz, kiedy trzymasz mnie w ramionach, zamykasz oczy i myślisz o zwierzętach? – Zamknąłem oczy i pomyślałem o zwierzętach. Leżeliśmy przytuleni do siebie; moja głowa przy jej szyi, moja szyja przy jej piersiach, moje prawe ramię pod nią, na jej plecach, a lewe na pupie. Gładziłem ramionami i dłońmi jej szerokie plecy, twarde uda, jędrną pupę, na szyi i piersi czując również jędrność jej piersi i brzucha. Skóra była w dotyku gładka i miękka, a ciało pod nią silne, solidne. Kiedy moja ręka spoczywała na jej udzie, wyczuwała ustawiczną grę drgających mięśni. To przywodziło mi na myśl drzenie skóry, jakim konie próbują odgonić muchy. – O koniu.

– O koniu? – Oderwała się ode mnie, wyprostowała i na mnie popatrzyła. Spojrzała na mnie z przerażeniem.

– To ci się nie podoba? Dlatego przychodzi mi na myśl koń, bo w dotyku jesteś taka przyjemna, gładka i miękka, a pod spodem jędrna

i silna. I twoje udo drga. – Wytlumaczyłem jej swoje skojarzenie.

Spojrzała na grę mięśni swoich ud. – Koń – potrząsnęła głową – czy ja wiem...

To nie było w jej stylu. Zwykle wyrażała się bardzo jednoznacznie, albo coś pochwałała, albo ganiła. Na widok jej przerażonego spojrzenia gotów byłem w razie potrzeby wszystko odwołać, oskarżyć samego siebie i prosić ją o przebaczenie. Teraz próbowałem ją jednak przekonać do konia. – Mógłbym do ciebie mówić cheval, koniku, Bucefałku albo equusku. W przypadku konia nie myślę o końskiej szczęce albo głowie czy czymkolwiek, co ci się nie podoba, lecz o czymś dobrym, ciepłym, miękkim, mocnym. Ty nie jesteś zajączkiem ani kotkiem, a w tygrysicy jest coś złego, czego ty w sobie nie masz.

Położyła się na plecach z rękami pod głową. Teraz ja się podniosłem i na nią spojrzałem. Patrzyła przed siebie pustym wzrokiem. Po chwili skierowała twarz w moją stronę. Jej wyraz był niezwykle głęboki. – Lubię, gdy mnie nazywasz koniem, i lubię te inne nazwy – wyjaśnisz mi je?

Kiedyś byliśmy razem w pobliskim mieście na „Intrydze i miłości”. To była pierwsza wizyta Hanny w teatrze, delectowała się więc wszystkim, od przedstawienia po szampan w antrakcie. Objąłem ją ramieniem w talii, nie przejmowałem się tym, co ludzie mogli pomyśleć o nas jako parze. Byłem dumny, że było mi to obojętne. Jednocześnie wiedziałem, że nie byłoby mi to obojętne w teatrze rodzinnego miasta.

Czy ona to też wiedziała?

Wiedziała, że latem moje życie nie obracało się już tylko wokół niej, szkoły i nauki. Gdy przychodziłem do niej późnym popołudniem, coraz częściej wracałem z basenu. Tam spotykali się koledzy i koleżanki z klasy, odrabiali razem zadania domowe, grali w piłkę nożną, siatkówkę, skata i flirtowali. Tam toczyło się życie towarzyskie klasy i wiele dla mnie znaczyło, że mogłem w nim uczestniczyć. To, że w zależności od pracy Hanny przychodziłem później od innych albo wychodziłem wcześniej, nie szkodziło uznaniu, jakim się cieszyłem, lecz czyniło mnie interesującym. Wiedziałem o tym. Wiedziałem także, że nic przez to nie traciłem, a jednak często towarzyszyło mi uczucie, że akurat wtedy, gdy mnie tam nie było, zdarzyło się Bóg wie co. Przez długi czas nie śmiałem zadać sobie pytania, czy wolałem przebywać na pływalni, czy u Hanny. Jednak w lipcu, w dniu moich urodzin, na basenie mnie fetowano i z żalem wypuszczono, a powitała mnie wyczerpana Hanna w złym nastroju. Nie wiedziała, że były moje urodziny. Kiedy zapytałem o datę jej urodzin, podała mi 21 października, nie pytając o moje. Nie miała zresztą gorszego humoru niż zwykle, gdy padała ze zmęczenia. Mnie irytował jednak jej zły nastrój i zapragnąłem wrócić na basen, do koleżanek i kolegów z klasy, do lekkości naszych rozmów, żartów, gier i flirtów. Kiedy i ja zareagowałem złym humorem, zaczęliśmy się kłócić i Hanna traktowała mnie jak powietrze, znowu pojawił się strach, że mógłbym ją stracić,

poniżalem się i przeproszałem, dopóki mnie do siebie nie dopuściła.
Byłem jednak pełen żalu.

Później zacząłem ją zdradzać.

Nie oznacza to, że wyjawiałem jakieś tajemnice albo kompromitowałem Hannę. Nie wyjawiałem nic, co powinienem był przemilczeć. Przemilczałem to, co powinienem był wyjawić. Nie przyznawałem się do niej. Wiem, że wyparcie się jest niepozornym wariantem zdrady. Z zewnątrz nie można zauważyć, czy ktoś się kogoś wypiera, czy tylko zachowuje dyskrecję, jest taktowny, unika niezręczności i nieprzyjemności. Jednak ten, kto się nie przyznaje, wie dokładnie, co robi. A wyparcie się tak samo pozbawia związek podstaw, jak bardziej spektakularne warianty zdrady.

Nie wiem już, kiedy po raz pierwszy wyparłem się Hanny. Z koleżeństwa letnich popołudni na basenie rodziły się przyjaźnie. Poza sąsiadem z ławki, którego znałem z dawnej klasy, w nowej klasie polubiłem szczególnie Holgera Schlutera, który tak jak ja interesował się historią i literaturą i z którym szybko nawiązałem bliski kontakt. Po krótkim czasie bliski kontakt miałem również z Sophie, która mieszkała kilka ulic dalej i dlatego razem chodziliśmy na pływalnię. Z początku wmawiałem w siebie, że nie jestem jeszcze na tyle spoufalcony z przyjaciółmi, żeby opowiadać im o Hannie. Później nie znalazłem stosownej okazji, stosownej chwili, stosownych słów. Wreszcie było za późno, żeby opowiadać o Hannie, zaprezentować ją wraz z innymi

młodzieńczymi tajemnicami. Powiedziałem sobie, że gdybym zaczął o tym tak późno, musiałoby powstać fałszywe wrażenie, iż dlatego milczałem o niej przez tak długi czas, gdyż nasz związek nie był przyzwoity i miałem wyrzuty sumienia. Jak bym siebie jednak nie zwodził, wiedziałem, że zdradziłem Hannę, udając, że dzielę się z przyjaciółmi tym, co było w moim życiu ważne, a milcząc o niej.

Oni zauważyli, że nie byłem całkiem otwarty, i to pogarszało tylko sytuację. Pewnego wieczoru, kiedy wracaliśmy z Sophie do domu, zaskoczyła nas burza, stanęliśmy więc na Neuenheimer Feld pod okapem domku na działce; wówczas nie było tam jeszcze budynków uniwersyteckich, lecz pola i ogrody. Błyskało się i grzmiało, wiał silny wiatr i padały gęste, ciężkie krople deszczu. Temperatura spadła przy tym chyba o pięć stopni. Marzliśmy, objąłem ją więc ramieniem.

– Michael? – Nie spojrzała na mnie, patrzyła w deszcz.

– Tak?

– Byłeś długo chory na żółtaczkę. Czy to z tym masz problemy? Boisz się, że już całkiem nie wyzdrowiejesz? Czy lekarze coś powiedzieli? Czy musisz chodzić codziennie do szpitala wymieniać krew albo robić infuzje?

Hanna jako choroba. Zawstydzilem się. Jednak tym bardziej nie mogłem o niej mówić. – Nie, Sophie. Nie jestem już chory. Wyniki badań wątroby są dobre, za rok mógłbym nawet pić alkohol, gdybym chciał, ale ja nie chcę. Z czym mam... – Gdy chodziło o Hannę, wolałem

uniknąć sformułowania: z czym mam problem. – Dlaczego przychodzę później albo wychodzę wcześniej, to całkiem inna sprawa.

– Nie chcesz o tym mówić czy właściwie chciałbyś, ale nie wiesz jak?

Nie chciałem czy nie wiedziałem jak? Sam nie potrafiłem tego powiedzieć. Kiedy jednak staliśmy tak wśród błyskawic, trzaskających z bliska grzmotów i bębniącego deszczu, marznąc, trochę się nawzajem grzejąc, miałem uczucie, że jej, zwłaszcza jej powinienem opowiedzieć o Hannie. – Może będę mógł o tym mówić innym razem.

Do tego jednak nigdy nie doszło.

Nigdy nie dowiedziałem się, co Hanna robiła, kiedy ani nie pracowała, ani nie byliśmy razem. Gdy o to pytałem, nie odpowiadała. Nie mieliśmy wspólnego życia, lecz wyznaczała mi w swoim życiu miejsce według swojego uznania. Tym musiałem się zadowolić. Zuchwałością było, jeśli chciałem mieć coś więcej czy choćby tylko coś więcej wiedzieć. Kiedy byliśmy ze sobą szczególnie szczęśliwi i pytałem ją o to w przeświadczeniu, że teraz wszystko jest możliwe i dozwolone, wtedy mogło się zdarzyć, że odpowiadała na moje pytanie wymijająco zamiast je zignorować. – Pytasz o takie rzeczy, chłopczyku! – Albo brała moją rękę i kładła ją na swoim brzuchu. – Chcesz, żeby się w nim porobiły dziury? – Albo wyliczała na palcach: – Muszę pracować, muszę prasować, muszę zamiatać, muszę ścierać kurze, muszę robić zakupy, muszę gotować, muszę strząsnąć śliwki, pozbierać je, zanieść do domu i szybko zagotować, inaczej zje je ten mały – wsunęła mały palec lewej ręki między prawy kciuk i palec wskazujący – inaczej zje je zupełnie sam.

Nigdy nie spotkałem jej także przypadkiem na ulicy, w sklepie czy kinie, dokąd, jak twierdziła, chodziła chętnie i często i dokąd podczas pierwszych miesięcy zawsze chciałem ją zabrać, lecz ona się przed tym wzbraniała. Czasami rozmawialiśmy o filmach, które obejrzelśmy obydwój. Ona, co dziwne, chodziła do kina na wszystko bez wyboru

i oglądała zarówno niemieckie filmy wojenne i nostalgiczne, westerny, jak i nouvelle vague, a ja lubiłem każdą produkcję Hollywoodu i nie miało znaczenia, czy akcja rozgrywała się w Starożytnym Rzymie, czy na Dzikim Zachodzie. Jeden western lubiliśmy obydwój w szczególny sposób; Richard Widmark gra w nim szeryfa, który następnego dnia musi stanąć do pojedynku i może tylko przegrać. Wieczorem stuka do drzwi Dorothy Malone, która na próżno radziła mu uciekać. Ona otwiera drzwi: „Czego teraz chcesz? Całe życie w jedną noc?” Hanna droczyła się ze mną czasami, kiedy przychodziłem do niej pełen pożądania. – Czego teraz chcesz? Całe życie w jedną godzinę?

Tylko raz zobaczyłem Hannę, nie umówiwszy się z nią. To było pod koniec lipca albo na początku sierpnia, w ostatnich dniach przed feriami letnimi.

Hannę ogarnął dziwny nastrój, przez wiele dni była kapryśna, władcza, a jednocześnie znajdowała się wyraźnie pod jakąś presją, która męczyła ją niewymownie, i pod wpływem tego stawała się przeczulona, drażliwa. Brała się w garść, trzymała się w garści, jakby groziło jej, że pięknie wskutek tej presji, a ona nie chciała do tego dopuścić. Na moje pytanie, co ją tak męczy, zareagowała mrukliwie. Nie umiałem sobie z tym poradzić. Bowiem nie tylko czułem się odrzucony, domyślałem się również jej bezradności i próbowałem być przy niej, a jednocześnie zostawić ją w spokoju. Pewnego dnia presja zniknęła. Początkowo myślałem, że Hanna znowu jest taka jak zawsze. Po zakończeniu

„Wojny i pokoju” nie zaczęliśmy od razu nowej książki; obiecałem, że o to zadbam, i miałem przy sobie kilka tytułów do wyboru.

Ona nie chciała jednak czytać. – Wykąpię cię, chłopczyku.

To nie letnia duchota otuliła mnie niczym ciężka tkanina, kiedy wszedłem do kuchni. Hanna włączyła piecyk. Napuściła wody do wanny, dodała do niej kilka kropel lawendy i zaczęła mnie myć. W gorącym, wilgotnym powietrzu bladoniebieska podomka w kwiatki, pod którą nie miała bielizny, przyklejała się do jej pocącego się ciała. Hanna była bardzo podniecająca. Kiedy się kochaliśmy, miałem uczucie, że chciała mnie doprowadzić do doznań wykraczających poza wszystko, czego dotychczas doświadczyłem, tam, gdzie nie mogłem już wytrzymać. Jej oddanie było również jedyne w swoim rodzaju, ale nie bezgraniczne; nigdy nie zrezygnowała z wytyczonych przez siebie granic. Wydawało się jednak, jakby chciała razem ze mną zatonać.

– Teraz zmykaj do swoich przyjaciół. – Pożegnała mnie, a ja odjechałem. Upał zastygł pomiędzy domami, zawisł nad polami i ogrodami i drżał ponad asfaltem. Byłem oszołomiony. Na basenie krzyki bawiących się, pluskających dzieci docierały do mojego ucha jakby z bardzo daleka. W ogóle chodziłem po świecie tak, jakbyśmy nie mieli ze sobą nic wspólnego. Zanurzyłem się w chlorowanej, mlecznej wodzie, nie mając już ochoty kiedykolwiek się wynurzać. Leżałem przy innych, przysłuchując się im, i wszystko, co mówili, wydawało mi się śmieszne i błahe.

Po jakimś czasie ten nastrój się ulotnił. Po jakimś czasie było to normalne popołudnie na basenie z zadaniami domowymi, siatkówką, plotkami i flirtem. Nie pamiętam, czym się akurat zajmowałem, kiedy podniosłem wzrok i ją zobaczyłem.

Stała w odległości dwudziestu, trzydziestu metrów w szortach i rozpiętej bluzce, która była związana w talii, i patrzyła w moim kierunku. Ja patrzyłem na nią. Z takiej odległości nie mogłem odczytać wyrazu jej twarzy. Nie poderwałem się i nie pobiegłem do niej. Przeszło mi przez myśl, dlaczego jest na basenie, czy chce być widziana przez mnie i ze mną, czy ja chcę być widziany z nią, że jeszcze nigdy nie spotkaliśmy się przypadkiem, co mam robić. Po chwili wstałem. W tym krótkim momencie, kiedy oderwałem od niej wzrok, odeszła.

Hanna w szortach i związanej w talii bluzce, zwrócona ku mnie jej twarz, której wyrazu nie mogę odczytać – to również obraz, który po niej zachowałem.

Następnego dnia już jej nie było. Przyszedłem o zwykłej porze i zadzwoniłem. Zajrzałem przez drzwi, wszystko wyglądało tak jak zwykle, słyszałem tykanie zegara.

Usiadłem znowu na stopniach schodów. W pierwszych miesiącach zawsze wiedziałem, na jakich trasach jeździła, mimo że już nigdy nie próbowałem jej towarzyszyć czy choćby po nią wyjść. Po jakimś czasie przestałem o to pytać i się tym interesować. Dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę.

Z budki telefonicznej na Wilhelmsplatz zadzwoniłem do spółki zarządzającej tramwajami i kolejką górską, łączono mnie tam z kilkoma kolejnymi osobami, zanim dowiedziałem się, że Hanna Schmitz nie przyszła do pracy. Wróciłem na Bahnhofstrasse, w stolarni na podwórzu zapytałem o właściciela domu i dostałem nazwisko i adres w Kirchheim. Pojechałem tam.

– Pani Schmitz? Dzisiaj się wyprowadziła. – A jej meble?

– To nie są jej meble.

– Od kiedy mieszkała w tym mieszkaniu?

– A co to pana obchodzi? – Kobieta zamknęła okno w drzwiach, przez które ze mną rozmawiała.

W budynku administracyjnym spółki zarządzającej tramwajami i kolejką górską, dopytując się ciągle o drogę, trafiłem w końcu do działu

kadr. Odpowiedzialny pracownik był uprzejmy i zatroskany.

– Zadzwoiła dziś rano, na tyle wcześnie, że mogliśmy zorganizować zastępstwo, i powiedziała, że już nie przyjdzie. W ogóle. – Potrząsnął głową. – Czternaście dni temu siedziała tu, na pana krześle, zaproponowałem jej, że wyszkolimy ją na motorniczego, a ona wszystko rzuca.

Dopiero kilka dni później pomyślałem o tym, żeby pójść do urzędu meldunkowego. Wymeldowała się do Hamburga, nie podając żadnego adresu.

Przez wiele dni było mi niedobrze. Starłem się, żeby rodzice i rodzeństwo nic nie zauważyli. Przy stole uczestniczyłem trochę w rozmowie, jadłem trochę wraz z innymi, a kiedy musiałem wymiotować, udawało mi się zdążyć do ubikacji. Chodziłem do szkoły i na basen. Spędzałem tam popołudnia na uboczu, gdzie nikt mnie nie szukał. Moje ciało tęskniło do Hanny. Gorsze od fizycznej tęsknoty było jednak poczucie winy. Dlaczego, kiedy tak stała, nie zerwałem się natychmiast i nie pobiegłem do niej! W tej jednej nieznaczonej sytuacji skupiła się cała moja bezduszność z ostatnich miesięcy, pod wpływem której wyparłem się jej i ją zdradziłem. Odeszła za karę.

Czasami próbowałem sobie wmówić, że to nie ją widziałem. Jak mogłem być pewny, że to była ona, skoro nie widziałem dobrze twarzy? Czy jeśli to była ona, nie powinienem był rozpoznać jej twarzy? Czy nie mogłem więc być niepewny, że to mogła być nie ona?

Wiedziałem jednak, że to była ona. Stała tak i patrzyła – i było już za późno.

Część Druga

Kiedy Hanna opuściła miasto, upłynęło trochę czasu, zanim przestałem jej wszędzie wyglądać, zanim się przyzwyczyłem, że popołudnia straciły swój kształt, zanim mogłem patrzeć na książki i otwierać je, nie zadając sobie pytania, czy nie nadawałyby się do przeczytania na głos. Upłynęło trochę czasu, zanim moje ciało przestało wreszcie tęsknić do jej ciała; czasami sam dostrzegałem, jak moje ramiona i nogi szukały jej we śnie, a brat wielokrotnie bawił wszystkich przy stole, opowiadając, że wołałem przez sen „Hanna”. Pamiętam także lekcje w szkole, podczas których śniłem tylko o niej, myślałem tylko o niej. Zniknęło poczucie winy, które męczyło mnie w pierwszych tygodniach. Unikałem jej domu, chodziłem innymi drogami, a pół roku później moja rodzina przeprowadziła się do innej dzielnicy. Nie oznaczało to, że zapomniałem o Hannie. Jednak pewnego dnia wspomnienie o niej przestało mi towarzyszyć. Pozostało w tyle, tak jak w tyle pozostaje miasto, kiedy pociąg jedzie dalej. Ono jest, gdzieś tam daleko, można do niego pojechać i upewnić się co do jego istnienia. Tylko po co miałyby się to robić.

Ostatnie lata szkolne i pierwsze uniwersyteckie zachowałem w pamięci jako szczęśliwy okres. Jednocześnie tak niewiele mogę o nich powiedzieć. Przeszły bez wysiłku; matura i wybrane bez przekonania studia prawnicze nie sprawiały mi trudności, podobnie jak przyjaźnie,

miłosne związki i rozstania, nic nie sprawiało mi trudności. Wszystko przychodziło mi łatwo, wszystko miało niewielką wagę. Może dlatego paczuszka wspomnień jest taka mała. A może nie dopuszczam, żeby była większa? Zadaję sobie również pytanie, czy te szczęśliwe wspomnienia są w ogóle prawdziwe. Im dalej sięgam pamięcią wstecz, na myśl przychodzi mi wystarczająco zawstydzających i bolesnych sytuacji, i wiem, że pożegnałem wprawdzie wspomnienie o Hannie, ale go nie przewyciężyłem. Po Hannie nigdy więcej nie dać się już poniżyć i nie poniżyć, nigdy nie obarczać winą i nie czuć się winnym, nikogo już tak nie kochać, żeby jego strata bolała – nie myślałem o tym wtedy w tak wyraźny sposób, ale zdecydowanie tak czułem.

Przybrałem pyszałkowaty, wyniosły sposób bycia, występowałem w roli kogoś, kogo nic nie dotyka, nie wstrząsa, nie zbija z tropu. W nic się nie wdawałem. Pamiętam nauczyciela, który mnie przejrzał i o to zagadnął, a ja zbyłem go arogancko. Pamiętam także Sophie. Niedługo po wyjeździe Hanny z miasta stwierdzono u Sophie gruźlicę. Trzy lata spędziła w sanatorium, wróciła, kiedy akurat zostałem studentem. Czuła się samotna, szukała kontaktu z dawnymi przyjaciółmi, nie było mi więc trudno wkraść się w jej serce. Kiedy przespaliśmy się ze sobą, dostrzegła, że tak naprawdę nie chodziło mi o nią, powiedziała więc przez łzy: – Co się z tobą stało, co się z tobą stało! – Pamiętam dziadka, który podczas jednych z moich ostatnich odwiedzin przed jego śmiercią chciał mnie pobłogosławić, a ja mu oświadczyłem, że w to nie wierzę

i nie przywiązuję do tego wagi. Trudno mi sobie wyobrazić, żebym się wówczas dobrze czuł po takim zachowaniu. Pamiętam również, że w obliczu drobnych gestów tkliwości czułem ucisk w gardle, bez względu na to, czy owe gesty dotyczyły mnie, czy kogoś innego. Czasami wystarczyła scena w jakimś filmie. Owa opryskliwość i wrażliwość obok siebie mnie samemu wydawały się podejrzane.

Hannę zobaczyłem ponownie na sali sądowej.

Nie był to pierwszy proces dotyczący obozów koncentracyjnych i nie ten z największych. Profesor, jeden z nielicznych, którzy pracowali wówczas nad nazistowską przeszłością i odpowiednimi procesami sądowymi, poświęcił mu seminarium, licząc na to, że przy pomocy studentów będzie mógł śledzić cały jego przebieg i go później spożytkować. Nie wiem już, co chciał sprawdzić, potwierdzić albo obalić. Pamiętam, że na seminarium dyskutowano o zakazie karania z mocą wstecz. Czy wystarczy, że artykuł, na podstawie którego skazuje się strażników i oprawców obozów koncentracyjnych, występował w kodeksie karnym już w czasie ich przestępstw, czy ważne jest, jak w czasie ich przestępstw był rozumiany i stosowany i że właśnie wtedy ich nie dotyczył. Czym jest prawo? Tym, co jest zapisane w kodeksie, czy tym, co w społeczeństwie rzeczywiście jest akceptowane i przestrzegane? A może prawem jest to, co niezależnie, czy jest zapisane w kodeksie, czy nie, należałoby akceptować i przestrzegać, jeśli wszystko przebiegałoby normalnie? Profesor, starszy pan, który wrócił z emigracji, w niemieckim prawie pozostał jednak autsajderem, uczestniczył w tych dyskusjach z całą swoją uczonością, a jednocześnie rezerwą człowieka, który przy rozwiązywaniu problemu nie stawia już na uczoność. – Proszę się przyjrzeć oskarżonym – nie znajdziecie

państwo nikogo, kto by naprawdę sądził, że wolno mu było wtedy mordować.

Seminarium rozpoczęło się w zimie, rozprawa sądowa na wiosnę. Ciągnęła się ona przez wiele tygodni. Posiedzenia sądu trwały od poniedziałku do czwartku i na każdy z tych czterech dni profesor przydzielił grupę studentów, którzy prowadzili szczegółowy protokół. W piątek odbywało się spotkanie seminaryjne, na którym podsumowywano wydarzenia z ostatniego tygodnia.

Rozrachunek! Rozrachunek z przeszłością! My, studenci seminarium, widzieliśmy siebie w roli awangardy rozrachunku. Otwieraliśmy na oścież okna, wpuszczaliśmy do środka powietrze i wiatr wzbijający wreszcie kurz, któremu społeczeństwo pozwoliło osiąść na okropieństwach przeszłości. My zatroszczyliśmy się o to, żeby można było oddychać i coś widzieć. Również i my nie stawialiśmy na prawniczą uczoność. To, że należało skazywać, było dla nas bezsporne. Równie bezsporne było i to, że tylko na pierwszy rzut oka chodziło o skazanie tego czy owego strażnika i oprawcy obozu koncentracyjnego. Tak naprawdę przed sądem stało pokolenie, które posłużyło się strażnikami i oprawcami, nie powstrzymało ich albo przynajmniej nie odepchnęło, kiedy po 1945 roku mogło ich odepchnąć, a my skazywaliśmy je na wstyd w procesie rozrachunku i wyjaśnianiu przeszłości.

Nasi rodzice odegrali w Trzeciej Rzeszy bardzo różne role. Niektórzy

ojcowie byli na wojnie, wśród nich dwóch lub trzech oficerów Wehrmachtu i jeden oficer Waffen-SS, kilku zrobiło karierę w wymiarze sprawiedliwości i administracji, mieliśmy pośród rodziców nauczycieli i lekarzy, a czyjś wujek był wysokim urzędnikiem w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Rzeszy. Jestem pewien, że o ile my byśmy ich o to zapytali, a oni nam odpowiedzieli, mieliby do opowiedzenia bardzo różne rzeczy. Mój ojciec nie chciał o sobie mówić. Wiedziałem jednak, że stracił posadę jako wykładowca filozofii z powodu zapowiedzi wykładu o Spinozie i siebie i nas utrzymywał w czasie wojny jako redaktor wydawnictwa publikującego mapy i książki turystyczne. Skąd mi przyszło do głowy skazywać go na wstyd. A jednak to robiłem. Wszyscy skazywaliśmy naszych rodziców na wstyd, nawet gdy mogliśmy ich oskarżyć tylko o to, że po 1945 roku tolerowali u siebie, w swoim gronie przestępców.

My, studenci seminarium, stworzyliśmy silną grupową tożsamość. My z seminarium o kacetach – z początku tak mówili inni studenci, a wkrótce my sami zaczęliśmy tak siebie nazywać. To, co robiliśmy, nie interesowało innych; u wielu budziło niezrozumienie, niektórych niemal odpychało. Teraz myślę, że gorliwość, z jaką przyjmowaliśmy do wiadomości potworne rzeczy i chcieliśmy je uświadomić innym, była rzeczywiście odpychająca. Im straszniejsze były wydarzenia, o których czytaliśmy i słyszeliśmy, tym pewniejsi byliśmy naszej misji polegającej na wyjaśnianiu i oskarżaniu. Nawet jeśli te wydarzenia zapierały nam

dech – obnosiliśmy się z nimi triumfalnie. Popatrzcie tylko!

Zgłosiłem się na to seminarium ze zwykłej ciekawości. Było to przynajmniej coś innego, a nie prawo kupna, sprawstwo i uczestnictwo, zwierciadło saskie i starocie z filozofii prawa. Pyszałkowaty, wyniosły sposób bycia, który przybrałem, wniosłem również na seminarium. W trakcie zimy w coraz mniejszym stopniu mogłem się jednak dystansować wobec wydarzeń, o których czytaliśmy i słyszeliśmy, wobec gorliwości, która opanowała studentów seminarium. Z początku wmawiałem w siebie, że chcę dzielić tylko naukową albo polityczną i moralną gorliwość. Chciałem jednak więcej: chciałem dzielić powszechną gorliwość. Inni nadal mogli mnie odbierać jako osobę zachowującą rezerwę i arogancką. Mnie samemu podczas tych zimowych miesięcy towarzyszyło dobre poczucie, że byłem jednym z nich, w zgodzie z samym sobą, tym, co robiłem, i tymi, z którymi to robiłem.

Rozprawa sądowa odbywała się w innym mieście, oddalonym o niecałą godzinę jazdy samochodem. Nigdy wcześniej nie miałem tam nic do załatwienia. Samochód prowadził inny student. Wychował się w tym mieście i dobrze je znał.

Był czwartek. Rozprawa sądowa zaczęła się w poniedziałek. Pierwsze trzy dni procesu upłynęły na wnioskach o wyłączenie złożonych przez obrońców. Byliśmy czwartą grupą i mieliśmy śledzić przesłuchanie oskarżonych co do osoby – właściwy początek rozprawy.

Jechaliśmy przez Bergstrasse pod kwitnącymi drzewami owocowymi. Byliśmy w podniosłych, entuzjastycznych nastrojach; wreszcie mogliśmy się wykazać tym, do czego się przygotowaliśmy. Nie czuliśmy się zwykłymi widzami, słuchaczami i protokolantami. Przyglądanie się, przysłuchiwanie i sporządzanie protokołów było naszym wkładem do rozrachunku z przeszłością.

Sąd mieścił się w budowli z przełomu wieków, jednak pozbawionej owej pompy i mroczności charakteryzującej często ówczesne gmachy sądowe. Sala, w której odbywało się posiedzenie sądu przysięgłych, miała po lewej stronie rząd dużych okien; ich mleczone szyby nie pozwalały przeniknąć spojrzeniu na zewnątrz, wpuszczały jednak dużo światła. Pod oknami siedzieli prokuratorzy i w jasne wiosenne i letnie dni widoczne były tylko ich kontury. Sąd, trzech sędziów w czarnych

togach i sześciu ławników, siedział z przodu sali. Po prawej stronie znajdowała się natomiast ława oskarżonych i obrońców; ze względu na ich dużą liczbę przedłużona aż na środek sali za pomocą stołów i krzeseł ustawionych przed rzędami z publicznością. Kilka oskarżonych i kilku obrońców siedziało odwróconych do nas plecami. Hanna siedziała do nas tyłem. Poznałem ją dopiero wtedy, gdy została wywołana, wstała i wystąpiła do przodu. Natychmiast poznałem oczywiście nazwisko: Hanna Schmitz. Po chwili rozpoznałem także jej sylwetkę, głowę ze związanymi obco w węzeł włosami, kark, szerokie plecy i silne ramiona. Trzymała się prosto. Stała mocno na nogach. Ramiona zwisały luźno wzdłuż ciała. Miała na sobie szarą sukienkę z krótkimi rękawami. Poznałem ją, jednak nic nie czułem. Nic nie czułem.

Tak, woli stać. Tak, urodziła się 21 października 1922 roku koło Hermannstadt i ma teraz czterdzieści trzy lata. Tak, pracowała w Berlinie u Siemensa i jesienią 1943 roku wstąpiła do SS.

– Czy wstąpiła pani do SS dobrowolnie?

– Tak.

– Dlaczego?

Hanna nie odpowiadała.

– Czy to prawda, że wstąpiła pani do SS, chociaż zaproponowano pani u Siemensa posadę brygadzystki?

Obrońca Hanny poderwał się z miejsca. – Co w tym przypadku znaczy „chociaż”? Co ma oznaczać insynuacja, że ta kobieta powinna

była zostać brygadzystką u Siemensa zamiast wstępować do SS? Nic nie uzasadnia tego, by decyzję mojej mocodawczyni zamieniać w przedmiot takiego pytania.

Usiadł. Był jedynym młodym obrońcą w przeciwieństwie do pozostałych, z których kilku, jak się wkrótce okazało, było starymi nazistami. Obrońca Hanny unikał ich żargonu i tez. Charakteryzowała go jednak nerwowa gorliwość, która jego mocodawczyni szkodziła tak samo, jak nazistowskie tyrady jego kolegów ich mocodawczyniom. Uzyskał wprawdzie tyle, że przewodniczący spojrział na niego z irytacją i nie zajmował się dłużej pytaniem, dlaczego Hanna wstąpiła do SS. Pozostało jednak wrażenie, że zrobiła to z rozmysłem i bez konieczności. Choć sędzia wotant zapytał później, jaka praca czekała na nią w SS, a ona oświadczyła, że u Siemensa, jak również w innych zakładach SS werbowano kobiety do służby wartowniczej, że do tej pracy się zgłosiła i w tym celu została zatrudniona, nie zatarło to już jednak owego negatywnego wrażenia.

Przewodniczący uzyskał od Hanny lakoniczne potwierdzenie, że do wiosny 1944 roku służyła w Oświęcimiu, a do zimy 1944/45 roku w małym obozie pod Krakowem, że wraz z więźniarkami wyruszyła na zachód i dotarła do celu, że pod koniec wojny przebywała w Kassel, a później mieszkała to tu, to tam. Przez osiem lat żyła w moim rodzinnym mieście; był to najdłuższy czas, jaki spędziła w jednym miejscu.

– Czy częsta zmiana miejsca zamieszkania ma uzasadniać groźbę ucieczki? – Adwokat nie skrywał ironii. – Moja mocodawczym przy każdej zmianie miejsca zamieszkania wymeldowywała się i zameldowywała na policji. Nic nie przemawia za tym, że mogłaby uciec, nie ma takiej rzeczy, którą mogłaby zatuszować. Czy ze względu na ciężar zarzucanego czynu i groźbę wywołania publicznego zgorszenia sędzia wydający nakaz aresztowania uznał, iż pozostawienie mojej mocodawczym na wolności jest nie do przyjęcia? To jest, wysoki sędzie, nazistowska podstawa aresztowania; została ona wprowadzona przez nazistów, a po nich usunięta. Już nie istnieje. – Adwokat przemawiał ze złośliwą satysfakcją, z jaką ktoś serwuje pikantną prawdę.

Przestraszyłem się. Uświadomiłem sobie, że aresztowanie Hanny odbierałem jako coś naturalnego i prawidłowego. Nie ze względu na oskarżenie, ciężar zarzutu i stopień podejrzenia, na ten temat nie znałem jeszcze żadnych szczegółów, lecz dlatego, że przebywając w celi, znikła z mojego świata, znikła z mojego życia. Chciałem ją mieć z dala od siebie, tak nieosiągalną, by mogła pozostać jedynie wspomnieniem, którym stała się i była dla mnie podczas minionych lat. Jeśli adwokat by wygrał, musiałbym się przygotować na spotkanie z nią i musiałbym sobie zdać sprawę, jak chciałem, jak miałem się z nią spotkać. Nie widziałem powodu, dlaczego nie miałby wygrać. Jeśli Hanna do tej pory nie usiłowała uciec, dlaczego teraz miałaby podejmować taką próbę? I co mogłaby zatuszować? Innych podstaw

aresztowania wówczas nie było.

Przewodniczący znowu robił wrażenie zirytowanego, a ja zacząłem pojmować, że to był jego trik. Zawsze gdy uważał jakąś wypowiedź za obstrukcyjną lub denerwującą, zdejmował okulary, mierzył wypowiadającego się krótkowzrocznym, niepewnym spojrzeniem, marszczył czoło i albo pomijał tę wypowiedź, albo zaczynał od: „Sądzi pan więc” lub „Chce pan więc powiedzieć”, a następnie powtarzał ją w sposób nie pozostawiający wątpliwości, że nie miał zamiaru się nią zajmować i że nie miało sensu go do tego nakłaniać.

– Sądzi pan więc, że sędzia wydający nakaz aresztowania niewłaściwie odczytał fakt, iż oskarżona nie zareagowała na żadne pismo i żadne wezwanie, nie pojawiła się na policji, u prokuratora i u sędziego? Chce pan złożyć wniosek o uchylenie nakazu aresztowania?

Adwokat złożył taki wniosek, a sąd go odrzucił.

Nie opuściłem ani jednego dnia rozprawy sądowej. Pozostali studenci dziwili się temu. Natomiast profesor przyjął z zadowoleniem fakt, że ktoś z nas zadbał o to, by kolejna grupa dowiedziała się, co słyszała i widziała poprzednia.

Tylko jeden raz Hanna spojrzała w kierunku publiczności, w moją stronę. Podczas wszystkich dni rozprawy, kiedy wprowadziła ją strażniczka i zajęła miejsce, wzrok kierowała zazwyczaj ku ławie sędziowskiej. Wyglądało to wyniośle, wyniośle wrażenie sprawiało i to, że nie rozmawiała z innymi oskarżonymi i rzadko mówiła ze swoim adwokatem. Jednakże pozostałe oskarżone rozmawiały ze sobą tym sporadyczniej, im dłużej trwała rozprawa sądowa. Podczas przerw stały razem z krewnymi i przyjaciółmi, machały i wołały do nich, kiedy dostrzegły ich rano wśród publiczności. Hanna podczas przerw pozostawała na swoim miejscu.

Widziałem ją więc od tyłu. Widziałem jej głowę, jej kark, jej ramiona. Odczytywałem jej głowę, jej kark, jej ramiona. Kiedy chodziło o nią, trzymała głowę bardzo wysoko. Gdy w jej odczuciu traktowano ją niesprawiedliwie, pomawiano lub atakowano i zmagala się z odpowiedzią, wykręcała ramiona w przód, jej kark nabrzmiwał i silniej występowały na nim włókna mięśni. Odpowiedzi były regularnie chybione i regularnie opadały jej ramiona. Nigdy nimi nie wzruszała, nie

potrząsała też nigdy głową. Była zbyt napięta, by pozwolić sobie na lekkość wzruszenia ramionami czy potrząśnięcia głową. Nie pozwalała sobie również na jej przekrzywienie, opuszczenie lub podparcie. Siedziała jak posąg. Taki sposób siedzenia musiał sprawiać ból.

Niekiedy z upiętego mocno węzła wykradały się kosmyki włosów, które skręcały się, zwisały nad karkiem i gładziły go przy powiewie. Niekiedy Hanna miała na sobie sukienkę z dekoltem, który był na tyle duży, że odsłaniał znamię na lewym barku. Wtedy przypominałem sobie, jak zdmuchiwałem włosy z tego karku i jak całowałem to znamię i ten kark. Wspominałem to jednak tak, jakbym stwierdzał fakty. Nic nie czułem.

Podczas ciągnącej się tygodniami rozprawy nic nie czułem: moje odczuwanie było jakby znieczulone. Czasami je prowokowałem, usiłując jak najwyraźniej wyobrazić sobie Hannę przy tym, co jej zarzucano, jak również przy tym, co przywoływały w mojej pamięci włosy na jej karku i znamię na jej ramieniu. To tak, jakby dłoń szczypała ramię, w którym po zastrzyku nie ma czucia. Ramię nie wie, że szczypie je dłoń, dłoń wie, że szczypie ramię, a mózg w pierwszym momencie nie potrafi rozdzielić jednego i drugiego. Jednak po chwili rozróżnia to już dokładnie. Może dłoń uszczypnęła tak mocno, że ramię w tym miejscu jest przez chwilę blade. Po jakimś czasie krew jednak wraca i skóra znowu nabiera kolorów. Jednak to nie przywraca jeszcze odczuwania.

Kto dał mi zastrzyk? Czy dałem go sobie sam, nie wytrzymałbym

bowiem bez znieczulenia? Znieczulenie działało nie tylko na sali sądowej, pozwalając mi odbierać Hannę tak, jakby to ktoś inny ją kochał i jej pragnął, ktoś, kogo dobrze znałem, kto nie był jednak mną. Również we wszystkich innych sytuacjach stałem obok, przyglądając się sobie; widziałem, jak funkcjonuję poprawnie, lecz bez wewnętrznego udziału na uniwersytecie, wśród rodziców i rodzeństwa, wśród przyjaciół.

Po pewnym czasie miałem wrażenie, że podobny stan znieczulenia mogłem zaobserwować także u innych. Nie u adwokatów, których podczas całej rozprawy charakteryzowała ta sama grzmiąca, apodyktyczna kłótność, pedantyczna ostrość albo hałaśliwa, oschła bezczelność, w zależności od osobistego i politycznego temperamentu. Rozprawa ich wprawdzie wyczerpywała; wieczorem byli bardziej zmęczeni albo jazgotliwi. Jednak przez noc naładowywali się lub napompowywali na nowo i następnego dnia rano pohukiwali i posykiwali tak jak dzień wcześniej. Prokuratorzy próbowali im dorównać, dzień po dniu demonstrując ten sam bojowy zapał. To im się jednak nie udawało, po pierwsze dlatego, że przedmiot i wyniki rozprawy nadto ich przerażały, następnie dlatego, że zaczynało działać znieczulenie. Najsilniej działało ono w przypadku sędziów i ławników. W pierwszych tygodniach rozprawy okropne rzeczy, opowiadane i potwierdzane czasami przez łzy, czasami łamiącym się głosem, czasami gorączkowo lub bezładnie, przyjmowali do wiadomości z widocznym wstrząsem albo z przychodzącym z trudem opanowaniem.

Później ich twarze normalniały; mogły szepnąć do siebie z uśmiechem jakąś uwagę albo okazać odruch zniecierpliwienia, gdy świadek gubił się w szczegółach. Kiedy podczas rozprawy omawiano wyjazd do Izraela, gdzie trzeba było przesłuchać pewną kobietę w charakterze świadka, zapanował podróźniczy zapach. Pozostałych studentów za każdym razem na nowo ogarniało przerażenie. Na rozprawę przychodzili tylko raz w tygodniu i zawsze następowało to samo: wtargnięcie rzeczy strasznych w codzienne życie. Ja, obecny na rozprawie dzień po dniu, obserwowałem ich reakcję z rezerwą.

Niczym więzień obozu koncentracyjnego, który przeżył jeden miesiąc za drugim, przyzwyczał się i ze spokojem przyjmuje do wiadomości przerażenie nowo przybyłych. Reaguje na to z tym samym znieczuleniem, z jakim postrzega nawet mordowanie i umieranie. Cała literatura świadków mówi o owym znieczuleniu, pod wpływem którego życiowe funkcje ulegały ograniczeniu, zachowanie stawało się obojętne i bezwzględne, a gazowanie i palenie w krematoriach było chlebem powszednim. Również w skąpych wypowiedziach przestępców komory gazowe i piece krematoryjne występują jako codzienna sceneria, ich egzystencja sprowadza się do nielicznych funkcji, oni sami są jakby ogłuszeni albo zamroczeni w swojej bezwzględności i obojętności, w swoim otępieniu. Oskarżone robiły na mnie wrażenie, jakby nadal, na zawsze pozostały w tym stanie ogłuszenia, jakby w nim niejako skamieniały.

Już wówczas, kiedy zajmowało mnie podobieństwo owego stanu znieczulenia i fakt, że ogarnęło nie przestępców i ofiary, lecz również nas, którzy jako sędziowie lub ławnicy, prokuratorzy lub protokolanci mieliśmy później z tym wszystkim do czynienia, kiedy porównywałem przy tym przestępców, ofiary, umarłych, żywych, tych, którzy przeżyli, i tych, którzy przyszli później na świat, czułem się nieswojo, a i teraz nie czuję się inaczej. Czy wolno w ten sposób porównywać? Gdy podczas rozmowy wychodziłem z podobnym porównaniem, podkreślałem wprawdzie zawsze, że nie relatywizuje to różnicy, czy w świat obozu koncentracyjnego ktoś został wepchnięty siłą, czy udał się tam dobrowolnie, czy ktoś cierpiał, czy zadawał cierpienie, że ta różnica ma raczej największą, decydującą o wszystkim wagę. Jednak nawet gdy dowodziłem tego, zanim inni mogli zgłosić jakiegokolwiek zastrzeżenia, a nie dopiero w reakcji na ich obiekcje, spotykałem się z konsternacją albo oburzeniem.

Zadaję sobie przy tym pytanie, już wówczas zacząłem je sobie zadawać: co właściwie miało i ma począć moje pokolenie, pokolenie tych, którzy przyszli później na świat, z informacjami o potwornościach zagłady Żydów? Nie może nam się zdawać, że potrafimy pojąć coś, co jest niepojęte, nie wolno nam porównywać czegoś, co jest nieporównywalne, nie wolno nam się dopytywać, gdyż pytający, nawet jeśli nie kwestionuje tych potworności, czyni z nich jednak przedmiot komunikacji, a nie traktuje jako coś, przed czym może tylko zamilknąć

z przerażenia, wstydu i poczucia winy. Czy mamy jedynie zamilknąć z przerażenia, wstydu i poczucia winy? Czemu miałyby to służyć? Zapal w robieniu rozrachunku i wyjaśnianiu przeszłości, z jakim brałem udział w seminarium, nie zatracił się tak po prostu podczas rozprawy. Jednak czy na tym miało się skończyć, że kilka nielicznych osób zostanie skazanych i ukaranych, a my, następne pokolenie, zamilkniemy z przerażenia, wstydu i poczucia winy?

W drugim tygodniu odczytano akt oskarżenia. Odczytywanie trwało półtora dnia – półtora dnia oskarżeń. Oskarżona numer jeden dopuściła się... następnie dopuściła się... dopuściła się także... w ten sposób spełniła znamiona czynu przestępczego określone w artykule takim a takim, następnie spełniła te znamiona czynu przestępczego i owe znamiona czynu przestępczego... postępowała również niezgodnie z prawem i ponosi winę za swój czyn. Hanna była oskarżoną numer cztery.

Pięć oskarżonych kobiet było strażniczkami w małym obozie pod Krakowem należącym do obozu w Oświęcimiu. Przeniesiono je tam z Oświęcimia wiosną 1944 roku; zastąpiły strażniczki, które zginęły albo zostały ranne podczas eksplozji w fabryce, gdzie pracowały kobiety z obozu. Jeden z punktów aktu oskarżenia dotyczył ich postępowania w Oświęcimiu, zszedł jednak na drugi plan wobec innych punktów. Nie pamiętam już, jak brzmiał. Czy może w ogóle nie dotyczył Hanny, lecz odnosił się do pozostałych kobiet? Czy miał niewielkie znaczenie w porównaniu z innymi punktami oskarżenia albo nawet jako taki? Czy nie można było sobie po prostu wyobrazić, żeby kogoś, kto był w Oświęcimiu i został ujęty, nie oskarżyć o jego postępowanie w Oświęcimiu?

Owe pięć oskarżonych nie prowadziło oczywiście obozu. Był

komendant, wartownicy i inne strażniczki. Większość wartowników i strażniczek nie przeżyła bombardowania, które pewnej nocy zakończyło pochód więźniarek w kierunku zachodnim. Kilka osób zbiegło tej samej nocy i przepadło bez śladu, podobnie jak komendant, który zniknął już w momencie, gdy pochód wyruszał na zachód.

Po nocy bombardowania właściwie żadna więźniarka nie powinna była pozostać przy życiu. Przeżyły jednak dwie osoby, matka i córka. Córka napisała książkę o obozie i pochodzie na zachód i opublikowała ją w Ameryce. Policja i prokuratura wytropiła nie tylko owe pięć oskarżonych, lecz znalazła również kilku świadków mieszkających we wsi, w której bombardowanie zakończyło marsz więźniarek. Najważniejszymi świadkami były córka, która przybyła do Niemiec, i matka, która została w Izraelu. Na przesłuchanie matki sąd, prokuratorzy i obrońcy pojechali do Izraela – była to jedyna część rozprawy, w której nie uczestniczyłem.

Jeden z głównych punktów oskarżenia dotyczył selekcji w obozie. Co miesiąc przysyłano z Oświęcimia około sześćdziesiąt nowych kobiet i tyle samo osób trzeba było tam odesłać, po odliczeniu tych, które zmarły. Dla wszystkich było jasne, że w Oświęcimiu kobiety zabijano; odsyłano te, których nie można już było skierować do pracy w fabryce. Była to fabryka amunicji, praca jako taka nie była tam wprawdzie ciężka, jednak kobiety rzadko miały okazję ją wykonywać, musiały bowiem naprawiać poważne uszkodzenia budynków powstałe podczas

eksplozji, która miała miejsce na wiosnę.

Drugi główny punkt aktu oskarżenia dotyczył nocnego bombardowania, podczas którego wszystko dobiegło końca. Wartownicy i strażniczki zamknęli więźniarki, kilkaset kobiet, w kościele we wsi, którą opuściła większość mieszkańców. Spadło tylko kilka bomb przeznaczonych być może na pobliską linię kolejową albo zabudowania fabryczne czy zrzuconych jedynie dlatego, że zbywały po ataku na jakieś większe miasto. Jedna z nich trafiła w plebanię, na której spali wartownicy i strażniczki. Inna uderzyła w kościelną wieżę. Najpierw zapaliła się wieża, potem dach, a później płonące wysokim płomieniem belkowanie runęło do wnętrza kościoła i zajęły się stalle. Ciężkie drzwi wytrzymały napór. Oskarżone mogły je otworzyć. Nie zrobiły tego i kobiety zamknięte w kościele spłonęły żywcem.

Dla Hanny przebieg rozprawy nie mógł być gorszy. Już podczas przesłuchania co do osoby nie zrobiła na sędziego dobrego wrażenia. Po odczytaniu aktu oskarżenia poprosiła o głos, gdyż jej zdaniem, coś się nie zgadzało; zirytowany sędzia przewodniczący skarcił ją, mówiąc, iż przed rozpoczęciem postępowania sądowego mogła wystarczająco długo studiować akt oskarżenia i zgłaszać uwagi, teraz toczy się rozprawa główna i to postępowanie dowodowe wykaże, co się w akcie oskarżenia zgadza, a co nie. Kiedy na początku postępowania dowodowego sędzia zaproponował, żeby zrezygnować z odczytywania niemieckiej wersji książki napisanej przez córkę, ponieważ – przygotowana do publikacji przez pewne niemieckie wydawnictwo – została udostępniona w formie manuskryptu wszystkim zainteresowanym, adwokat musiał przekonywać Hannę na jego zirytowanych oczach, żeby na to przystała. Nie chciała się zgodzić. Nie chciała również zaakceptować faktu, że podczas wcześniejszego przesłuchania przeprowadzonego przez sędziego przyznała, iż miała klucz do kościoła. Twierdziła, że go nie miała, nikt go nie miał, taki jeden klucz do kościoła w ogóle nie istniał, lecz było wiele kluczy do wielu drzwi i tkwiły one w zamkach od zewnątrz. Jednak w protokole z przesłuchania, przeczytanym i podpisanym przez nią, było napisane co innego. Zadane przez nią pytanie, dlaczego chce się jej coś przypisać, również nie polepszyło sytuacji. Nie pytała głośno,

apodyktycznie, ale uporczywie, a przy tym była, jak mi się wydawało, wyraźnie zagubiona i bezradna. Mówiąc, że chce się jej coś przypisać, nie stawiała zarzutu naginania prawa. Sędzia przewodniczący tak to jednak odebrał i zareagował ostro. Adwokat Hanny zerwał się, przystępując do ataku, gorliwie i gorączkowo; został zapytany, czy utożsamia się z zarzutem swojej mocodawczyni, wtedy znowu usiadł.

Hanna chciała dobrze. Gdy uważała, że dzieje jej się krzywda, oponowała, a przyznawała się, gdy twierdzenia i zarzuty były jej zdaniem słuszne. Oponowała uporczywie i skwapliwie się przyznawała, jakby przyznanie się dawało jej prawo do sprzeciwu albo sprzeciw nakładał na nią obowiązek przyznania się do tego, czemu uczciwie nie mogła zaprzeczyć. Nie zauważyła jednak, że jej uporczywość irytowała sędziego przewodniczącego. Brakowało jej wyczucia kontekstu, znajomości reguł gry, formuł, na podstawie których wypowiedzi jej oraz innych zaliczane były na poczet winy, niewinności, skazania i uniewinnienia. Jej adwokat musiałby mieć więcej doświadczenia i pewności siebie albo być po prostu lepszy, żeby skompensować jej brak wyczucia sytuacji. Albo Hanna mogła nie utrudniać mu tak zadania; najwidoczniej nie darzyła go zaufaniem, nie wybrała jednak również zaufanego adwokata. Jej adwokat był obrońcą z urzędu wyznaczonym przez przewodniczącego.

Czasami Hanna odnosiła coś w rodzaju zwycięstwa. Pamiętam przesłuchanie w sprawie selekcji w obozie. Pozostałe oskarżone

zaprzeczały, jakoby kiedykolwiek miały z tym cokolwiek do czynienia. Hanna tak skwapliwie przyznała się do udziału w nich, nie jako jedyna, lecz tak jak inne, wraz z nimi, że sędzia przewodniczący uznał, iż musi wydobyć od niej coś więcej.

– Jak przebiegały selekcje?

Hanna wyjaśniła, że strażniczki uzgodniły między sobą, iż ze swoich sześciu równych grup podlegających ich kompetencji będą zgłaszać jednakową liczbę więźniarek, po dziesięć z każdej, łącznie sześćdziesiąt osób, przy czym liczba ta mogła ulec zmianie w przypadku niskiej zachorowalności w jednej i wysokiej w innej grupie, i że w końcu wszystkie pełniące służbę strażniczki decydowały wspólnie, kogo należało odesłać.

– Żadna z pań się nie wyłamała, działały panie wspólnie?

– Tak.

– Czy nie wiedziała pani, że posyła pani więźniarki na śmierć?

– Wiedziałam, ale przybywały nowe, dotychczasowe musiały zrobić nowym miejsce.

– Ponieważ chciała pani zrobić miejsce, mówiła pani: ciebie, ciebie i ciebie trzeba odesłać i zamordować?

Hanna nie zrozumiała, o co przewodniczącemu chodziło w tym pytaniu.

– Ja... to znaczy... A co pan by zrobił? – Hanna pytała poważnie. Nie wiedziała, co powinna była, co mogła innego zrobić, i dlatego chciała

usłyszeć od przewodniczącego, który zdawał się wszystko wiedzieć, co on by zrobił.

Na chwilę zapadła cisza. Nie przystoi to w niemieckim postępowaniu karnym, żeby oskarżeni zadawali sędziom pytania. Pytanie już jednak padło i wszyscy czekali na odpowiedź sędziego. Musiał odpowiedzieć, nie mógł pominąć tego pytania albo zatrzeć go karcącą uwagą, wymijającym pytaniem w odpowiedzi. Dla wszystkich było to jasne, dla niego samego również, a ja zrozumiałem, dlaczego wyraz irytacji na twarzy służył mu jako trik. To była jego maska. Skrywając się za nią, mógł zyskać trochę na czasie, kiedy szukał odpowiedzi. Jednak nie mogło to trwać zbyt długo; im dłużej zwlekał, tym bardziej rosło napięcie i oczekiwania, tym lepsza musiała być odpowiedź.

– Są takie rzeczy, w które nie wolno się po prostu wplątywać i od których należy uciec, jeśli ceną za to nie jest utrata zdrowia lub życia.

Może by wystarczyło, gdyby powiedział to samo, wymieniając przy tym Hannę albo samego siebie. Mówienie o tym, co ktoś powinien albo czego komuś nie wolno robić i co go to może kosztować, nie przystawało do powagi pytania Hanny. Chciała wiedzieć, co miała zrobić w sytuacji, w której się znalazła, a nie że są takie rzeczy, których się nie robi. Odpowiedź sędziego zabrzmiała bezradnie, żałośnie. Wszyscy tak to odczuli, reagując rozczarowanym westchnieniem i spoglądając ze zdziwieniem na Hannę, która tę wymianę zdań niejako wygrała. Ona nadal pogrążona była jednak w myślach.

– Powinam więc... nie powinienam była... lepiej by było, gdybym nie zgłosiła się wtedy u Siemensu?

Nie było to pytanie do sędziego. Mówiła sama do siebie, pytała samą siebie, z wahaniem, gdyż nie zadała sobie jeszcze tego pytania i miała wątpliwości, czy było ono właściwe i czy znała na nie odpowiedź.

Podobnie jak uporczywość, z jaką Hanna oponowała, złościła sędziego przewodniczącego, tak skwapliwość, z jaką się przyznawała, złościła pozostałe oskarżone. Dla ich obrony, jak również dla własnej obrony Hanny była ona fatalna.

Jeśli chodzi o dowody, sytuacja oskarżonych była właściwie korzystna. Na środki dowodowe pierwszego głównego punktu aktu oskarżenia składało się wyłącznie świadectwo matki i córki, które pozostały przy życiu, i książka. Dobra obrona, nie podważając istoty ich zeznań, mogła wiarygodnie zakwestionować fakt, że akurat te oskarżone przeprowadzały selekcje. W tym punkcie zeznania świadków nie były precyzyjne, nie mogły zresztą być precyzyjne; był przecież komendant, wartownicy, inne strażniczki, a przez to hierarchia zadań i rozkazów, z którą więźniarki tylko częściowo miały do czynienia i w której w związku z tym tylko częściowo mogły się rozeznac. Podobnie rzecz się miała z drugim punktem oskarżenia. Matka i córka były zamknięte w kościele, nie mogły więc zeznawać, co się działo na zewnątrz. Oskarżone nie mogły oczywiście utrzymywać, że ich tam nie było. Inni świadkowie, ówcześni mieszkańcy wsi, rozmawiali z nimi i je pamiętali. Jednak owi świadkowie musieli uważać, żeby wobec nich nie padł zarzut, iż sami mogli uratować więźniarki. Skoro znajdowały się tam tylko oskarżone – dlaczego mieszkańcy wsi nie obezwładnili tych kilku

kobiet i nie otworzyli drzwi kościoła? Czy nie musieli obrać tej samej linii obrony, że oskarżone działały pod przymusem odciążającym również ich, świadków? Że były pod rozkazami wartowników, którzy mieli władzę i przecież jeszcze nie uciekli lub jak przynajmniej przypuszczały oskarżone, oddalili się na krótko, żeby na przykład zawieźć rannych do lazaretu, i niebawem mieli wrócić?

Kiedy obrońcy pozostałych oskarżonych zdali sobie sprawę, że takie strategie ponoszą fiasko wobec skwapliwych potwierdzeń Hanny, przestawili się na strategię wykorzystującą te skwapliwe potwierdzenia, która obciążała Hannę i przez to odciążała pozostałe oskarżone. Obrońcy robili to z fachową rezerwą. Pozostałe oskarżone sekundowały im, dorzucając z oburzeniem uwagi.

– Powiedziała pani, iż wiadomo pani było, że więźniarki posyłane są na śmierć – to dotyczy tylko pani, nieprawda? Nie może pani wiedzieć, co wiedziały koleżanki. Może się pani tego nawet domyślać, lecz ostatecznie nie jest pani w stanie tego ocenić, nieprawda?

Hannę pytał adwokat innej oskarżonej.

– My wszystkie wiedziałyśmy jednak...

– Powiedzieć „my”, „my wszystkie” jest łatwiej niż „ja”, „ja sama”, nieprawda? Czy to prawda, że pani, tylko pani, miała w obozie podopieczne, młode dziewczęta, przez jakiś czas jedną, potem przez jakiś czas drugą?

– Hanna zawahała się. – Sądzę, że nie byłam jedyną, która...

– Ty podły kłamco! Twoje ulubienice – to była twoja, wyłącznie twoja sprawa! – Jedna z oskarżonych, grubiańska kobieta, nie bez kwoczej ociążałości, a jednocześnie ze złośliwym językiem, była wyraźnie poirytowana.

– Czy to możliwe, że mówi pani „wiedzieć”, gdy w najlepszym razie może pani coś sądzić, i „sądzić”, gdy pani po prostu zmyśla? – Adwokat pokiwał głową, jakby z zatroskaniem przyjął do wiadomości jej potwierdzającą odpowiedź. – Czy to prawda, że wszystkie pani podopieczne, jeśli miała ich pani już dosyć, trafiały do najbliższego transportu do Oświęcimia?

Hanna nie odpowiadała.

– To była pani specjalna, osobista selekcja, nieprawda? Nie chce się już pani do niej przyznać, chce ją pani schować za czymś, co robiły wszystkie. Jednak...

– O Boże! – Córka, która po przesłuchaniu usiadła wśród publiczności, zakryła twarz rękami. – Jak mogłam o tym zapomnieć? – Sędzia przewodniczący zapytał ją, czy chce uzupełnić zeznanie. Nie zaczekała, aż zostanie wezwana do przodu. Wstała i zaczęła mówić ze swojego miejsca wśród publiczności.

– Tak, miała ulubienice, zawsze którąś spośród młodych, słabych i delikatnych, brała je pod opiekę, troszcząc się o to, żeby nie musiały pracować, kwaterowała je w lepszych warunkach, lepiej zaopatrywała i żywiła, a wieczorami zabierała do siebie. Dziewczętom nie wolno było

mówić, co z nimi wtedy robiła, a my myślałyśmy, że z nimi... również dlatego, że wszystkie trafiały do transportu, jakby się z nimi zabawiała, a później miała ich dosyć. Tak jednak wcale nie było, pewnego dnia jedna z nich zaczęła mimo wszystko mówić i dowiedziałyśmy się, że dziewczęta czytały jej na głos, co wieczór. To było lepsze, niżby... lepsze także, niżby miały zapracować się przy budowie na śmierć; musiałam myśleć, że to było lepsze, inaczej bym o tym nie zapomniała. Czy to było jednak lepsze? – Córka usiadła.

Hanna obejrzała się i spojrzała na mnie. Jej wzrok natychmiast mnie odnalazł, w ten sposób zdałem sobie sprawę, że przez cały czas wiedziała, iż tam byłem. Po prostu na mnie spojrzała. Jej twarz o nic nie prosiła, nie zabiegała, o niczym nie zapewniała ani nic nie obiecywała. Ukazywała się tylko bez żadnych osłonek. Zobaczyłem, jakże Hanna była napięta i wycieńczona. Miała kręgi pod oczami, a każdy policzek przecinała z góry do dołu bruzda, której nie znałem: nie była jeszcze głęboka, znaczyła ją już jednak niczym blizna. Kiedy poczerwieniałem pod wpływem jej wzroku, odwróciła go i skierowała znowu ku ławie sędziowskiej.

Sędzia przewodniczący zwrócił się do adwokata, który przesłuchiwał Hannę, czy ma jeszcze jakieś pytania do oskarżonej. Z tym samym pytaniem zwrócił się również do adwokata Hanny. Zapytaj ją, pomyślałem. Zapytaj ją, czy słabe i delikatne dziewczęta wybierała dlatego, że i tak nie podołałyby pracy na budowie, że i tak trafiłyby

z najbliższym transportem do Oświęcimia i że chciała im ulżyć w ostatnim miesiącu. Powiedz to, Hanno. Powiedz, że chciałaś im ulżyć w ostatnim miesiącu. Że to był powód wyboru delikatnych i słabych. Że nie było, nie mogło być innego powodu.

Jednak adwokat nie zapytał o to Hanny, a ona nie zaczęła mówić sama z siebie.

Niemiecka wersja książki, którą córka napisała o czasie przeżytym w obozie, ukazała się dopiero po procesie. W trakcie rozprawy manuskrypt już wprawdzie istniał, został jednak udostępniony tylko tym osobom, które proces bezpośrednio dotyczył. Musiałem przeczytać tę książkę po angielsku, wtedy było to niezwykle i mozolne przedsięwzięcie. I jak zawsze w przypadku obcego języka, którego się nie opanowało i z którym człowiek walczy, powstawało osobliwe wrażenie dystansu i bliskości jednocześnie. Można było przestudiować tę książkę niezwykle gruntownie, a mimo to jej nie przyswoić. Pozostaje tak obca, jak obcy jest język.

Wiele lat później przeczytałem ją ponownie i odkryłem, że ta książka sama stwarza dystans. Nie zaprasza do identyfikowania się z kimkolwiek, nikt nie jest w niej sympatyczny, ani matka, ani córka, ani osoby, z którymi obydwie dzieliły los w różnych obozach, na koniec w Oświęcimiu i pod Krakowem. Blokowe, strażniczki i wartownicy nie przybierają w niej nawet na tyle kształtu, żeby można się było do nich jakoś ustosunkować, uważać jednych za lepszych, drugich za gorszych. Wypełnia ją znieczulenie, które już próbowałem opisać. Jednak pod jego wpływem córka nie zatraciła zdolności postrzegania i analizowania. Nie dała się również skorumpować, ani litością nad samą sobą, ani pewnością siebie, którą wyraźnie czerpała z faktu, że została przy życiu,

przy czym nie tylko przetrwała lata w obozach, ale nadała im literacką formę. O sobie, swoim przemądrzałym i jeśli to było konieczne, przebiegłym zachowaniu nastolatki pisze w ten sam trzeźwy sposób, tak jak opisuje wszystko inne.

Hanna nie występuje w książce ani po nazwisku, ani w inny rozpoznawalny sposób. Czasami wydawało mi się, że poznaję ją w strażniczce przedstawionej jako młoda, piękna i w wykonywaniu zadań charakteryzująca się pozbawioną skrupułów sumiennością, nie byłem tego jednak pewien. Kędy przyglądałem się pozostałym oskarżonym, dochodziłem do wniosku, że tylko Hanna mogła być tą opisywaną osobą. Były jednak jeszcze inne strażniczki. W jednym z obozów córka miała do czynienia z kobietą nazywaną „Klaczą”, również młodą, ładną i solidną, lecz okrutną i nieopanowaną. Przypominała ją owa strażniczka w obozie pod Krakowem. Czy innym też nasunęło się to porównanie? Czy Hanna o tym wiedziała, przypominała to sobie i dlatego poczuła się dotknięta, kiedy porównałem ją z koniem?

Obóz pod Krakowem był dla matki i córki ostatnią stacją po Oświęcimiu. Oznaczał pewien postęp: praca była ciężka, a jednak lżejsza niż dotychczas, jedzenie było lepsze i lepsze było to, że w jednym pomieszczeniu spało po sześć kobiet, a nie po sto jak w baraku. Było też cieplej; w drodze z fabryki do obozu kobiety mogły zbierać drewno. Bano się selekcji. Jednak nawet to nie było takie straszne, jak

w Oświęcimiu. Co miesiąc odsyłano sześćdziesiąt kobiet, sześćdziesiąt z prawie dwunastu tysięcy; nawet osoba o przeciętnych siłach miała więc szansę przeżycia dwudziestu miesięcy, a można było przecież żywić nadzieję, że jest się silniejszym w porównaniu z przeciętną osobą. Poza tym można było oczekiwać, że wojna skończy się przed upływem dwudziestu miesięcy.

Nieszczęścia zaczęły się po rozwiązaniu obozu, kiedy więźniarki wyruszyły w kierunku zachodnim. Była zima, padał śnieg i ubrania, w których kobiety marzły w fabryce, w obozie natomiast jeszcze jakoś wytrzymały, były zupełnie nieprzydatne. Jeszcze bardziej nieprzydatne było obuwie, często szmaty i papier gazetowy powiązane w ten sposób, że trzymały się podczas stania i chodzenia, nie dało się ich jednak powiązać tak, żeby mogły przetrzymać długie marsze przez śnieg i lód. Kobiety zresztą nie tylko maszerowały; były poganiane, musiały biec. „Marsz śmierci?” – pyta córka w książce i odpowiada: „Nie, kłus śmierci, galop śmierci”. Wiele kobiet osuwało się po drodze na ziemię, inne po nocach spędzonych w stodołach czy tylko pod jakimś murem już się nie podniosły. Po tygodniu prawie połowa kobiet nie żyła.

Kościół był lepszym schronieniem niż stodoły i mury, które kobiety poznały wcześniej. Zawsze gdy natrafiali na opuszczone zagrody i zostawali tam na nocleg, wartownicy i strażniczki zatrzymywali dla siebie budynki mieszkalne. Tutaj, w niemal całkowicie wyludnionej wsi, mogli zatrzymać plebanię, a więźniarkom pozostawić coś więcej niż

tylko stodołę czy mur. Fakt, że to zrobili i że we wsi dano nawet ciepły wywar, był niczym zapowiedź końca nieszczęść. Kobiety więc zasnęły. Po krótkim czasie spadły bomby. Dopóki paliła się tylko wieża, w kościele słyhać było ogień, ale go nie było widać. Kiedy czubek wieży się odłamał i uderzył w więźbę dachu, znowu minęło kilka minut, zanim pojawił się blask ognia. Po chwili zaczęły już skapywać płomienie i zapalać ubrania, od walących się, płonących belek zajęły się ogniem stalle i ambona, a po krótkim czasie w nawę kościelną runęła więźba i wszystko płonęło jak pochodnia.

Córka jest zdania, że kobiety mogłyby się uratować, gdyby natychmiast wspólnymi siłami przystąpiły do wyłamywania jednych z drzwi. Zanim jednak zauważyły, co się stało, co się dalej stanie i że nie otworzono kościoła, było już za późno. Kiedy obudził je wybuch bomby, była ciemna noc. Przez chwilę słyszały tylko dziwny, zatrważający odgłos w wieży i zachowywały się bardzo cicho, żeby móc go lepiej słyszeć i odczytać. Że było to trzaskanie ognia, że to jego jasny blask pojawiał się od czasu do czasu za oknami, że uderzenie nad ich głowami oznaczało, iż od wieży zajął się dach – kobiety pojęły dopiero wtedy, gdy paliła się już wyraźnie więźba dachu. Pojęły to i zaczęły krzyczeć, krzyczały z przerażenia, krzyczały o pomoc, rzuciły się do drzwi, szarpały nimi, waliły w nie, krzyczały.

Kiedy płonąca więźba runęła w kościelną nawę, mury otulały ogień jak komin. Większość kobiet nie udusiła się, lecz spłonęła w jasnych,

strzelistych płomieniach. W końcu ogień przepalił, przetopił nawet kościelne drzwi z żelaznymi okuciami. To było jednak wiele godzin później.

Matka i córka przeżyły dzięki temu, że matka z niewłaściwych pobudek zareagowała prawidłowo. Kiedy kobiety wpadły w panikę, nie mogła pośród nich wytrzymać. Uciekła na emporę. Było jej obojętne, że tam znajdowała się bliżej płomieni, chciała jedynie zostać sama, z dala od krzyczących, przepychających się we wszystkich kierunkach, płonących kobiet. Empora była wąska, tak wąska, że prawie nie naruszyły jej płonące belki. Matka z córką stały przyciśnięte do ściany, widząc i słysząc szalejący ogień. Następnego dnia nie miały odwagi zejść na dół i wyjść na zewnątrz. W ciemności nocy, która później nastąpiła, obawiały się, że mogą nie natrafić na stopnie schodów i pomylić drogę. Kiedy o świcie kolejnego dnia wyszły z kościoła, natknęły się na kilku mieszkańców wsi, którzy wpatrywali się w nie w zdumieniu, bez słowa, dali im jednak ubranie i jedzenie i pozwolili odejść.

– Dlaczego pani nie otworzyła drzwi?

Sędzia przewodniczący zadawał to samo pytanie jednej oskarżonej po drugiej. Jedna oskarżona po drugiej dawała taką samą odpowiedź. Że nie mogła otworzyć drzwi. Dlaczego? Została ranna, kiedy bomba uderzyła w plebanię. Albo była w szoku po eksplozji. Albo po wybuchu bomby zajmowała się rannymi wartownikami i strażniczkami, ratowała ich z ruin, opatrywała i udzielała pomocy. Nie myślała o kościele, nie było jej w pobliżu, nie widziała pożaru w kościele i nie słyszała dobiegającego ze środka wołania.

Sędzia przewodniczący wytykał to samo jednej oskarżonej po drugiej: raport czyta się inaczej. Było to z namysłem sformułowane tak ostrożnie. Stwierdzenie, że w raporcie, który znalazł się w aktach SS, napisano co innego, byłoby fałszem. Prawdą jednak było, że czytało się go inaczej. Wymieniał on po nazwisku, kto zginął na plebanii, a kto został ranny, kto transportował rannych ciężarówką do lazaretu, a kto eskortował transport łazikiem. Wspominał, że na miejscu pozostały strażniczki, które miały odczekać, aż wygaśnie pożar, zapobiec jego rozprzestrzenianiu się i przeszkodzić próbom ucieczki pod osłoną ognia. Wspominał o śmierci więźniarek.

Fakt, że wśród wymienionych nazwisk nie było nazwisk oskarżonych, przemawiał za tym, że należały one do tych strażniczek,

które pozostały na miejscu. Fakt, że strażniczki pozostały na miejscu po to, żeby zapobiec próbom ucieczki, przemawiał za tym, że po zabezpieczeniu rannych z plebanii i odjeździe transportu do lazaretu nie wszystko się jeszcze skończyło. Strażniczki, które pozostały, tak się czytało w raporcie, pozwoliły na to, by w kościele szalał pożar, i drzwi do niego trzymały zamknięte. Pośród strażniczek, które pozostały na miejscu, tak się czytało w raporcie, znajdowały się oskarżone.

Nie, mówiła jedna oskarżona po drugiej, tak nie było. Raport był nieprawdziwy. Poznać to już po stwierdzeniu, że strażniczki, które pozostały na miejscu, miały zapobiec rozprzestrzenianiu się pożaru. Jak miały wypełnić to zadanie? Było ono nonsensem, tak samo nonsensem było drugie zadanie: zapobieżenie próbom ucieczki pod osłoną ognia. Próby ucieczki? Kiedy nie musiały się już zajmować własnymi ludźmi i mogły się zatroszczyć o pozostałych, o więźniarki, nie miał już kto uciekać. Nie, raport zupełnie pomija to, co podczas tej nocy zrobiły, czego dokonały i co wycierpiały. Jak mogło dojść do napisania tak nieprawdziwego raportu? Nie wiedziały tego same.

Dopóki nie przyszła kolej na ociężałą, złośliwą oskarżoną. Ona to wiedziała. – Proszę zapytać tę tam! – Pokazała palcem na Hannę. – Ona napisała raport. Ona jest wszystkiemu winna, tylko ona, w tym raporcie chciała to zatuszować i nas we wszystko wciągnąć.

Przewodniczący zapytał o to Hannę. Było to jednak jego ostatnie pytanie. Pierwsze pytanie brzmiało: – Dlaczego pani nie otworzyła

drzwi?

– Byłyśmy... Miałyśmy... – Hanna szukała odpowiedzi. – Nie widziałyśmy innego wyjścia.

– Nie widziały panie innego wyjścia?

– Kilka z nas nie żyło, a inni uciekli. Powiedzieli, że zawiozą rannych do lazaretu i wrócą, chociaż wiedzieli, że nie wrócą, i my to też wiedziałyśmy. Może nawet wcale nie pojechali do lazaretu, ranni nie byli aż tak ciężko poszkodowani. My też pojechałybyśmy z nimi, powiedzieli jednak, że muszą mieć miejsce dla rannych, oni i tak nic... i tak nie palili się do tego, żeby mieć ze sobą tyle kobiet. Nie wiem, dokąd się udali.

– Co pani robiła?

– Nie wiedziałyśmy co robić. Wszystko potoczyło się tak szybko, płonęła i plebania, i wieża kościelna, mężczyźni z samochodami dopiero co byli jeszcze na miejscu, a po chwili już ich nie było i nagle zostałyśmy same wraz z kobietami w kościele. Zostawili jakąś broń, nie umiałyśmy się nią jednak posługiwać, a nawet gdybyśmy umiały – co by to pomogło nam, kilku kobietom? Jak miałybyśmy upilnować tylu więźniarek? Taki pochód się ciągnie bez końca, nawet gdy trzyma się go w zwartym szyku, i do upilnowania tak drugiego odcinka potrzeba znacznie więcej osób niż parę kobiet. – Hanna zrobiła przerwę. – Wtedy zaczęły się krzyki, było coraz gorzej. Gdybyśmy w tym momencie otworzyły drzwi, gdyby one wszystkie wybiegły...

Przewodniczący odczekał chwilę. – Bały się panie? Bały się panie, że więźniarki was obezwładnią?

– Że więźniarki nas... nie, ale jak miałybyśmy jeszcze raz zaprowadzić wśród nich porządek? Powstałoby zamieszanie, z którym nie dałybyśmy sobie rady. A gdyby próbowały uciekać...

Przewodniczący znowu czekał, jednak Hanna nie dokończyła zdania. – Czy bały się panie, że w przypadku ucieczki zostaną panie ujęte, skazane, rozstrzelane?

– Nie mogliśmy przecież pozwolić im tak po prostu uciec! Byłyśmy jednak za to odpowiedzialne... To znaczy, przecież pilnowałyśmy ich przez cały czas, w obozie i podczas marszu, byłyśmy po to, żeby ich pilnować, żeby one nie uciekły. Dlatego nie wiedziałyśmy co robić. Nie wiedziałyśmy także, ile kobiet przeżyje kolejne dni. Tyle z nich zmarło, a te, które jeszcze żyły, były już takie słabe...

Hanna uświadomiła sobie, że to, co mówiła, nie służyło jej sprawie. Nie mogła jednak powiedzieć nic innego. Mogła jedynie spróbować lepiej wszystko przedstawić, lepiej opisać i wyjaśnić. Jednak im więcej mówiła, tym gorzej wyglądała jej sytuacja. Ponieważ nie wiedziała co począć, zwróciła się znowu do przewodniczącego.

– A co pan by zrobił?

Tym razem sama jednak wiedziała, że nie otrzyma odpowiedzi. Nie oczekiwała jej. Nikt jej nie oczekiwał. Przewodniczący potrząsnął w milczeniu głową.

To nie znaczy, że nie można było sobie wyobrazić bezradności, którą opisała Hanna. Noc, zimno, śnieg, ogień, krzyki kobiet w kościele, nagłe zniknięcie tych, którzy rozkazywali strażniczkom i eskortowali je – jakże taka sytuacja mogła być prosta? Czy jednak przyznając, że sytuacja była trudna, można było relatywizować przerażenie tym, co oskarżone zrobiły albo czego nie zrobiły? Jakby chodziło o wypadek samochodowy na pustej drodze w mroźną zimową noc z obrażeniami osób i samochodem do kasacji, kiedy się nie wie co robić? Albo o konflikt dwóch obowiązków, z których obydwaj zasługują na nasze zaangażowanie? Każdy więc mógł wyobrazić sobie to, co opisywała Hanna, ale nikt nie chciał tego robić.

– Czy to pani napisała raport?

– Wspólnie zastanawialiśmy się co napisać. Tym, którzy uciekli, nie chcieliśmy przypisywać nic złego. Nie chcieliśmy też jednak, żeby to nam zarzucano, iż zrobiliśmy coś niewłaściwie.

– Mówi więc pani, że zastanawialiście się wspólnie. Kto pisał?

– Ty! – Inna oskarżona znowu pokazała na Hannę palcem.

– Nie, ja nie pisałam. Czy to ważne, kto pisał?

Jeden z prokuratorów zaproponował, aby zlecić biegłemu porównanie pisma raportu z pismem oskarżonej Schmitz.

– Moje pismo? Chce pan moje pismo...

Przewodniczący, prokurator i obrońca Hanny zaczęli dyskutować, czy pismo może zachować swój charakter przez ponad piętnaście lat i czy da

się to stwierdzić. Hanna przysłuchiwała się temu, kilka razy chciała coś powiedzieć albo o coś zapytać, była w coraz większym stopniu zaalarmowana. Po chwili powiedziała: – Nie musicie państwo sprowadzać biegłego. Przyznaję, że napisałam ten raport.

Z piątkowymi spotkaniami seminaryjnymi nie łączę żadnych wspomnień. Choć przywołuję w pamięci rozprawę, nie przypominam sobie, nad czym pracowaliśmy naukowo. O czym rozmawialiśmy? Co chcieliśmy wiedzieć? Czego nauczał nas profesor?

Pamiętam jednak niedziele. Z dni spędzonych w sądzie wyniosłem nieznanym mi dotąd głód kolorów i zapachów przyrody. W piątki i soboty nadrabiałem zaległości z pozostałych dni tygodnia przynajmniej na tyle, że podczas ćwiczeń mogłem dorównać innym studentom i uporać się z semestralnym pensum. W niedziele wyruszałem w drogę.

Heiligenberg, bazylika św. Michała, wieża Bismarcka, ścieżka filozofów, nadbrzeże rzeki – z niedzieli na niedzielę nieznacznie zmieniałem tę trasę. Wystarczającym urozmaiceniem było dla mnie oglądanie zieleni soczystszej z tygodnia na tydzień i niziny reńskiej, raz w oparach upału, raz za zasłoną deszczu, innym razem pod burzowymi chmurami, wążanie w lesie jagód i kwiatów, kiedy przypiekało je słońce, ziemi i butwiejących liści z poprzedniego roku, gdy padał deszcz. W ogóle nie potrzebuję i nie szukam dużego urozmaicenia. Kolejna podróż prowadzi mnie odrobinę dalej niż ostatnia, kolejny urlop spędzam w miejscowości, którą odkrywam podczas ostatniego i która mi się wtedy spodoba. Przez pewien czas sądziłem, że muszę być śmielszy, zmuszając się do wyjazdu na Cejlon, do Egiptu, Brazylii, dopóki nie

zacząłem jeszcze lepiej poznawać znanych mi regionów. Tam widzę więcej.

Odnalazłem miejsce w lesie, w którym odsłoniła się przede mną tajemnica Hanny. Nie ma w nim nic szczególnego i wtedy też nie było tam nic szczególnego, żadnego drzewa czy skały o dziwacznych kształtach, żadnego niezwykłego widoku na miasto i nizinę, nic, co skłaniałoby do zaskakujących skojarzeń. Podczas rozmyślań o Hannie krążących z tygodnia na tydzień po tych samych torach wyodrębniła się myśl, która podążyła własną drogą i doszła w końcu do własnego wniosku. Kiedy się z tym uporała, uporała się z tym – mogło się to zdarzyć wszędzie, a przynajmniej wszędzie tam, gdzie znajomość otoczenia i okoliczności pozwala dostrzegać i przyjmować rzeczy zaskakujące, które nie spadają na człowieka z zewnątrz, lecz wyrastają od środka. Tak było na drodze, która pnie się stromo w górę, przecina jezdnię, mija źródło i najpierw prowadzi pod starymi, wysokimi, ciemnymi drzewami, a potem przez przerzedzony zagajnik.

Hanna nie umiała ani czytać, ani pisać.

Dlatego kazała sobie czytać na głos. Dlatego podczas naszej wycieczki rowerowej pozostawiła mi wszystko, co wiązało się z pisaniem i czytaniem, i była roztrzęsiona rano w hotelu, kiedy znalazła kartkę ode mnie, domyślała się, iż wychodzę z założenia, że zna jej treść, i obawiała się kompromitacji. Dlatego odrzuciła awans w spółce tramwajowej; słabość, którą mogła ukryć jako konduktorka, wyszłaby na

jaw podczas szkolenia na motorniczego. Dlatego odrzuciła awans u Siemensu i została strażniczką. Dlatego przyznała, że napisała raport, aby uniknąć konfrontacji z biegłym. Czy dlatego podczas procesu nadstawiała głowę? Ponieważ nie mogła przeczytać książki córki, jak również aktu oskarżenia, nie mogła też dostrzec szans obrony i się odpowiednio przygotować? Czy dlatego wysyłała swoje podopieczne do Oświęcimia? Żeby je uciszyć, gdyby coś zauważyły? I czy dlatego otaczała opieką osoby słabe?

Czy dlatego? Rozumiałem, że wstydziła się, iż nie umie czytać i pisać, i wołała mnie wprowadzać w konsternację, aniżeli się skompromitować. Wstyd skłaniający do stosowania uników, okazywania niechęci, skrywania się i maskowania, także ranienia innych znałem sam. Jednak wstyd Hanny, że nie umie czytać i pisać, jako powód jej zachowania podczas procesu i w obozie? Ze strachu, że zostanie skompromitowana jako analfabetka, skompromitowała się jako zbrodniarka? Ze strachu przed skompromitowaniem się analfabetyzmem – zbrodnia?

Jakże często zadawałem sobie te same pytania. Jeśli motywacją Hanny był strach przed skompromitowaniem się – dlaczego zamiast niewinnej kompromitacji analfabetyzmem potworna kompromitacja zbrodnią? Czy sądziła, że uda jej się przez to przejść, z tego wyjść bez jakiegokolwiek kompromitacji. Czy była po prostu głupia? Czy była aż tak próżna i zła, że aby uniknąć kompromitacji, stała się zbrodniarka?

Ciągle odrzucałem te przypuszczenia. Nie, mówiłem sobie, Hanna nie wybrała zbrodni. Odrzuciła awans u Siemensu i trafiła jej się praca w charakterze strażniczki. I nie, osób delikatnych i słabych nie wysyłała z transportem do Oświęcimia, ponieważ czytały jej na głos, lecz wybierała je do głośnej lektury, gdyż chciała im trochę ulżyć w ostatnim miesiącu, zanim i tak musiały wrócić do Oświęcimia. I nie, podczas procesu nie rozważała, co jest gorsze, kompromitacja analfabetyzmem czy kompromitacja zbrodnią. Nie kalkulowała i nie działała taktycznie. Zaakceptowała fakt, że pociągnięto ją do odpowiedzialności, nie chciała tylko zostać przy tym jeszcze skompromitowana. Nie dbała o swoje interesy, lecz walczyła o swoją prawdę, swoją sprawiedliwość. Ponieważ zawsze musiała się trochę maskować, ponieważ nigdy nie mogła być całkiem otwarta, nigdy nie mogła być samą sobą, była to żalosna prawda i żalosna sprawiedliwość, były one jednak jej własne i walka o nie, była jej walką.

Musiała być kompletnie wyczerpana. Walczyła nie tylko podczas procesu. Walczyła od zawsze, nie po to, żeby pokazać, co umie, lecz by skryć to, czego nie umie. W tym życiu przebudzenia polegały na energicznych odwrótach, a zwycięstwa na skrywanych porażkach.

W dziwny sposób działała na mnie rozbieżność między tym, co musiało zaprzętać Hannę, gdy opuszczała moje rodzinne miasto, a tym, co sobie wówczas wyobrażałem i myślałem. Byłem pewny, że ją wygoniłem, zdradzając ją i wypierając się jej, a w rzeczywistości uciekła

po prostu przed kompromitacją w spółce tramwajowej. Okoliczność, że jej nie wygoniłem, nie zmieniała jednakże faktu, że ją zdradziłem. Nadal byłem więc winny. A jeśli nie byłem winny, gdyż zdrada wobec zbrodniarki nie może rodzić poczucia winy, byłem winny dlatego, że kochałem zbrodniarkę.

Po przyznaniu się Hanny do napisania raportu pozostałe oskarżone miały ułatwione zadanie. Stwierdziły, że Hanna, jeśli nie działała w pojedynkę, wywierała na inne nacisk, groziła im i przymuszała je do posłuszeństwa. Siłą przejęła komendę. Mówiła i pisała za wszystkie. Ona decydowała.

Mieszkańcy wsi, którzy zeznawali w charakterze świadków, nie mogli tego potwierdzić ani temu zaprzeczyć. Widzieli, że płonącego kościoła pilnowało wiele kobiet w mundurach i że go nie otworzono, dlatego sami nie mieli odwagi tego zrobić. Spotkali te kobiety następnego dnia rano, kiedy wyruszały w drogę, i rozpoznali je w oskarżonych. Nie potrafili jednak powiedzieć, która oskarżona nadawała ton podczas porannego spotkania, czy w ogóle którakolwiek z nich nadawała ton.

– Nie możecie państwo jednak wykluczyć, że ta oskarżona – adwokat innej oskarżonej wskazał na Hannę – podejmowała decyzje?

Nie, nie mogli tego wykluczyć, jakże by mogli, a na widok innych oskarżonych, wyraźnie starszych, tchórzliwszych, bardziej zmęczonych i zgorzkniałych, nawet nie chcieli. W porównaniu z pozostałymi oskarżonymi Hanna była przywódczynią. Poza tym obecność przywódczyni odciążała mieszkańców wsi; zaniechanie udzielenia pomocy wobec dowodzonej pręźnie jednostki stawiało ich

w korzystniejszym świetle niż fakt, że zaniechali tego w obliczu grupy zdeorientowanych kobiet.

Hanna walczyła dalej. Przyznawała się do tego, co było prawdą, i zaprzeczała temu, co nią nie było. Zaprzeczała ze wzmagającą się, rozpaczliwą gwałtownością. Nie była głośna. Jednak już natarczywość, z jaką mówiła, wywierała na sędzie dziwne wrażenie.

W końcu się poddała. Mówiła tylko wtedy, gdy była pytana, odpowiadała krótko, skąpo, czasami z roztargnieniem. Jakby chcąc unaocznic fakt, że się poddała, siedziała teraz podczas mówienia. Sędzia przewodniczący, który na początku rozprawy wielokrotnie powtarzał, że nie musi stać, jeśli chce, może siedzieć, zauważył także i to ze zdziwieniem. Czasami pod koniec rozprawy miałem wrażenie, że sędziowie mieli już dosyć, chcieli uporać się wreszcie z tą sprawą, nie byli skupieni, lecz wybiegali myślami w teraźniejszość, po długich tygodniach spędzonych w przeszłości.

Ja także miałem już dosyć. Nie mogłem jednak pozostawić tej sprawy za sobą. Dla mnie rozprawa się nie kończyła, lecz zaczynała. Byłem tylko widzem, lecz nagle stałem się uczestnikiem gry, podejmującym wraz z innymi decyzje. Nie szukałem i nie wybrałem dla siebie tej nowej roli, dostałem ją jednak, czy tego chciałem, czy nie, czy coś robiłem, czy zachowywałem się zupełnie biernie.

Czy coś robiłem – tylko jedno wchodziło w grę. Mogłem pójść do sędziego przewodniczącego i powiedzieć mu, że Hanna jest analfabetką.

Że nie była głównym aktorem i główną winowajczynią, jaką zrobiły z niej pozostałe. Że jej zachowanie podczas procesu nie wskazywało na szczególną niepoprawność, nierozumność czy bezczelność, lecz wynikało z braku znajomości aktu oskarżenia i manuskryptu przed rozprawą, jak chyba również z braku jakiegokolwiek zmysłu strategicznego czy taktycznego. Że to znacznie pogarszało jej obronę. Że jest winna, lecz nie aż tak, jak to się zdaje.

Być może nie przekonałbym przewodniczącego. Skłoniłbym go jednak do zastanowienia i zbadania sprawy. W końcu okazałoby się, że miałem rację, i Hanna zostałaby wprawdzie ukarana, lecz nie aż tak surowo. Musiałaby wprawdzie pójść do więzienia, ale wcześniej mogłaby z niego wyjść, wcześniej przebywałaby znowu na wolności – czy nie o to walczyła?

Tak, o to walczyła, nie była jednak gotowa zapłacić za wygraną ceny skompromitowania się swoim analfabetyzmem. Nie chciałaby także, żebym sprzedał jej własny wizerunek za kilka lat więzienia. Taki targ mogła przeprowadzić sama, nie przeprowadziła go, a więc go nie chciała. Własny wizerunek był w jej oczach wart owych lat więzienia.

Czy naprawdę był on tego wart? Co miała z takiego zakłamanego wizerunku, który ją krępował, paraliżował, nie pozwalał się rozwijać? Z energią, z jaką podtrzymywała swoje życiowe kłamstwo, już dawno mogłaby się nauczyć czytać i pisać.

Próbowałem wówczas rozmawiać o tym problemie z przyjaciółmi.

Wyobraź sobie, ktoś świadomie działa na swoją zgubę, a ty możesz go uratować – ratujesz go? Wyobraź sobie operację i pacjenta, który bierze narkotyki, jakich nie toleruje anestezja, wstydzi się jednak, że jest narkomanem, i nie chce o tym powiedzieć anestezjologowi – porozmawiasz z anestezjologiem? Wyobraź sobie rozprawę sądową i oskarżonego, który zostanie ukarany, jeśli nie wyzna, że jest leworęczny i dlatego nie mógł popełnić przestępstwa dokonanego prawą ręką, jednak on się wstydzi, że jest leworęczny – powiesz sędziemu, co się dzieje? Wyobraź sobie, że jest homoseksualistą, jako taki nie mógł popełnić danego przestępstwa, wstydzi się jednak, że jest homoseksualistą. Nie chodzi o to, czy człowiek powinien się wstydzić, że jest leworęczny albo jest homoseksualistą – wyobraź sobie po prostu, że oskarżony się wstydzi.

Postanowiłem pomówić z ojcem. Nie dlatego, że byliśmy sobie szczególnie bliscy. Mój ojciec był zamknięty w sobie; ani nam, dzieciom, nie umiał okazywać uczuć, ani nie wiedział co począć z uczuciami, którymi my go obdarzałyśmy. Przez długi czas podejrzewałem, że za tym mrukliwym sposobem bycia kryło się bogactwo niewydobytych skarbów. Później zacząłem sobie jednak zadawać pytanie, czy tam w ogóle coś było. Może jako chłopca i młodego mężczyznę cechowało go bogactwo uczuć, lecz nie wyrażających, pozwolił im z biegiem lat uschnąć i wyginać.

Właśnie ze względu na dystans między nami szukałem z nim jednak rozmowy. Szukałem rozmowy z filozofem, który pisał o Kancie i Heglu, a o nich wiedziałem, że zajmowali się sprawami moralnymi. Powinien był umieć przedyskutować mój problem w sposób abstrakcyjny i w odróżnieniu od przyjaciół nie skupiać się na brakach w moich przykładach.

Kiedy my, dzieci, chciałyśmy rozmawiać z ojcem, wyznaczał nam spotkanie, tak jak swoim studentom. Pracował w domu, na uniwersytet chodził tylko po to, by wygłosić wykład lub przeprowadzić seminarium. Koledzy i studenci, którzy chcieli z nim porozmawiać, przychodzili do niego do domu. Pamiętam sznury studentów, którzy czekali na korytarzu oparci o ścianę, dopóki nie przyszła na nich kolej. Jedni czytali, inni

oglądali wiszące tam widoki miast, jeszcze inni patrzyli przed siebie pustym wzrokiem, nikt nic nie mówił, nie licząc zmieszanej odpowiedzi na nasze pozdrowienie, z którym my, dzieci, przechodziłyśmy przez korytarz. My sami nie czekaliśmy na korytarzu, kiedy ojciec wyznaczał nam spotkanie. Jednak również i my pukaliśmy o wyznaczonej porze do drzwi jego gabinetu i byliśmy wzywani do środka.

Pamiętam dwa gabinety ojca. Okna pierwszego, w którym Hanna obesła książki, dotykając ich palcem, wychodziły na ulice i domy. Okna drugiego wychodziły na nizinę reńską. Dom, do którego przeprowadziliśmy się na początku lat sześćdziesiątych i w którym rodzice zostali, kiedy my, dzieci, dorosłyśmy, położony był ponad miastem, na zboczu. I tu, i tam okna nie poszerzały pomieszczenia, przenosząc je w świat na zewnątrz, lecz zamykały ten świat w pokoju jak wiszące na ścianach obrazy. Gabinet ojca był kapsułką, w której książki, papiery, myśli, dym z fajki i cygar tworzyły własne ciśnienie powietrza, odmienne od ciśnienia panującego w świecie zewnętrznym. Było mi ono znajome i obce jednocześnie.

Ojciec poprosił, żebym mu przedstawił swój problem w formie abstrakcyjnej, z przykładami. – Ma to coś wspólnego z procesem, nieprawda? – Potrząsnął jednak zaraz głową, by dać mi do zrozumienia, że nie oczekuje odpowiedzi, nie chce na mnie naciskać, nie chce wydobywać ze mnie nic, czego nie powiem sam z siebie. Potem siedział z przekrzywioną głową, z rękami zaciśniętymi na poręczach krzesła

i rozmyślał. Nie patrzył na mnie. Przyglądałem mu się, jego siwym włosom, jak zawsze nie dogolonym policzkom, ostrym bruzdom tworzącym się między oczami i prowadzącym od skrzydełek nosa do kącików ust. Czekałem.

Kiedy zaczął mówić, cofnął się do Adama i Ewy. Pouczył mnie, co to jest osoba, wolność i godność, co to jest człowiek jako podmiot i że nie wolno degradować go do przedmiotu. – Nie pamiętasz już, jak cię to oburzało, gdy byłeś małym chłopcem, kiedy mama wiedziała lepiej, co dla ciebie było dobre, a co nie? Jak dalece można postępować w ten sposób w przypadku dzieci, jest już prawdziwym problemem. To problem filozoficzny, lecz filozofia nie troszczy się o dzieci. Pozostawiła je pedagogice, a tam nie są one pod dobrą opieką. Filozofia zapomniała o dzieciach – uśmiechnął się do mnie – zapomniała raz na zawsze, a nie tylko na pewien czas, tak jak ja zapominam o was.

– Jednak...

– Jednak w przypadku dorosłych nie widzę wprost żadnego uzasadnienia takiego postępowania, żeby to, co ktoś inny uważa dla nich za dobre, przedkładać ponad to, co oni sami uważają dla siebie za dobre.

– Nawet gdyby sami byli później dzięki temu szczęśliwi?

Potrząsnął głową. – Nie mówimy o szczęściu, lecz o godności i wolności. Już jako mały chłopiec znałeś tę różnicę. Nie pocieszało cię to, że mama zawsze miała rację.

Lubię dziś wspominać rozmowę z ojcem. Zapomniałem o niej,

dopiero gdy zmarł, w osadzie pamięci zacząłem szukać pięknych spotkań, przeżyć i doświadczeń z nim. Kiedy ją odnalazłem, byłem zdziwiony i uszczęśliwiony. Wówczas oszołomiła mnie z początku ojcowska mieszanka z abstrakcji i obrazowości. W końcu z tego, co powiedział, wysnułem jednak wniosek, że nie muszę rozmawiać z sędzią, a nawet nie wolno mi z nim rozmawiać, i poczułem ulgę.

Ojciec poznał to po mnie. – Taka filozofia ci się podoba?

– Hm, nie wiedziałem, czy w opisaney przeze mnie sytuacji trzeba być aktywnym, i właściwie nie byłem zbytnio uszczęśliwiony na myśl, że trzeba, a skoro okazuje się, że nawet nie wolno podejmować żadnych działań – uważam, że to... – Nie wiedziałem co powiedzieć. Przynosi ulgę? Uspokaja? Jest przyjemne? Nie brzmiało to jak kategorie moralności i odpowiedzialności. „Uważam, że to dobre”, brzmiało moralnie i odpowiedzialnie, nie mogłem jednak powiedzieć, iż w moim odczuciu jest to dobre, przynosi coś więcej niż ulgę.

– Przyjemne? – zaproponował ojciec.

Skinąłem głową i wzruszyłem ramionami.

– Nie, twój problem nie ma przyjemnego rozwiązania. Trzeba naturalnie być aktywnym, jeśli opisana przez ciebie sytuacja dotyczy odpowiedzialności, która przypadła komuś w udziale lub została przez kogoś przejęta. Jeśli się wie, co dla drugiego jest dobre i że on nic nie chce o tym słyszeć, to trzeba próbować otworzyć mu oczy. Należy zostawić mu ostatnie słowo, trzeba z nim jednak rozmawiać, z nim, a nie

za jego plecami z kimś innym.

– Rozmawiać z Hanną? Co miałbym jej powiedzieć? Że przejrzałem jej życiowe kłamstwo? Że była bliska poświęcić temu głupiemu kłamstwu całe swoje życie? Że to kłamstwo nie jest warte takiej ofiary? Że powinna walczyć o to, by nie musiała iść do więzienia na dłużej, niż to konieczne, a później dużo zrobić jeszcze w swoim życiu? Co właściwie? Czy dużo, cokolwiek, czy mało – co miała począć ze swoim życiem? Czy mogłem jej zabrać życiowe kłamstwo, nie otwierając przed nią jakiejś życiowej perspektywy? Nie widziałem dla niej perspektywy na dłuższy czas i nie wiedziałem również, jak miałbym przed nią stanąć i jej powiedzieć, że po tym, co zrobiła, jej perspektywa życiowa na najbliższe lata słusznie nazywać się będzie więzieniem. Nie wiedziałem, jak miałbym przed nią stanąć i jej cokolwiek powiedzieć. W ogóle nie wiedziałem, jak miałbym przed nią stanąć.

Zapytałem ojca: – A jak to jest, gdy nie można z kimś rozmawiać?

Popatrzył na mnie z powątpiewaniem i sam wiedziałem, że to pytanie nie dotyczyło sprawy. Nie było już o czym moralizować. Musiałem jeszcze tylko podjąć decyzję.

– Nie pomogłem ci. – Ojciec podniósł się, ja również. – Nie, nie musisz iść, bolą mnie tylko plecy. – Stał skrzywiony z rękami przyciśniętymi do nerek. – Jako filozof, którego zapytałeś, nie mogę powiedzieć, że jest mi przykro, iż nie potrafię ci pomóc. Jako ojciec uważam, że doświadczenie, iż nie potrafię pomóc swoim dzieciom, jest

po prostu nie do zniesienia.

Czekałem, lecz on nie mówił dalej. Byłem zdania, że upraszczał sobie sprawę; wiedziałem, kiedy mógłby się więcej o nas troszczyć i jak mógłby nam bardziej pomóc. Po chwili pomyślałem, że może on sam o tym wie i to mu naprawdę bardzo ciąży. Tak czy owak nie potrafiłem mu nic powiedzieć. Byłem zmieszany i miałem wrażenie, że on też czuł się nieswojo.

– No, więc...

– Zawsze możesz przyjść. – Ojciec spojrzał na mnie.

Nie wierzyłem mu, lecz skinąłem głową.

W czerwcu sąd poleciał na dwa tygodnie do Izraela. Przesłuchanie, które miano tam przeprowadzić, było sprawą kilku dni. Jednak sędziowie i prokuratorzy połączyli wydarzenie sądownicze z turystyką: Jerozolima, Tel Awiw, Negew i Morze Czerwone. W świetle przepisów służbowych, urlopowych i pod względem kosztów wszystko było na pewno w porządku. A jednak wydawało mi się to dziwaczne.

Planowałem przeznaczyć te dwa tygodnie wyłącznie na studia. Nie wyszło jednak tak, jak to sobie wyobraziłem i postanowiłem. Nie mogłem się skoncentrować na nauce, ani na profesorach i książkach. Myśli ciągle mi uciekały, gubiąc się w obrazach.

Widziałem Hannę przed płonącym kościołem, ma twarde rysy twarzy, czarny mundur i szpicrutę. Rysuje nią na śniegu kółka i uderza o cholewy sztylp. Widziałem ją, jak każe sobie czytać na głos. Słucha uważnie, nie zadaje pytań i nie robi uwag. Po godzinie oznajmia lektorce, że następnego dnia odjedzie z transportem do Oświęcimia. Lektorka, szczupłe stworzenie z czarną szczotką włosów i krótkowzrocznymi oczami, zaczyna płakać. Hanna uderza ręką w ścianę, do środka wchodzi dwie kobiety, one też są więźniarkami w pasiastych ubraniach, i wyprowadzają lektorkę siłą. Widziałem Hannę, jak idzie wzdłuż obozowych ulic, wchodzi do baraków więźniarek i nadzoruje prace budowlane. Wszystko robi z tym samym twardym

wyrazem twarzy, z zimnymi oczyma i zaciśniętymi ustami, a więźniarki kulą się, pochylają nad pracą, przyciskają do ściany, wciskają w ścianę, chciałyby w niej zniknąć. Czasami więźniarki w dużej liczbie stają w szyku albo biegają to tu, to tam, formują szeregi lub maszerują, a Hanna stoi wśród nich, wykrzykuje komendy, krzycząca twarz zniekształca się w poczwarną gębę, dopomagając sobie szpicrutą. Widziałem, jak kościelna wieża uderza w dach kościoła, że aż sypią się iskry, i słyszałem rozpacz kobiet. Widziałem wypalony kościół następnego dnia.

Obok tych obrazów widziałem inne. Hanna, która nakłada w kuchni pończochy, trzyma przed wanną frotowy ręcznik, jedzie na rowerze z rozwianą spódnicą, stoi w gabinecie mojego ojca, tańczy przed lustrem, patrzy w moim kierunku na basenie, Hanna, która słucha mnie, mówi, uśmiecha się do mnie, kocha się ze mną. Źle było wtedy, gdy obrazy się mieszały. Hanna, która kocha się ze mną z zimnymi oczami i zaciśniętymi ustami, słucha mnie bez słowa w czasie głośnego czytania i na koniec uderza ręką w ścianę, mówi do mnie, podczas gdy jej twarz zniekształca się w poczwarną gębę. Najgorsze były sny, w których twarda, władcza, okrutna Hanna podniecała mnie seksualnie i z których budziłem się pełen tęsknoty, wstydu i oburzenia. I strachu, kim ja właściwie jestem.

Wiedziałem, że te urojone obrazy były żalnymi schematami. Nie przystawały one do Hanny, którą poznałem i poznawałem. Mimo to

miały one dużą siłę oddziaływania. Rozsadzały wspomniane obrazy Hanny i łączyły się z obrazami obozu, jakie miałem w głowie.

Kiedy dzisiaj myślę o tamtych latach, moją uwagę zwraca fakt, jak mało było wtedy właściwie wyobrażeń, jak mało obrazów, które uświadamiałyby życie i mordowanie w obozach. Z Oświęcimia znaleźliśmy bramę z jej napisem, wielopiętrowe drewniane prycze, kupę włosów, okularów, walizek; z Brzezinki bramę z wieżą, bocznymi skrzydłami i przejazdem dla pociągów; a z Bergen-Belsen góry ciał, które po wyzwoleniu odkryli i sfotografowali alianci. Znaleźliśmy kilka relacji więźniów, jednak wiele z tych relacji ukazało się wkrótce po wojnie, później wznowiono je dopiero w latach osiemdziesiątych, a w międzyczasie nie widniały już w programach wydawniczych. Dzisiaj istnieje tyle książek i filmów, że świat obozów jest częścią wspólnego wyobrażanego świata, który uzupełnia świat wspólny rzeczywisty. Fantazja dobrze go zna, a od serialu telewizyjnego „Holocaust” i takich filmów fabularnych, jak „Wybór Sophie”, a zwłaszcza „Lista Schindlera” również się w nim porusza, nie tylko go postrzega, lecz także uzupełnia i upiększa. Wówczas fantazja trwała prawie w bezruchu; sądziła, że do wstrząsu, jaki należy się światu obozów, nie pasuje ruch fantazji. Te kilka obrazów, które zawdzięczała zdjęciom wykonanym przez aliantów i relacjom więźniów, oglądała i oglądała, dopóki nie zastygły one w schematach.

Postanowiłem wyjechać. Gdybym mógł pojechać następnego dnia do Oświęcimia, zrobiłbym to. Na wizę czekało się jednak tygodniami. Pojechałem więc do Struthofu w Alzacji. Był to najbliższy obóz koncentracyjny. Jeszcze nigdy nie widziałem takiego obozu. Chciałem wyprzeć schematy za pomocą rzeczywistości.

Pojechałem autostopem; pamiętam jazdę ciężarówką, której kierowca opróżniał jedną butelkę piwa po drugiej, i kierowcę mercedesa prowadzącego samochód w białych rękawiczkach. Za Strasburgiem miałem szczęście: samochód jechał do Schirmeck, małego miasta niedaleko Struthofu.

Kiedy powiedziałem kierowcy, dokąd dokładnie zmierzam, zamilkł. Spojrzałem na niego, nie mogłem jednak wyczytać na jego twarzy, dlaczego nagle ucichł w środku ożywionej rozmowy. Był w średnim wieku, miał kościstą twarz, ciemnoczerwone znamię lub bliznę po oparzeniu na prawej skroni i zaczesane w pasemka czarne włosy z równym przedziałkiem. Patrzył w skupieniu na drogę.

Przed nami Wogezy przechodziły w pagórki. Jechaliśmy przez winnice w kierunku otwierającej się, rozległej, wznoszącej się łagodnie doliny. Zbocza po lewej i prawej stronie porastał las mieszany, czasami ukazywały się kamieniołomy, hala fabryczna z czerwonej cegły i z falistym dachem, stare sanatorium, duża willa z licznymi

wieżyczkami wśród wysokich drzew. Raz po lewej, raz po prawej stronie towarzyszyła nam linia kolejowa.

Po chwili znowu zaczął mówić. Zapytał mnie, dlaczego odwiedzam Struthof, a ja opowiedziałem mu o procesie i moim braku wyobrażenia.

– Ach, chce pan zrozumieć, dlaczego ludzie mogą robić takie potworne rzeczy? – Zabrzmiało to trochę ironicznie. Być może jednak jego głos i język zabarwiony był tylko dialektem. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, ciągnął dalej. – Co chce pan właściwie zrozumieć? Że morduje się z namiętności, miłości lub nienawiści, dla honoru lub z zemsty, to pan rozumie?

Skinąłem głową.

– Rozumie pan i to, że morduje się po to, by się wzbogacić albo zdobyć władzę? Że morduje się na wojnie albo podczas rewolucji?

Znowu skinąłem głową. – Ale...

– Ale ci, których mordowano w obozach, nic nie zrobili tym, którzy ich mordowali? Czy to chce pan powiedzieć? Chce pan powiedzieć, że nie było powodu do nienawiści, nie było wojny?

Nie chciałem już skinąć głową. To, co mówił, było prawdą, jednak przeszkadzał sposób, w jaki to mówił.

– Ma pan rację, nie było wojny i powodu do nienawiści. Jednak i kat nie nienawidzi tego, na którym wykonuje wyrok śmierci, a mimo to go wykonuje. Ponieważ ma taki rozkaz? Myśli pan, że to robi, bo ma taki rozkaz? I myśli pan, że mówię teraz o rozkazie i posłuszeństwie, o tym,

że żołnierzom w obozach rozkazywano, a oni musieli słuchać? – Zaśmiał się z lekceważeniem. – Nie, ja nie mówię o rozkazie i posłuszeństwie. Kat nie wykonuje żadnych rozkazów. Robi swoją robotę, nie nienawidzi tych, na których wykonuje wyrok śmierci, nie mści się na nich, nie zabija ich, gdyż mu zawadzają, zagrażają lub go atakują. Są mu zupełnie obojętni. Są mu do tego stopnia obojętni, że równie dobrze może ich zabić, jak i nie zabijać.

Spojrzał na mnie. – Żadne „ale”? Proszę powiedzieć, że człowiekowi nie wolno być tak obojętnym na drugiego. Czy pan się o tym nie uczył? Solidarność ze wszystkim, co ma ludzkie oblicze? Godność człowieka? Szacunek wobec życia?

Byłem oburzony i bezradny. Szukałem jakiegoś słowa, zdania, które wymazałoby to, co powiedział, i odjęłoby mu mowę.

– Widziałem kiedyś – ciągnął dalej – zdjęcie z rozstrzeliwania Żydów w Rosji. Żydzi czekają nago w długim rzędzie, niektórzy stoją na krawędzi dołu, a za nimi ustawieni są żołnierze z bronią i strzelają im w potylice. To się rozgrywa w kamieniołomach, nad Żydami i żołnierzami, na występie w ścianie, siedzi oficer, który macha nogami i pali papierosa. Patrzy trochę z niechęcią. Być może to wszystko nie posuwa się do przodu tak szybko, jakby tego chciał. Na jego twarzy maluje się jednak również pewne zadowolenie, a nawet rozbawienie, może dlatego, że mimo wszystko wykonywana jest dzienna norma i niedługo będzie fajrant. On nie nienawidzi Żydów. On nie jest...

– Czy to był pan? Czy pan siedział na występie i...

Zatrzymał samochód. Był zupełnie blady, a znamię na jego skroni połyskiwało. – Precz!

Wysiadłem. Zawrócił tak, że musiałem uskoczyć na bok. Słyszałem go jeszcze na najbliższych zakrętach. Później zrobiło się cicho.

Szedłem drogą w dół. Nie wyprzedził mnie żaden samochód, żaden nie nadjechał z naprzeciwka. Słyszałem ptaki, wiatr w drzewach, czasami szum potoku. Odetchnąłem z ulgą. Po kwadransie dotarłem do obozu koncentracyjnego.

Niedawno znowu tam pojechałem. Była zima, jasny, mroźny dzień. Za Schirmeck las zasypany był śniegiem: popudrowane na białą drzewa i pokryta białą warstwą ziemia. Teren obozu koncentracyjnego, wydłużony biały areał na opadającym górskim tarasie z rozległym widokiem na Wogezy, leżał w pełnym słońcu. Pomalowane na stalowy kolor drewno dwu – i trzykondygnacyjnych wież strażniczych i jednokondygnacyjnych baraków przyjemnie kontrastowało ze śniegiem. Była tam naturalnie obleczona drucianą siatką brama z napisem „Obóz Koncentracyjny Struthof-Natzweiler” i biegnące wokół obozu ogrodzenie z podwójnego drutu kolczastego. Jednak ziemia pod błyszczącą pokrywą śniegu pomiędzy zachowanymi barakami, tam gdzie pierwotnie stały stłoczone dalsze baraki, nie zdradzała już żadnych śladów obozu. Mogłoby to być zbocze do zjeżdżania na sankach dla dzieci, które spędzają ferie zimowe w przytulnych barakach ze szprosami w oknach i zaraz zostaną zawołane do środka na ciasto i gorącą czekoladę.

Obóz był zamknięty. Brnąłem dookoła niego przez śnieg i zmoczyłem nogi. Mogłem ogarnąć wzrokiem cały jego teren, dlatego przypomniało mi się, jak wówczas, podczas mojej pierwszej wizyty, obszedłem schody między fundamentami zlikwidowanych baraków. Przypomniałem sobie również piece krematoryjne, które pokazywano

wtedy w jednym z baraków, i że w innym znajdowały się cele. Pamiętałem moją ówczesną daremną próbę konkretnego wyobrażenia sobie obozu pełnego więźniów, wartowników i cierpienia. Naprawdę podjąłem taką próbę, spojrzałem na jeden z baraków, zamknąłem oczy i zobaczyłem w wyobraźni ich rzędy. Obmierzyłem jakiś barak, na podstawie folderu wyliczyłem liczbę zakwaterowanych w nim osób i wyobraziłem sobie panującą tam ciasnotę. Dowiedziałem się, że stopnie schodów między barakami służyły jednocześnie jako plac apelowy i patrząc na nie, wypełniłem je z jednego końca obozu na drugi rzędami pleców. To wszystko było jednak daremne i miałem uczucie żalostnej, zawstydzającej porażki. W drodze powrotnej naprzeciwko restauracji położonej trochę niżej na zboczu odkryłem mały dom oznaczony jako komora gazowa. Był pomalowany na biało, obramienia drzwi i okien miał z piaskowca i mógł być stodołą, szopą albo służbówką. Ten dom również był zamknięty, nie pamiętam, żebym wówczas był w środku. Nie wysiadłem z samochodu. Przez jakiś czas siedziałem w nim z włączonym silnikiem i patrzyłem. Po chwili pojechałem dalej.

W drodze do domu nie miałem z początku odwagi meandrować przez alzackie wsie w poszukiwaniu restauracji, w której mógłbym zjeść obiad. To zahamowanie nie wypływało jednak z prawdziwych emocji, lecz było wynikiem przemyśleń, jak należy się czuć po wizycie w obozie koncentracyjnym. Sam zdałem sobie z tego sprawę, wzruszyłem

ramionami i we wsi na zboczu Wogezów znalazłem restaurację „Au petit Garçon”. Od stołu miałem widok na nizinę. „Chłopczyku” – tak nazywała mnie Hanna.

Podczas mojej pierwszej wizyty chodziłem po terenie obozu koncentracyjnego, dopóki go nie zamknięto. Później usiadłem pod pomnikiem znajdującym się wyżej i patrzyłem na obóz w dole. Czułem w sobie wielką pustkę, jakbym szukał konkretnego wyobrażenia nie tam na zewnątrz, lecz w sobie, i jakbym musiał stwierdzić, że we mnie nie można nic znaleźć.

Po pewnym czasie się ściemniło. Dopiero po godzinie czekania mogłem wsiąść na przyczepę małej ciężarówki, która zabrała mnie do najbliższej wsi. Zrezygnowałem z powrotu autostopem jeszcze tego samego dnia. Znalazłem tani pokój w wiejskiej gospodzie i w sali restauracyjnej zjadłem cienkiego steka z frytkami i groszkiem.

Przy sąsiednim stole czterej mężczyźni grali hałaśliwie w karty. Otworzyły się drzwi i do środka wszedł bez słowa mały starszy mężczyzna. Miał krótkie spodnie i drewnianą protezę nogi. Zamówił piwo przy bufecie. Do sąsiedniego stołu odwrócił się plecami i nazbyt dużą łysą głową. Grający odłożyli karty, sięgnęli do popielniczki, wzięli pety i zaczęli nimi rzucać, trafiając mężczyznę przy bufecie. Ten trzepotał rękami wokół tyłu głowy, jakby chciał się odgonić od much. Właściciel gospody postawił przed nim piwo. Nikt nic nie mówił.

Nie wytrzymałem, zerwałem się i podszedłem do sąsiedniego stołu. –

Proszę przestać! – Trząśłem się z oburzenia. W tym momencie starszy mężczyzna przykuśtykał w podskokach, zaczął manipulować coś przy nodze i nagle trzymał w obydwu rękach drewnianą protezę, którą uderzył z hukiem o stół, że aż zatańczyły na nim kieliszki i popielniczki, a następnie opadł na wolne krzesło. Śmiał się przy tym, kwicząc bezzębnymi ustami, a pozostali wtórowali mu głębokim śmiechem piwoszy. – Proszę przestać – śmiali się, pokazując na mnie palcem – proszę przestać. W nocy wokół domu dął silny wiatr. Nie czułem zimna, a zawodzenie wiatru, trzeszczenie drzewa pod oknem i uderzanie okiennicy co pewien czas nie było aż tak głośne, żebym nie mógł z tego powodu spać. Jednak wewnętrznie stawałem się coraz bardziej niespokojny, aż zewnętrznie zacząłem drżeć na całym ciele. Odczuwałem strach, nie wywoływało go jednak oczekiwanie na jakieś złe wydarzenie, lecz był to stan fizyczny. Leżałem, wsłuchiwałem się w wiatr, czułem ulgę, gdy słabnął i cichnął, bałem się, gdy znowu przybierał na sile, i nie wiedziałem, jak następnego dnia rano miałem wstać, wrócić do domu autostopem, kontynuować studia, a pewnego dnia mieć zawód, żonę i dzieci.

Chciałem zrozumieć zbrodnię Hanny, potępiając ją równocześnie. Na to była ona jednak zbyt potworna. Kiedy próbowałem ją zrozumieć, miałem uczucie, że nie potępiam jej w takim stopniu, w jakim należałoby to właściwie zrobić. Kiedy potępiałem ją tak jak należy, nie było już miejsca na zrozumienie. Chciałem także zrozumieć Hanne;

niezrozumienie jej oznaczało ponowną zdradę wobec niej. Nie mogłem sobie z tym poradzić. Chciałem stawić czoło i jednemu, i drugiemu: zrozumieniu i potępieniu. Jednak obie te rzeczy na raz były niemożliwe.

Nazajutrz był znowu przepiękny letni dzień. Podróż autostopem przebiegła bez zakłóceń i wróciłem do domu w ciągu kilku godzin. Szedłem przez miasto, jakby mnie tam dawno nie było; ulice, domy i ludzie byli mi obcy. Jednak obcy świat obozów koncentracyjnych nie stał mi się przez to bliższy. Moje wrażenia ze Struthofu dołączyły do nielicznych obrazów z Oświęcimia, Brzezinki i Bergen-Belsen, które już znałem, i zastygły wraz z nimi w bezruchu.

W końcu poszedłem jednak do sędziego przewodniczącego. Nie zdobyłem się na wizytę u Hanny. Nie wytrzymałem jednak również bezczynności.

Dlaczego nie zdobyłem się na rozmowę z Hanną? To ona mnie opuściła, zwiodła, nie była tą, którą w niej widziałem albo którą sobie wymyśliłem. A kim ja byłem dla niej? Małym lektorem, którego wykorzystwała, małym partnerem do spółkowania, z którym miała frajdę? Czy także posłałaby mnie do gazu, gdyby nie mogła mnie porzucić, a chciała się mnie pozbyć?

Dlaczego nie wytrzymałem bezczynności? Powiedziałem sobie, że nie mogę dopuścić do wydania błędnego wyroku. Muszę zadbać o to, żeby zapanowała sprawiedliwość, niezależnie od życiowego kłamstwa Hanny, sprawiedliwość niejako na jej korzyść i niekorzyść. Tak naprawdę nie chodziło mi jednak o sprawiedliwość. Nie mogłem zostawić Hanny taką, jaka była lub chciała być. Musiałem łamać sobie nad nią głowę, mieć na nią jakiś wpływ, jeśli nie bezpośrednio, to pośrednio.

Sędzia przewodniczący znał naszą grupę seminaryjną i po jednym z posiedzeń z chęcią zgodził się przyjąć mnie na rozmowę. Zapukałem, zostałem wezwany do środka, powitany i poproszony, żebym usiadł na krześle przed biurkiem. Za biurkiem siedział sędzia w samej koszuli.

Jego toga przewieszona była przez oparcie i poręczę krzesła; zsunęła się w dół, kiedy usiadł i się z niej wyzwolił. Robił wrażenie człowieka odprężonego, który wykonał dzienną normę i jest z tego zadowolony. Bez zirytowanego wyrazu twarzy, za którym okopywał się podczas rozprawy, miał miłe, inteligentne, niegroźne oblicze urzędnika. Gawędził niewymuszenie, pytał mnie o to i owo. Co nasza grupa seminaryjna sądzi o procesie, co nasz profesor zamierza zrobić z protokołami, na którym jesteśmy roku, na którym ja jestem roku, dlaczego studiuje prawo i kiedy chcę zdawać egzamin. Upomniął mnie, żebym pod żadnym pozorem nie przystępował do egzaminu zbyt późno.

Odpowiedziałem na wszystkie pytania. Potem słuchałem, gdy opowiadał mi o swoich studiach i swoim egzaminie. On wszystko robił jak należy. W odpowiednim czasie i ze stosownym wynikiem zaliczył niezbędne ćwiczenia i seminaria, a wreszcie zdał egzamin. Lubił swój zawód prawnika i sędziego i jeśli jeszcze raz miałby robić to wszystko, co robił, zrobiłby to tak samo.

Okno było otwarte. Na parkingu zatraskiwano drzwi i zapuszczano silniki samochodów. Wsłuchiwałem się w ich odgłos, dopóki nie wchłonął go szum ruchu ulicznego. Później na pustym parkingu bawiły się i hałasowały dzieci. Czasami bardzo wyraźnie można było usłyszeć jakieś słowo: nazwisko, przekleństwo, zawołanie.

Sędzia przewodniczący podniósł się i mnie pożegnał. Powiedział, że zawsze mogę przyjść, jeśli będę miał dalsze pytania. I gdybym

potrzebował rady w studiach. Natomiast nasza grupa seminaryjna powinna go zapoznać ze swoją analizą i oceną procesu.

Szedłem przez pusty parking. Jakiś większy chłopiec opisał mi drogę na dworzec. Moja grupa odjechała samochodem zaraz po rozprawie, musiałem więc wrócić pociągiem. Był to popołudniowy pociąg osobowy dla powracających z pracy; zatrzymywał się na każdej stacji, ludzie wsiadali i wysiadali, a ja tkwiłem przy oknie otoczony coraz innymi współpasażerami, rozmowami, zapachami. Na zewnątrz przesuwaly się domy, ulice, samochody, drzewa, a w oddali góry, zamki i kamieniołomy. Postrzegałem to wszystko i nic nie czułem. Nie byłem już obrażony na Hannę, że mnie opuściła, zwiodła i wykorzystała. Nie musiałem łamać sobie nad nią dłużej głowy. Czułem, jak znieczulenie, z którym śledziłem okropieństwa rozprawy, opanowywało moje uczucia i myśli z ostatnich tygodni. Stwierdzenie, że byłem z tego rad, byłoby zbyt daleko idące. Miałem jednak wrażenie, że tak było dobrze. Że to umożliwiało mi powrót do codzienności i dalsze codzienne życie.

Pod koniec czerwca ogłoszono wyrok. Hanna dostała dożywocie. Pozostałe oskarżone otrzymały kary pozbawienia wolności na określony czas.

Sala sądowa była pełna ludzi, tak jak na początku rozprawy: personel sądowy, studenci mojego i miejscowego uniwersytetu, klasa szkolna, dziennikarze z kraju i zagranicy oraz ci, którzy zawsze pojawiają się w sądowych salach. Było głośno. Kiedy wprowadzono oskarżone, z początku nikt nie zwracał na nie uwagi. Po chwili publiczność jednak ucichła. Jako pierwsi zamilkli ci, którzy mieli miejsca z przodu, przy oskarżonych. Tręcali sąsiadów, po czym obracali się do tych, którzy siedzieli za nimi. „Popatrzcie tylko!” – szeptali, a tamci również milkli, tręcali swoich sąsiadów i obracali się do osób siedzących z tyłu, szepcząc: „Popatrzcie tylko!” W końcu na sali sądowej zapanowała zupełna cisza.

Nie wiem, czy Hanna zdawała sobie sprawę, jak wygląda, czy może chciała tak nawet wyglądać. Ubrana była w czarny kostium i białą bluzkę, przy czym krój kostiumu i krawat do bluzki przydawały jej takiego wyglądu, jakby miała na sobie mundur. Nigdy nie widziałem munduru kobiet pracujących dla SS. I mnie, i całej publiczności wydawało się jednak, że mamy przed sobą mundur i kobietę, która pracowała w nim dla SS, która zrobiła wszystko to, o co oskarżano

Hannę.

Po chwili publiczność znowu zaczęła szeptać. Wielu było wyraźnie oburzonych. Uważali, że Hanna zakpiła z procesu, wyroku, jak również z tych, którzy przyszli na jego ogłoszenie. Było coraz głośniej, kilka osób zawołało w kierunku Hanny, co o niej sądzi. Aż na salę wszedł sąd i po zirytowanym spojrzeniu rzuconym na Hannę przewodniczący ogłosił wyrok. Hanna wysłuchiwała go na stojąco, wyprostowana, bez najmniejszego ruchu. Podczas odczytywania uzasadnienia wyroku siedziała. Nie odrywałem oczu od jej głowy i karku.

Odczytywanie trwało kilka godzin. Kiedy rozprawa się skończyła i wyprowadzano oskarżone, czekałem, aż Hanna ku mnie spojrzy. Siedziałem tam gdzie zawsze. Ona patrzyła jednak przed siebie, jej wzrok wszystko przenikał. Wyniosły, zraniony, zagubiony i nieskończenie zmęczony wzrok. Wzrok, który nikogo i nic nie chce widzieć.

Część Trzecia

Lato po procesie spędziłem w bibliotece uniwersyteckiej. Przychodziłem, gdy otwierano czytelnię, a wychodziłem, gdy ją zamykano. W weekendy uczyłem się w domu. Poświęciłem się wyłącznie nauce, uczyłem się tak zawzięcie, że uczucia i myśli, które proces znieczulił, nadal pozostawały znieczulone. Unikałem wszelkich kontaktów. Wyprowadziłem się z domu i wynająłem pokój. Odpychałem od siebie nielicznych znajomych, którzy zagadywali mnie w czytelni albo podczas przypadkowych wyjść do kina.

Podczas semestru zimowego moje zachowanie niewiele się zmieniło. Mimo to zapytano mnie, czy w okresie świąt Bożego Narodzenia nie chcę pojechać z grupą studentów na narty do schroniska górskiego. Zgodziłem się ze zdziwieniem.

Nie byłem dobrym narciarzem. Lubiłem jednak jazdę na nartach i jeździłem szybko, dorównując w tym dobrym narciarzom. Czasami podczas zjazdów, które właściwie przerastały moje możliwości, narażałem się na upadki i złamania. Robiłem to świadomie. Innego ryzyka, które podjąłem i którego w końcu nie zdołałem uniknąć, w ogóle nie dostrzegłem.

Nigdy nie było mi zimno. Podczas gdy inni jeździli na nartach w swetrach i kurtkach, ja jeździłem w samej koszuli. Oni kiwali na ten widok głowami, żartowali ze mnie. Nawet ich zatroskanych ostrzeżeń

nie brałem jednak poważnie. Nie było mi po prostu zimno. Kiedy zacząłem kaszleć, przypisałem to austriackim papierosom. Kiedy zacząłem gorączkować, czułem się w tym stanie cudownie. Byłem słaby i jednocześnie lekki, a moje wrażenia zmysłowe były w przyjemny sposób przytłumione, miękkie, pulchne. Unosiłem się w przestworzach.

Po jakimś czasie dostałem wysokiej gorączki i zabrano mnie do szpitala. Kiedy z niego wyszedłem, znieczulenie przestało działać. Wszystkie pytania, obawy, oskarżenia i wyrzuty wobec samego siebie, całe przerażenie i ból, które pojawiły się nagle podczas procesu i zaraz zostały przygłuszone, znowu wróciły, tym razem na zawsze. Nie wiem, jaką diagnozę stawiają lekarze, kiedy ktoś nie marznie, chociaż powinien. Moja własna diagnoza jest taka, że znieczulenie musiało najpierw zawładnąć moim ciałem, zanim mnie opuściło, zanim ja mogłem się go pozbyć.

Kiedy zakończyłem studia i rozpocząłem aplikację, nadeszło lato ruchu studenckiego. Interesowałem się historią i socjologią i jako aplikant bywałem jeszcze tak często na uniwersytecie, że mogłem być świadkiem tego wszystkiego. Być świadkiem, nie znaczy współuczestniczyć – wyższe uczelnie, ich reforma, były mi ostatecznie tak samo obojętne, jak Vietcong i Amerykanie. Jeśli chodzi o trzeci, właściwy temat ruchu studenckiego, rozrachunek z nazistowską przeszłością, to w stosunku do innych studentów czułem taki dystans, że nie miałem ochoty razem z nimi agitować i demonstrować.

Czasami myślę, że rozrachunek z nazistowską przeszłością nie był przyczyną, lecz jedynie przejawem konfliktu pokoleń, który wyczuwało się jako siłę napędową ruchu studenckiego. Oczekiwania rodziców, od których każde pokolenie musi się wyzwolić, straciły rację bytu po prostu dlatego, że ci rodzice zawiedli w Trzeciej Rzeszy albo najpóźniej po jej klęsce. Jak mieli nakazywać coś swoim dzieciom ci, którzy popełnili nazistowskie zbrodnie, patrzyli na nie biernie lub odwracali od nich wzrok albo po 1945 roku tolerowali w swoim gronie przestępców czy ich nawet akceptowali. Z drugiej strony nazistowska przeszłość była tematem również dla tych dzieci, które nie mogły albo nie chciały robić swoim rodzicom żadnych zarzutów. Dla nich rozrachunek z nazistowską przeszłością nie miał charakteru konfliktu pokoleń, lecz był właściwym problemem.

Niezależnie od tego, czy pod względem moralnym i prawnym zbiorowa wina istnieje, czy nie – dla studentów mojego pokolenia była ona przeżyta rzeczywistością. Nie dotyczyła tylko tego, co się działo w Trzeciej Rzeszy. Fakt, że żydowskie nagrobki smarowano swastykami, że tylu starych nazistów porobiło karierę w sądach, administracji publicznej i uniwersytetach, że Republika Federalna nie uznała państwa izraelskiego, że emigracja i ruch oporu w mniejszym stopniu były obecne w przekazie historycznym niż konformizm – to wszystko napawało nas wstydem, nawet gdy mogliśmy wskazać winnych palcem. Wskazywanie winnych palcem nie uwalniało od

wstydu. Pozwalało jednak przewyciężyć cierpienie z jego powodu. Biernie cierpienie wywołane wstydem przemieniało w energię, aktywność, agresję. A rozrachunek z rodzicami, na których ciążyła wina, był w szczególny sposób naładowany energią.

Ja na nikogo nie mogłem wskazać palcem. Nawet na rodziców, nie mogłem im bowiem nic zarzucić. Gorliwość w dochodzeniu prawdy, z jaką niegdyś jako uczestnik seminarium o obozach koncentracyjnych skazałem ojca na wstyd, przeszła mi, budziła zażenowanie. A to wszystko, co zrobili inni z mojego otoczenia i przez co ściągnęli na siebie winę, nie było z pewnością aż tak straszne, jak to, co zrobiła Hanna. Musiałem właściwie wskazać na Hannę. Jednakże palec wskazujący na Hannę odwracał się w moją stronę. Ja ją kochałem. Ja ją nie tylko kochałem, ja ją wybrałem. Próbowałem sobie tłumaczyć, że wybierając Hannę, nie wiedziałem nic o tym, co zrobiła. Próbowałem to w sobie wmówić i powrócić do stanu niewinności, w jakim znajdują się dzieci, które kochają swoich rodziców. Jednak miłość do rodziców jest jedyną miłością, za którą nie ponosi się odpowiedzialności.

A może jest się odpowiedzialnym nawet za miłość do rodziców. Wówczas zazdrościłem tym studentom, którzy zerwali z rodzicami, a tym samym z całym pokoleniem przestępców, osób przyglądających się biernie i odwracających wzrok, tolerujących i akceptujących, i przez to pokonali jeżeli nie wstyd, to przynajmniej cierpienie z jego powodu. Skąd brał się jednak ten wyniosły bezkrytycyzm, z którym się u nich tak

często spotykałem? Jak można odczuwać winę i wstyd, a jednocześnie wynosić się bezkrytycznie nad innych? Czy zerwanie z rodzicami było tylko retoryką, szumem, hałasem, który miał zagłuszyć fakt, że przez miłość do rodziców doszło nieodwołalnie do uwikłania się w ich winę?

To są późniejsze refleksje. Nawet w późniejszym czasie nie stały się one pociechą. Jak mogło pocieszać to, że cierpienie z powodu miłości do Hanny było w pewnym sensie losem mojego pokolenia, niemieckim losem, i trudniej niż innym było mi przed nim uciec i go zignorować. Mimo wszystko wyszłoby mi to na dobre, gdybym mógł się wówczas czuć przynależny do swojego pokolenia.

Ożeniłem się, gdy byłem aplikantem. Z Gertrud poznaliśmy się w schronisku górskim. Kiedy pod koniec ferii wszyscy inni wyjechali, ona została, czekając, aż wyjdę ze szpitala, by mogła mnie ze sobą zabrać. Ona także była prawnikiem; razem studiowaliśmy, razem zdaliśmy egzamin i razem zostaliśmy aplikantami. Pobraliśmy się, kiedy Gertrud spodziewała się dziecka.

Nie opowiadałem jej nic o Hannie. Kto chce, pomyślałem, słuchać o wcześniejszych związkach drugiego, jeśli nie jest ich treścią? Gertrud była mądra, pracowita, lojalna i jeśli nasze życie polegałoby na prowadzeniu chłopskiego gospodarstwa z licznymi parobkami i dziewczkami do pomocy, z licznymi dziećmi, jeśli musielibyśmy wtedy dużo pracować i nie mielibyśmy dla siebie czasu, byłoby to spełnione i szczęśliwe życie. Naszym życiem było jednak trzypokojowe mieszkanie w nowym budownictwie na przedmieściu, nasza córka Julia i praca w charakterze aplikantów. Nigdy nie potrafiłem zaniechać porównywania bycia z Gertrud z byciem z Hanną i gdy trzymaliśmy się z Gertrud w ramionach, często miałem uczucie, że coś się nie zgadza, że z nią coś nie jest w porządku, że nie jest odpowiednia w dotyku, że nie tak pachnie i smakuje. Myślałem, że to minie. Miałem nadzieję, że tak się stanie. Chciałem się uwolnić od Hanny. Jednak poczucie, że coś się nie zgadza, nigdy nie znikło.

Rozwiedliśmy się, kiedy Julia miała pięć lat. Obydwoje nie mogliśmy już dłużej wytrzymać, odeszliśmy bez goryczy i nadal łączyła nas lojalność. Męczyło mnie to, że odmawialiśmy Julii poczucia bezpieczeństwa, którego sobie wyraźnie życzyła. Kiedy Gertrud i ja byliśmy sobie bliscy, związani uczuciowo, Julia płała się w tym jak ryba w wodzie. Była w swoim żywiole. Kiedy wyczuwała między nami napięcia, biegała od jednego do drugiego, zapewniając, że jesteśmy kochani i ona nas kocha. Chciała mieć braciszka, cieszyłaby się chyba również, gdyby miała więcej rodzeństwa. Długo nie mogła pojąć, co oznacza rozwód, i gdy przychodziłem w odwiedziny, chciała, żebym został, a kiedy ona mnie odwiedzała, żeby Gertrud jej towarzyszyła. Gdy odchodziłem, ona patrzyła przez okno. Wsiadałem do samochodu, widziałem jej smutne spojrzenie i pękało mi serce. I miałem uczucie, że to, czego jej odmawialiśmy, było nie tylko jej życzeniem, że miała do tego prawo. Rozwódząc się, oszukaliśmy ją i pozbawiliśmy jej tego prawa, a fakt, że zrobiliśmy to obopólnie, nie dzielił winy na połowę.

Późniejsze związki od początku próbowałem lepiej układać. Wyznałem sam przed sobą, że kobieta musi być w dotyku trochę jak Hanna, trochę jak ona pachnieć i smakować, żeby nasze współżycie grało. Zacząłem także opowiadać o Hannie. Innym kobietom więcej opowiadałem również o sobie, niż to było w przypadku Gertrud; same miały sobie wytłumaczyć to, co w moim zachowaniu i moich nastrojach mogło im się wydawać dziwne. Jednak kobiety nie chciały dużo słyszeć.

Pamiętam Helen, amerykańskiego literaturoznawcę, która bez słowa gładziła mnie uspokajająco po plecach, kiedy opowiadałem, i tak samo bez słowa gładziła uspokajająco dalej, kiedy skończyłem opowiadać. Gesina, psychoanalityk, była zdania, że powinienem przeanalizować swój stosunek do matki. Czy nie zwróciłem uwagi na to, że w mojej historii matka prawie nie występuje? Hilke, dentystka, ciągle pytała o czas, zanim nasze drogi się zeszły, szybko zapominała jednak, co jej opowiadałem. Dlatego dałem temu znowu spokój. Ponieważ o prawdziwości tego, co się mówi, świadczy to, co się robi, można zrezygnować z mówienia.

Kiedy zdawałem drugi egzamin państwowy, egzamin pisemny, zmarł profesor, który zorganizował seminarium o obozach koncentracyjnych. Gertrud natknęła się w gazecie na nekrolog. Pogrzeb miał się odbyć na cmentarzu Bergfriedhof. Zapytała, czy nie chcę się tam wybrać?

Nie chciałem. Pogrzeb był w czwartek po południu, a w czwartek i piątek przed południem miałem pisać prace egzaminacyjne. Poza tym nie byliśmy sobie z profesorem szczególnie bliscy. I nie lubiłem pogrzebów. Nie chciałem także, żeby cokolwiek przypomniało mi proces.

Było już jednak za późno. Wspomnienia zostały obudzone i kiedy w czwartek wyszedłem po egzaminie, czułem się tak, jakbym miał spotkanie z przeszłością, którego nie mogłem opuścić.

Pojechałem tramwajem, czego zazwyczaj nie robiłem. Już samo to było spotkaniem z przeszłością, jak powrót do znajomego miejsca, które zmieniło swój wygląd. Kiedy Hanna pracowała w spółce tramwajowej, jeździły składy z dwoma albo trzema wagonami, na początku i końcu każdego wagonu znajdowały się platformy ze stopniami, na które można było jeszcze wskoczyć, gdy tramwaj już ruszył, i przez skład biegła linka, za pomocą której konduktor dzwonił, dając sygnał do odjazdu. Latem platformy wagonów były odkryte. Konduktor sprzedawał, dziurkował i kontrolował bilety, wykrzykiwał stacje, sygnalizował

odjazd, miał oko na dzieci, które tłoczyły się na platformach, wymyślał na pasażerów wskakujących i zeskakujących z tramwaju i zabraniał wsiadać do pełnego wagonu. Konduktorzy byli weseli, żartobliwi, poważni, mrukliwi, opryskliwi i zależnie od tego, jaki konduktor miał temperament lub usposobienie, taka atmosfera panowała często w tramwaju. Jakie to niemądre, że po nieudanej niespodziance na trasie do Schwetzingen nie miałem odwagi wypatrzeć Hanny w roli konduktorki.

Wsiadłem do składu tramwajowego bez konduktora i pojechałem na Bergfriedhof. Był chłodny jesienny dzień z bezchmurnym, mglistym niebem i żółtym słońcem, które już nie grzeje i oko może spoglądać na nie bez bólu. Przez chwilę musiałem szukać grobu, przy którym odbywały się uroczystości pogrzebowe. Chodziłem pod wysokimi, gołymi drzewami wśród starych nagrobków. Od czasu do czasu spotykałem cmentarnego ogrodnika albo starszą kobietę z podlewaczką i sekatorem w ręku. Było zupełnie cicho, już z daleka usłyszałem więc kościelną pieśń, którą śpiewano nad grobem profesora.

Stałem na uboczu, mierząc wzrokiem małe grono żałobników. Niektórzy spośród nich byli najwidoczniej odludkami i dziwakami. W mowach poświęconych życiu i twórczości profesora dawało się wyczuć, że on sam uwolnił się od ograniczeń nakładanych przez społeczeństwo, tracąc z nim przy tym kontakt, pozostał niezależny i stał się odludkiem.

Poznałem byłego uczestnika seminarium o obozach koncentracyjnych; zdał egzamin przede mną, najpierw został adwokatem, a później właścicielem knajpy i przyszedł w długim czerwonym płaszczu. Zagadnął mnie, kiedy było już po wszystkim, a ja zmierzałem w kierunku cementarnej bramy. – Byliśmy razem na seminarium – już nie pamiętasz?

– Pamiętam. – Podaliśmy sobie dłonie.

– Ja byłem na procesie w każdą środę, czasami zabierałem cię samochodem. – Zaśmiał się. – Ty byłeś tam co dzień, co dzień i co tydzień. Możesz mi teraz powiedzieć dlaczego? – Popatrzył na mnie dobrodusznie, z napięciem w oczach, a mnie się przypomniało, że już podczas seminarium zwróciłem uwagę na ten wzrok.

– Ten proces bardzo mnie interesował.

– Bardzo interesował cię proces? – Znowu się zaśmiał. – Proces czy oskarżona, w którą się bez przerwy wpatrywałeś? Ta jedna, wyglądająca nienajgorzej? My wszyscy zadawaliśmy sobie pytanie, co jest między tobą a nią, ale nikt nie miał odwagi zapytać o to ciebie. Byliśmy wtedy straszliwie delikatni i taktowni. Pamiętasz... – Przypomniał innego uczestnika seminarium, który się jąkał albo seplenił, mówił dużo i głupio, a my słuchaliśmy go tak, jakby jego słowa były szczerym złotem. Zaczął mówić o kolejnych uczestnikach seminarium, jacy byli wówczas i co robią dzisiaj. Opowiadał i opowiadał. Wiedziałem jednak, że na koniec zapyta mnie raz jeszcze: – No, tak, a co było w końcu

między tobą a tą oskarżoną? – A ja nie wiedziałem, co miałem wtedy odpowiedzieć, jak zaprzeczyć, przyznać się, uniknąć odpowiedzi.

Po chwili dotarliśmy do cmentarnej bramy i on rzeczywiście zadał to pytanie. Z przystanku ruszał akurat tramwaj, zawołałem „cześć” i zacząłem biec, jakbym mógł wskoczyć na stopień wagonu. Biegłem obok tramwaju, uderzając rozpostartą dłońią w jego drzwi, i zdarzyło się coś, w co w ogóle nie wierzyłem, na co wcale nie liczyłem. Tramwaj zatrzymał się, drzwi się otworzyły, a ja wsiałem do wagonu.

Po aplikacji musiałem zdecydować się na jakiś zawód. Nie spieszyłem się z tym; Gertrud zaraz zaczęła pracować jako sędzia, miała pełne ręce roboty, byliśmy więc zadowoleni, że mogłem zostać w domu i troszczyć się o Julię. Kiedy Gertrud pokonała trudny początek, a Julia poszła do przedszkola, decyzja nagliła.

Nie było to dla mnie proste. Nie widziałem siebie w żadnej z ról, w których podczas procesu przeciw Hannie oglądałem prawników. Oskarżenie wydawało mi się tak samo groteskowym uproszczeniem, jak obrona, a wśród tych uproszczeń sędziowanie było w ogóle najbardziej groteskowe. Nie widziałem siebie również w roli urzędnika zatrudnionego w administracji; jako aplikant pracowałem w urzędzie powiatowym i jego pokoje, korytarze, zapach i pracownicy wydali mi się szarzy, sterylni i ponurzy.

Pozostał już w związku z tym niewielki wybór prawniczych zawodów i nie wiem, co bym zrobił, gdyby pewien profesor historii prawa nie zaproponował mi u siebie pracy. Gertrud powiedziała, że to ucieczka, ucieczka przed wyzwaniem i odpowiedzialnością, jakie trzeba przyjmować w życiu, i miała rację. Uciekłem i poczułem ulgę, że mogłem uciec. To przecież nie na wieki, powiedziałem jej i sobie; jestem jeszcze dość młody, żeby po kilku latach historii prawa podjąć każdy konkretny prawniczy zawód. Tak już jednak zostało; po pierwszej

ucieczce nastąpiła kolejna, kiedy z uniwersytetu przenieśliem się do pewnej placówki badawczej, szukając i znajdując tam niszę, w której mogłem poświęcić się zainteresowaniom związanym z historią prawa, nikogo nie potrzebując i nikomu nie przeszkadzając.

Uciec nie znaczy tylko skądś odejść, lecz również dokądś dotrzeć. A przeszłość, do której dotarłem jako historyk prawa, nie była w mniejszym stopniu wypełniona życiem niż teraźniejszość. Nie jest również tak, jak mogłaby przypuszczać osoba stojąca z boku, że ktoś obserwuje jedynie minioną pełnię życia, uczestnicząc w teraźniejszej. Zajmować się historią oznacza budować pomosty między przeszłością a teraźniejszością, obserwować obydwie brzegi i być na nich aktywnym. Jednym z moich zagadnień badawczych było prawo w Trzeciej Rzeszy i w tym przypadku widać szczególnie wyraźnie, jak przeszłość i teraźniejszość zlewają się w jedną życiową rzeczywistość. Ucieczka nie jest tu zajmowaniem się przeszłością, lecz właśnie zdecydowaną koncentracją na teraźniejszości i przyszłości, ślepej na dziedzictwo przeszłości, które wycisnęło na nas swoje piętno i z którym musimy żyć.

Nie chcę przy tym skrywać zadowolenia, jakie czerpię z zanurzania się w przeszłości, której znaczenie dla teraźniejszości nie jest takie duże. Po raz pierwszy odczuwałem je, zajmując się projektami ustaw i ustawami z czasu odrodzenia. Wypełniała je wiara, że świat jest stworzony do dobrego porządku i w związku z tym będzie go można dobrze uporządkować. Byłem uszczęśliwiony, widząc, jak pod wpływem

tej wiary tworzone artykuły jako uroczystych strażników dobrego porządku i jak łączono je w ustawach, które chciały być piękne i swym pięknem dowodzić zawartej w nich prawdy. Przez długi czas myślałem, że w historii prawa nastąpił postęp, rozwój w kierunku zapewniającym więcej piękna, prawdy, racjonalności i humanizmu mimo straszliwych klęsk i regresji. Odkąd stało się dla mnie jasne, że to przekonanie jest złudą, zajmuje mnie inna wizja przebiegu historii prawa. Według tej wizji historia ma wprowadzić określony cel, jednak ów cel, jaki osiąga po wielorakich wstrząsach, zamętach i zaślepieniach, jest jej początkiem, od którego musi zaczynać ciągle na nowo, ledwo zdoła do niego dotrzeć.

Wtedy przeczytałem ponownie „Odyseję”, którą pierwszy raz czytałem w szkole i zachowałem w pamięci jako historię powrotu do domu. Nie jest to jednak historia powrotu. Jak Grecy, którzy wiedzą, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, mogliby wierzyć w powrót? Odyseusz nie wraca po to, żeby zostać w domu, lecz by ponownie wyruszyć w drogę. „Odyseja” jest historią ruchu, który ma wytknięty cel i jest zarazem bezcelowy, uwieńczony sukcesem i daremny. Czymże innym jest historia prawa?

Zacząłem od „Odysei”. Czytałem ją po rozstaniu z Gertrud. Przez wiele nocy spałem tylko po kilka godzin; leżałem rozbudzony, kiedy jednak zapalałem światło i brałem do ręki książkę, oczy mi się zamykały, a kiedy odkładałem książkę i gasiłem światło, znowu nie mogłem spać. Dlatego zacząłem czytać na głos. Wtedy oczy mi się nie zamykały. A ponieważ podczas bezładnego, przetykanego wspomnieniami i marzeniami, zataczającego męczące kręgi rozmyślania, pół na jawie, pół we śnie, o moim małżeństwie, mojej córce, w moim życiu Hanna ciągle dominowała, czytałem dla niej. Czytałem dla Hanny i nagrywałem dla niej kasety.

Zanim je wysłałem, upłynęło wiele miesięcy. Najpierw czekałem, aż nagram całą „Odyseję”, nie chciałem bowiem wysłać pojedynczych części. Później ogarnęły mnie wątpliwości, czy „Odyseja” zainteresuje Hannę w odpowiednim stopniu, i nagrałem to, co czytałem po niej, opowiadania Schnitzlera i Czechowa. Z kolei zwlekałem z zadzwonieniem do sądu, przez który Hanna została skazana, żeby się dowiedzieć, gdzie odbywała karę. Wreszcie zebrałem wszystko: adres Hanny w więzieniu w pobliżu miasta, w którym zrobiono jej proces i ją skazano, magnetofon kasetowy oraz ponumerowane kasety, od Czechowa, Schnitzlera do Homera. W końcu wysłałem paczkę z magnetofonem i kasetami.

Niedawno znalazłem zeszyt, w którym zapisywałem, co nagrałem dla Hanny w ciągu lat. Dwanaście pierwszych tytułów zostało najwidoczniej zanotowanych równocześnie; z początku czytałem prawdopodobnie co popadnie, dopiero później zdałem sobie sprawę, że bez notatek nie zapamiętam, co już czytałem. Przy kolejnych tytułach można znaleźć czasami jakąś datę, jednak nawet bez dat wiem, że pierwszą przesyłkę posłałem Hannie w ósmym, a ostatnią w osiemnastym roku więzienia. W osiemnastym roku przychyłono się do jej prośby o ułaskawienie.

Nadal czytałem Hannie na głos to, co sam chciałem akurat przeczytać. Podczas głośnego czytania „Odysei” nie było mi z początku łatwo przyswajać treść z taką koncentracją, jak podczas cichego czytania dla siebie. To minęło. Negatywną stroną głośnego czytania było zawsze to, że trwało dłużej. Za to przeczytana na głos treść silniej tkwiła w pamięci. Jeszcze dziś niektóre rzeczy bardzo dobrze pamiętam.

Czytałem na głos również to, co już znałem i lubiłem. W ten sposób Hanna dostała do posłuchania wiele z Kellera i Fontanego, Heinego i Morikego. Długo nie miałem odwagi przeczytać na głos wierszy, później sprawiało mi to jednak dużą przyjemność i nauczyłem się wielu z nich. Potrafię powiedzieć je z pamięci jeszcze dziś.

Tytuły zawarte w zeszycie świadczą w sumie o wielkim naturalnym zaufaniu do mieszczańskiej edukacji. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek zadawał sobie pytanie, czy nie powinienem wyjść poza Kafkę, Frischa, Johnsona, Bachmann, Lenza i przeczytać na głos

literaturę eksperymentalną, literaturę, w której nie dostrzegam historii i nie lubię żadnej z postaci. Było dla mnie jasne, że literatura eksperymentalna eksperymentuje z czytelnikiem, a to nie było potrzebne ani Hannie, ani mnie.

Przeczytałem jej i to, co napisałem, kiedy sam zacząłem pisać. Wstrzymywałem się wtedy z czytaniem, dopóki nie przedyktowałem na taśmę odręcznego manuskryptu, nie przepracowałem manuskryptu przepisane na maszynie i nie miałem uczucia, że teraz był gotowy. Czytając go głośno, przekonywałem się, czy to poczucie nie myliło. Jeśli tak, mogłem raz jeszcze wszystko przepracować i nagrać nową wersję na starej. Nie lubiłem tego jednak robić. Chciałem zakończyć pracę głośnym czytaniem. Hanna raz jeszcze stała się instancją, dla której mobilizowałem wszystkie moje siły, całą moją kreatywność, całą moją krytyczną fantazję. Później mogłem już wysłać manuskrypt do wydawnictwa.

Na kasetach nie robiłem żadnych osobistych uwag, nie pytałem o Hannę, nie opowiadałem nic o sobie. Czytałem na głos tytuł, nazwisko autora i tekst. Kiedy tekst się skończył, odczekałem chwilę, zamykałem książkę i naciskałem przycisk stop.

W czwartym roku naszego bogatego, skąpego w słowa kontaktu nadeszło pozdrowienie. – „Chłopczyku, ostatnia historia była bardzo piękna. Dziękuję. Hanna”.

Papier był liniowany, wyrwana z liniowanego zeszytu kartka z obciętymi do równa brzegami. Pozdrowienie znajdowało się u samej góry i zapełniało trzy linijki. Napisane było niebieskim, brudzącym długopisem. Hanna prowadziła go z dużą siłą; pismo przebijało na odwrotnej stronie. Również w napisanie adresu włożyła sporo siły; jego odbicie można było odczytać na dolnej i górnej połowie złożonego równo papieru.

Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że to dziecinne pismo. Jednak to, co w piśmie dzieci jest niezdarne i nieudolne, tutaj było wymuszone. Widać było opór, jaki Hanna musiała pokonać, żeby połączyć linie w litery, a litery w słowa. Dziecięca ręka chce zboczyć to tu, to tam i trzeba ją utrzymywać na torze pisania. Rękę Hanny trzeba było zmuszać, by posuwała się do przodu, sama nie chciała bowiem nigdzie podążać. Linie formujące litery ciągle się urywały; przy kreskach w górę i w dół, przed zakolami i zakrętami. Każda litera była na nowo wywalczona, napisana to ukośnie, to znów prosto, często miała także nieodpowiednią wysokość i szerokość.

Przeczytałem jej słowa i ogarnęło mnie uniesienie, radość. „Ona

pisze, ona pisze!” Zapoznałem się ze wszystkim, co w ciągu tych lat udało mi się znaleźć na temat analfabetyzmu. Wiedziałem o bezradności towarzyszącej analfabecie w codziennym życiu, przy poszukiwaniu drogi i adresu albo wybieraniu potrawy w restauracji, o lękości, z jaką kieruje się on ustanowionymi wzorami i sprawdzoną rutyną, o energii, jakiej wymaga ukrywanie nieumiejętności czytania i pisania, które oddala od właściwego życia. Analfabetyzm jest niepełnoletnością. Zdobywając się na odwagę nauki czytania i pisania, Hanna zrobiła krok z niepełnoletności do pełnoletności, oświeceniowy krok.

Później przyglądałem się pismu Hanny i widziałem, ile wysiłku i walki kosztowało ją pisanie. Byłem z niej dumny. Jednocześnie ogarnął mnie smutek na myśl o niej, na myśl o jej spóźnionym i chybionym życiu, na myśl o opóźnieniach i chybieniach w życiu w ogóle. Pomyślałem, że jeśli przegapi się odpowiedni moment, jeśli ktoś zbyt długo czegoś odmawiał, jeśli komuś zbyt długo czegoś odmawiano, to na to jest już za późno, nawet jeśli w końcu człowiek zabiera się do tych rzeczy z energią i przyjmuje je z radością. Czy może nie ma „za późno”, jest tylko „późno” i zawsze „lepiej późno niż wcale”? Nie wiem.

Po pierwszym pozdrowieniu zaczęły regularnie przychodzić następne. Zawsze było to tylko kilka linijek: podziękowanie, życzenie, że chce usłyszeć coś jeszcze tego samego autora albo nie chce już słyszeć nic więcej, uwaga o jakimś pisarzu, wierszu, historii lub postaci z powieści, spostrzeżenie z więzienia. „Na dziedzińcu kwitną już forsycje” albo

„cieszę się, że w tym roku jest takie burzowe lato”, albo „widzę przez okno, jak patki zbierają się do odlotu na południe” – często dopiero obserwacje Hanny zwracały moją uwagę na forsycje, letnie burze czy klucze ptaków. Jej spostrzeżenia na temat literatury były często zadziwiająco trafne. „Schnitzler szczeka, Stefan Zweig jest martwym psem” lub „Kellerowi potrzebna jest kobieta”, lub „wiersze Goethego są jak małe obrazy w pięknych ramach”, lub „Lenz na pewno pisze na maszynie”. Ponieważ nic nie wiedziała o autorach, wychodziła z założenia, że to ludzie żyjący współcześnie, chyba że było to wykluczone ponad wszelką wątpliwość. Byłem zdumiony, ile starszej literatury da się rzeczywiście czytać tak, jakby była dzisiejsza, i kto nie zna historii, w warunkach życia panujących w dawnych czasach tym bardziej może upatrywać warunki życia dalekich stron.

Ja nigdy nie pisałem do Hanny. Nadal dla niej jednak czytałem. Kiedy przez rok przebywałem w Ameryce, stamtąd posyłałem jej kasety. Gdy wyjeżdżałem na urlop albo miałem bardzo dużo pracy, kolejna kasetka mogła być gotowa dopiero po dłuższym czasie; nie przyjąłem żadnego stałego rytmu, kasety wysyłałem czasem raz na tydzień albo czternaście dni, a czasem dopiero po trzech, czterech tygodniach. Nie zastanawiałem się nad tym, że teraz, kiedy Hanna nauczyła się czytać, były już może zbędne. Mogła sobie zresztą czytać, ile chciała. Głośna lektura była moim sposobem mówienia do niej, z nią.

Zachowałem wszystkie jej pozdrowienia. Pismo ulega zmianie.

Z początku zmusza litery do utrzymywania jednakowego ukośnego kierunku, by były odpowiednio wysokie i szerokie. Kiedy mu się to udaje, nabiera lekkości i pewności. Wprawnym nie staje się nigdy. Zyskuje jednak coś z surowego piękna właściwego pismu ludzi starszych, którzy w życiu mało pisali.

Nie zastanawiałem się wówczas nad tym, że pewnego dnia Hanna wyjdzie na wolność. Wymiana pozdrowień i kaset stała się czymś tak normalnym, zwyczajnym, a Hanna była mi w tak niewiązący sposób zarówno bliska, jak i daleka, że taki stan mógłbym utrzymywać w nieskończoność. To było wygodne i egoistyczne, ja wiem.

Po jakimś czasie nadszedł list od kierowniczkki więzienia.

„Już od lat wymienia Pan z panią Schmitz korespondencję. Jest to jedyny kontakt, jaki pani Schmitz utrzymuje ze światem zewnętrznym, dlatego zwracam się do Pana, chociaż nie wiem, jak silne więzy Państwa łączą, czy jest Pan krewnym, czy przyjacielem.

W przyszłym roku pani Schmitz ponownie złoży prośbę o ułaskawienie i wychodzę z założenia, że komisja ułaskawiająca przychyli się do niej. Wtedy w krótkim czasie wyjdzie na wolność – po osiemnastu latach więzienia. Możemy oczywiście postarać się dla niej, względnie spróbować się postarać o mieszkanie i pracę; w jej wieku z pracą będzie trudno, chociaż jest jeszcze całkiem zdrowa i w naszej szwalni wykazuje się dużą zręcznością. Zawsze jest jednak lepiej, gdy troszczą się o to krewni lub przyjaciele, mają osobę wypuszczoną na wolność w pobliżu siebie, towarzyszą jej i ją wspierają. Nie może Pan sobie wyobrazić, jak samotnym i bezradnym można być w świecie na zewnątrz po osiemnastu latach więzienia.

Pani Schmitz umie sobie dość dobrze radzić i bez pomocy też znajdzie na wszystko sposób. Wystarczyłoby, gdyby znalazł Pan dla niej małe mieszkanie i pracę, w pierwszych tygodniach i miesiącach mógł ją od czasu do czasu odwiedzić albo zaprosić i zadbał o to, by zapoznała się z programami parafii, wszechnicy, placówki edukacji rodziny itd. Poza tym po osiemnastu latach nie jest łatwo wyjść pierwszy raz do miasta, zrobić zakupy, załatwić sprawy w urzędach, pójść do restauracji. W towarzystwie przychodzi to łatwiej.

Zauważyłam, że nie odwiedza Pan pani Schmitz. Gdyby było inaczej, nie pisałabym do Pana, lecz poprosiłabym na rozmowę przy okazji którejś wizyty. Teraz nie ma innego wyjścia, musi ją Pan odwiedzić przed wypuszczeniem na wolność. Proszę przy tej okazji koniecznie do mnie zajrzeć”.

List kończyły serdeczne pozdrowienia, których nie odniosłem do siebie, lecz powiązałem z faktem, że ta sprawa leżała kierownicze na sercu. Słyszałem już o niej, prowadzony przez nią zakład uchodził za wyjątkowy, a jej głos miał wagę w sprawach reformy systemu penitencjarnego. Podobał mi się ten list.

Nie podobało mi się tylko to, co na mnie czekało. Musiałem się oczywiście zatroszczyć o pracę i mieszkanie i to zresztą zrobiłem. Przyjaciele, którzy ani nie korzystali, ani nie wynajmowali odrębnego mieszkania w swoim domu, gotowi byli oddać je Hannie za niewielki czynsz. Grecki krawiec, u którego poprawiałem czasem ubrania, chciał

ją zatrudnić; siostrę, która wraz z nim prowadziła zakład krawiecki, ciągnęło do Grecji. Już wcześniej, zanim Hanna mogła cokolwiek z tym począć, postarałem się o programy kościelnych i świeckich placówek w dziedzinie społecznej i edukacyjnej. Wizytę u niej jednak odkładałem.

Właśnie dlatego, że w tak niewiążący sposób była mi zarówno bliska, jak i daleka, nie chciałem jej odwiedzać. Miałem uczucie, że tym, kim dla mnie była, mogła pozostać jedynie w realnym oddaleniu. Bałem się, że ten mały, lekki, bezpieczny świat pozdrowień i kaset jest zbyt sztuczny i drażliwy, żeby mógł wytrzymać rzeczywistą bliskość. Jak mieliśmy się spotkać twarzą w twarz, żeby przy tym nie powróciło wszystko to, co było między nami.

Tak przeszedł rok, a ja nie byłem w więzieniu. Od kierowniczką przez długi czas nie miałem żadnej wiadomości; list, w którym napisałem o sytuacji mieszkaniowej i zatrudnieniowej oczekującej Hannę, pozostał bez odpowiedzi. Liczyła chyba na to, że będzie mogła ze mną porozmawiać przy okazji moich odwiedzin u Hanny. Nie mogła wiedzieć, że nie tylko odkładałem tę wizytę, lecz się od niej wymigiwałem. W końcu zapadła jednak decyzja, że Hanna ma zostać ułaskawiona i wypuszczona na wolność, i kierowniczką do mnie zadzwoniła. Zapytała, czy teraz mogę przyjechać? Za tydzień Hanna wychodzi.

Odwiedziłem ją w najbliższą niedzielę. Była to moja pierwsza wizyta w więzieniu. Przy wejściu zostałem skontrolowany, a po drodze otwierano i zamykano na klucz liczne drzwi. Wewnątrz nowego, jasnego budynku drzwi były jednak otwarte i kobiety mogły się tam swobodnie poruszać. Na końcu korytarza jedne z drzwi wychodziły na zewnątrz, na małą zapełnioną ludźmi łąkę z drzewami i ławkami. Rozejrzałem się badawczo. Strażniczka, która mnie prowadziła, wskazała na pobliską ławkę w cieniu kasztanowca.

Hanna? Kobieta na ławce była Hanną? Siwe włosy, twarz z głębokimi poprzecznymi bruzdami na czole, policzkach i wokół ust, o ciężałe ciało. Miała na sobie zbyt ciasną, opinającą na piersiach, brzuchu i udach jasnoniebieską sukienkę. Dłonie, w których trzymała książkę, spoczywały na podołku. Nie czytała. Sponad wąskich okularów zakładanych do czytania przyglądała się kobiecie, która kilku wróblom rzucała jeden okrucz chleba za drugim. Po chwili poczuła, że ktoś ją obserwuje, i odwróciła do mnie twarz.

Widziałem jej twarz wypełnioną nadzieją, widziałem, jak się rozjaśniała, kiedy mnie zobaczyła, widziałem jej oczy obszukujące moją twarz, kiedy się zbliżałem, widziałam szukające, pytające oczy, patrzące niepewnie i drażliwie i widziałem, jak jej twarz gasła. Kiedy stanąłem przy niej, uśmiechała się uprzejmym, zmęczonym uśmiechem. – Urosłeś,

chłopczyku. – Usiadłem obok niej, a ona wzięła moją dłoń.

Dawniej w szczególny sposób lubiłem jej zapach. Zawsze pachniała świeżością: świeżą bielizną, świeżym potem, świeżo po umyciu lub świeżo po kochaniu. Czasami używała perfum, nie wiem jakich, jednak nawet ich zapach był świeższy niż cokolwiek. Pod tymi świeżymi zapachami utrzymywała się jeszcze inna woń, ciężki, ponury, cierpki zapach. Często ją obwąchiwałem jak jakiś ciekawski zwierzak, zaczynałem od szyi i ramion, które pachniały świeżo po umyciu, między piersiami wchłaniałem świeży zapach potu, który pod pachami mieszał się z tym innym zapachem, ów ciężki, ponury zapach odnajdywałem wokół talii i brzucha niemal w czystej postaci, a między nogami z soczystym zabarwieniem, które mnie podniecało, obwąchiwałem również jej nogi i stopy, uda, na których ten ciężki zapach się rozpraszał, zagłębienia pod kolanami, raz jeszcze z lekkim świeżym zapachem potu, i stopy pachnące mydłem, skórą lub zmęczeniem. Plecy i ramiona nie miały żadnego szczególnego zapachu, nie pachniały niczym, a jednak pachniały nią, a w zagłębieniach dłoni gromadził się zapach dnia i pracy: czarna farba drukarska biletów, metal dziurkacza, cebula, ryba albo stopiony tłuszcz, ług lub żar żelazka. Umyte dłonie nie zdradzają początkowo nic z tych rzeczy. Jednak mydło przytłumia jedynie zapachy, które po chwili znowu się pojawiają, w słabym natężeniu, stopione w jednym zapachu dnia i pracy, w zapachu końca dnia i pracy, wieczoru, powrotu do domu i przebywania w nim.

Siedziałem obok Hanny i czułem zapach starej kobiety. Nie wiem, co się składa na ten zapach, po którym poznaję babki i stare ciotki i który w pokojach i korytarzach domów starców wisi w powietrzu niczym przekleństwo. Hanna była na niego za młoda.

Przysunąłem się bliżej. Zdałem sobie sprawę, że ją przed chwilą rozczarowałem, chciałem to teraz naprawić.

– Cieszę się, że wychodzisz.

– Naprawdę?

– Naprawdę, i cieszę się, że będziesz w pobliżu. – Opowiedziałem jej o mieszkaniu i pracy, którą dla niej znalazłem, o programach kulturalnych i inicjatywach społecznych w dzielnicy, o bibliotece miejskiej. – Dużo czytasz?

– Tak sobie. Przyjemniej jest słuchać, gdy ktoś inny czyta na głos. – Spojrzała na mnie. – Z tym teraz koniec, nieprawda?

– Dlaczego ma być z tym koniec? – Nie widziałem jednak siebie nagrywającego dla niej kasety albo spotykającego się z nią i czytającego jej na głos. – Tak się ucieszyłem i tak cię podziwiałem, że nauczyłaś się czytać. A jakie wspaniałe listy do mnie pisałaś! – To była prawda. Podziwiałem ją i cieszyłem się, że czytała i że do mnie pisała. Czułem jednak, w jak niewielkim stopniu mój podziw i radość przystawały do tego, co musiała kosztować Hannę nauka czytania i pisanie, jakże były mizerne, skoro nie skłoniły mnie nawet do odpisania jej, odwiedzenia, porozmawiania z nią. Przyznałem Hannie małą niszę, niszę, która była

dla mnie na pewno ważna, która coś mi dawała i dla której coś robiłem, lecz nie miejsce w swoim życiu.

Dlaczego jednak miałbym przyznawać jej w swoim życiu jakieś miejsce? Oburzyłem się na wyrzuty sumienia, które ogarnęły mnie na myśl, że umieściłem ją w niszy. – Czy przed procesem nigdy właściwie nie myślałaś o tym, co zostało poruszone w czasie procesu? To znaczy, czy nigdy o tym nie myślałaś, gdy byliśmy razem, gdy ci czytałem?

– Czy to ci nie daje spokoju? – Nie czekała jednak na odpowiedź. – Zawsze miałam uczucie, że i tak nikt mnie nie rozumie, że nikt nie wie, kim jestem i co mnie do tego czy owego skłoniło. Wiesz, jeśli nikt cię nie rozumie, to nikt nie może od ciebie żądać zdania rachunku. Nawet sąd nie mógł tego żądać. To mogą robić tylko umarli. Oni rozumieją. Nie musieli nawet być przy wszystkim obecni, skoro jednak byli, rozumieją w szczególny sposób. Tu w więzieniu wiele ze mną przebywali. Przychodzili co noc, czy ich chciałam, czy nie. Kiedy chcieli przyjść przed procesem, mogłam ich jeszcze przegonić.

Czekała, aż coś powiem, mnie nic nie przychodziło jednak do głowy. W pierwszej chwili chciałem odpowiedzieć, że ja nie potrafię nic przegonić. To nie była jednak prawda; przegania się kogoś nawet wtedy, kiedy umieszcza się go w niszy.

– Jesteś żonaty?

– Byłem. Gertrud i ja jesteśmy od wielu lat po rozwodzie, a nasza córka mieszka w internacie; mam nadzieję, że przez ostatnie lata szkoły

tam nie zostanie, lecz będzie chciała przeprowadzić się do mnie. – Teraz ja czekałem, aż coś powie lub o coś zapyta. Ona jednak milczała. – Przyjadę po ciebie w przyszłym tygodniu, dobrze?

– Dobrze.

– Bez rozgłosu, czy może być trochę wrzawy i śmiechu?

– Bez rozgłosu.

– Dobrze, przyjadę po ciebie bez rozgłosu, bez muzyki i szampana.

Wstałem, ona też się podniosła. Spojrzeliśmy na siebie. Zadzwoniono dwa razy, pozostałe kobiety poszły już do budynku. Jej oczy znowu zaczęły obszukiwać moją twarz. Wziąłem ją w ramiona, w dotyku była jednak nijaka.

– Trzymaj się, chłopczyku.

– Ty też.

W ten sposób pożegnaliśmy się, jeszcze zanim musieliśmy się rozstać wewnątrz budynku.

Następny tydzień był szczególnie pracowity. Nie wiem już, czy znajdowałem się pod presją czasową w związku z wykładem, nad którym pracowałem, czy sam wywierałem na siebie presję ze względu na pracę i sukces.

Wizja, z jaką zasiadłem do wykładu, nie była nic warta. Kiedy zacząłem ją sprawdzać, tam, gdzie spodziewałem się sensu i prawidłowości, natykałem się na jedną przypadkowość po drugiej. Zamiast się z tym pogodzić, szukałem dalej gorączkowo, zawzięcie, bojaźliwie, jakby wraz z moją wizją rzeczywistości ona sama zaczęła schodzić na manowce, i byłem gotów przekręcać, wyolbrzymiać lub bagatelizować wszelkie wnioski. Popadłem w stan dziwnego niepokoju, zasypiałem wprawdzie, kiedy kładłem się późno do łóżka, po kilku godzinach byłem jednak zupełnie rozbudzony, dopóki nie zdecydowałem się wstać i dalej czytać lub pisać.

Robiłem również wszystko, co było konieczne, przygotowując wyjście Hanny z więzienia. Urządziłem jej mieszkanie, wstawiając do niego meble z IKEI i kilka starych sprzętów, zapowiedziałem jej przybycie u greckiego krawca i zaktualizowałem informacje o programach w dziedzinie społecznej i edukacyjnej. Zrobiłem zapasy żywności, wstawiłem książki na regał i powiesiłem obrazy. Sprowadziłem ogrodnika, który zadbał o mały ogród otaczający taras

położony przed dużym pokojem. Również i to robiłem dziwnie gorączkowo i zawzięcie; to wszystko przerastało moje siły.

Było jednak na tyle spraw, że nie musiałem myśleć o wizycie u Hanny. Tylko czasami, gdy jechałem samochodem, siedziałem zmęczony przy biurku, leżałem bezsennie w łóżku lub przebywałem w mieszkaniu Hanny, opanowywała mnie myśl o tym spotkaniu, wyzwalając wspomnienia. Widziałem ją na ławce ze wzrokiem skierowanym na mnie, widziałem ją na basenie z twarzą zwróconą w moją stronę i znowu miałem uczucie, że ją zdradziłem i zawiniłem wobec niej. I znowu oburzałem się na to uczucie, oskarżałem ją, uważałem, że sposób, w jaki wymigała się od winy, był tani i prosty. Pozwolić jedynie umarłym domagać się zdania rachunku, zredukować winę i pokutę do złego spania i przykrych snów – a co z żyjącymi? Przy tym nie miałem jednak na myśli żyjących, lecz siebie. Czy nie powinienem był również zażądać od niej zdania rachunku? Co ze mną?

Dzień wcześniej, zanim miałem po nią pojechać, zadzwoniłem po południu do więzienia. Najpierw rozmawiałem z kierowniczką.

– Jestem trochę zdenerwowana. Wie pan, po tak długim uwięzieniu nie zwalniamy zwykle nikogo, kto nie przebywał wcześniej na zewnątrz przez kilka godzin lub dni. Pani Schmitz się przed tym wzbraniała. Jutro nie będzie jej łatwo.

Połączono mnie z Hanną.

– Zastanów się, co mamy jutro robić. Czy chcesz zaraz jechać do

siebie do domu, czy pojedziemy do lasu albo nad rzekę?

– Zastanowię się. Nadal jesteś wielkim planowniczym, nieprawda?

To mnie rozzłościło. Tak jak zawsze mnie złościło, gdy moje kobiety mówiły mi czasem, że nie jestem dość spontaniczny, kieruję się nadto rozumem zamiast emocjami.

Wyczuła w moim milczeniu tę złość i się zaśmiała. – Nie denerwuj się, chłopczyku, nic złego nie miałam na myśli.

Hanna, którą spotkałem na ławce, była starą kobietą. Wyglądała jak stara kobieta i miała taki zapach. W ogóle nie zwróciłem uwagi na jej głos. Jej głos był nadal bardzo młody.

Następnego dnia Hanna nie żyła. Powiesiła się o brzasku. Kiedy przyszedłem, zaprowadzono mnie do kierowniczkii. Zobaczyłem ją wtedy po raz pierwszy: małą, szczupłą kobietę w okularach z włosami ciemnoblon. Sprawiała niepozorne wrażenie, dopóki nie zaczęła mówić, z siłą, ciepłem, surowym wzrokiem i energicznymi ruchami dłoni i ramion. Zapytała mnie o rozmowę telefoniczną z ostatniego wieczoru i spotkanie tydzień wcześniej. Czy coś przeczuwałem, czegoś się obawiałem. Zaprzeczyłem. Nie było zresztą żadnego przeczucia ani obawy, które bym stłumił.

– Skąd państwo się znacie?

– Mieszkaliśmy w pobliżu. – Spojrzała na mnie badawczo, wtedy zdałem sobie sprawę, że muszę powiedzieć coś więcej. – Mieszkaliśmy w pobliżu, poznaliśmy się i zaprzyjaźnili. Jako młody student uczestniczyłem później w procesie, podczas którego została skazana.

– Dlaczego posyłał pan pani Schmitz kasety?

Milczałem.

– Wiedział pan, że była analfaberką, nieprawda? Skąd pan o tym wiedział?

Wzruszyłem ramionami. Nie rozumiałem, co ją obchodzi nasza historia. W piersi i gardle czułem ucisk, bałem się, że nie zdołam nic powiedzieć. Nie chciałem przy niej płakać.

Chyba zauważyła, co się ze mną dzieje. – Proszę ze mną, pokażę panu celę pani Schmitz. – Szła przodem, ciągle się jednak odwracając, żeby mi coś opowiedzieć albo wyjaśnić. Tutaj był zamach terrorystyczny, tutaj jest szwalnia, w której pracowała Hanna, tutaj Hanna prowadziła kiedyś strajk okupacyjny, dopóki nie skorygowano cięć w środkach przeznaczonych dla biblioteki, tędy idzie się do biblioteki. Zatrzymała się przed celą. – Pani Schmitz nie spakowała swoich rzeczy. Zobacz pan celę taką, w jakiej żyła.

Łóżko, szafa, stół z krzesłem, nad stołem na ścianie regał, a w kącie za drzwiami umywalka i klozet. Zamiast okna szklane kostki. Stół był pusty. Na regale znajdowały się książki, budzik, szmaciany miś, dwa kubki, kawa w proszku, puszki na herbatę, magnetofon kasetowy, a w dwóch dolnych przegródkach nagrane przeze mnie kasety.

– To nie wszystkie. – Kierowniczką podążała za moim wzrokiem. – Pani Schmitz zawsze pożyczała kilka kaset organizacji wspomagającej niewidome więźniarki.

Podszedłem do regału. Primo Levi, Elie Wiesel, Tadeusz Borowski, Jean Amery – literatura ofiar obok autobiograficznych zapisków Rudolfa Hossa, relacja Hannah Arendt o Eichmannie w Jerozlimie i literatura naukowa o obozach koncentracyjnych.

– Czy Hanna to czytała?

– Książki zamawiała w każdym razie z rozmysłem. Już wiele lat temu musiałam się postarać dla niej o ogólną bibliografię dotyczącą obozów

koncentracyjnych, później, przed rokiem lub dwoma laty, poprosiła, żebym jej wskazała książki o kobietach w obozach, więźniarkach i strażniczkach. Napisałam do Instytutu Historii Najnowszej i otrzymałam odpowiednią, wybraną bibliografię. Kiedy pani Schmitz nauczyła się czytać, zaraz zaczęła czytać o obozach koncentracyjnych.

Nad łóżkiem wisiało sporo małych zdjęć i kartek. Uklęknąłem na nim i zacząłem czytać. Były to cytaty, wiersze, krótkie informacje, jak również przepisy kulinarne; Hanna notowała je lub tak jak obrazki wycinała z gazet i czasopism. „Wiosna znowu trzepece w przestworzach niebieską wstęgą”, „Cienie chmur umykają polami” – wszystkie wiersze przepełnione były zachwytem nad przyrodą i tęsknotą za nią, na obrazkach widoczny był jasny, wiosenny las, kolorowa, ukwiecona łąka, jesienne liście i pojedyncze drzewa, pastwisko nad strumieniem, wiśnia z dojrzałymi, czerwonymi owocami, płonący żółcią i kolorem pomarańczowym jesienny kasztanowiec. Jedna z gazetowych fotografii ukazywała starszego i młodszego mężczyznę w ciemnych garniturach podających sobie dłonie; w młodszym, który skłaniał się przed starszym, rozpoznałem siebie. Byłem wtedy maturzystą, podczas uroczystości na zakończenie matury dyrektor wręczył mi nagrodę. Hanny nie było wtedy w mieście już od dłuższego czasu. Czy nie umiając czytać, prenumerowała wówczas lokalną gazetę, w której ukazała się ta fotografia? Musiała zadać sobie niemało trudu, żeby dowiedzieć się o tym zdjęciu i je zdobyć. Czy w czasie procesu miała je przy sobie?

W piersi i gardle znowu poczułem ucisk.

– Uczyła się czytać razem z panem. Wypożyczała w bibliotece książki, które nagrał pan na kasety, i śledziła słowo po słowie, zdanie po zdaniu, wszystko to, co wcześniej usłyszała. Magnetofon kasetowy nie wytrzymał długo częstego włączania i wyłączania, przewijania taśmy w przód i tył, ciągle się psuł, bez przerwy trzeba go było naprawiać, a ponieważ to wymaga zgody, w końcu się dowiedziałam, co robiła pani Schmitz. Początkowo nie chciała o tym mówić, kiedy jednak zaczęła również pisać i poprosiła mnie o książkę z odręcznym pismem, nie próbowała już nic skrywać. Była po prostu dumna, że jej się udało, i chciała podzielić się swoją radością.

Kiedy kierowniczką mówiła, klęczałem nadal ze wzrokiem utkwionym w zdjęciach i kartkach i powstrzymywałem łzy. Gdy się odwróciłem i usiadłem na łóżku, powiedziała: – Ona tak na to liczyła, że pan do niej napisze. Dostawała przesyłki tylko od pana i kiedy rozdzielano pocztę, a ona pytała: „Nie ma do mnie listu?” – to nie miała na myśli paczuszki, w której przychodziły kasety. Dlaczego pan nigdy nie napisał?

Ciągle milczałem. Nie zdołałbym nic powiedzieć, mógłbym tylko jękać się i płakać.

Podeszła do regału, sięgnęła po puszkę na herbatę, usiadła obok mnie i wyjęła z kieszeni kostiumu złożoną kartkę papieru. – Zostawiła mi list, coś w rodzaju testamentu. Przeczytam panu to, co pana dotyczy. –

Rozłożyła kartkę. „W fioletowej puszcze po herbacie są jeszcze pieniądze. Niech je Pani da Michaelowi Bergowi; razem z 7000 marek, które znajdują się na koncie w Sparkasse, powinien je przekazać córce, która wraz z matką przeżyła pożar w kościele. Niech ona zdecyduje co z tym zrobić. I niech mu Pani powie, że go pozdrawiam”.

Nie pozostawiła mi więc żadnej wiadomości. Chciała mnie zranić? Chciała mnie ukarać? A może jej dusza była tak zmęczona, że zdołała zrobić i napisać tylko to, co najkonieczniejsze? – Jaka ona była przez te wszystkie lata – zapytałem po chwili, gdy znowu mogłem mówić – i jaka była przez ostatnie dni?

– Przez wiele lat żyła tu jak w klasztorze. Jakby dobrowolnie wycofała się w to miejsce i poddała panującym tu regułom, jakby dość monotonna praca była czymś w rodzaju medytacji. U innych kobiet, w stosunku do których była uprzejma, ale zachowywała dystans, cieszyła się szczególnym uznaniem. Więcej, miała autorytet, pytano ją o radę, kiedy były problemy, a gdy włączyła się w spór, akceptowano to, co zdecydowała. Dopóki nie spisała się na straty, to było kilka lat temu. Zawsze dbała o siebie, przy silnej posturze była jednak szczupła i cechowała ją pedantyczna czystość, którą celebrowała. Teraz zaczęła dużo jeść, rzadko się myła, przybrała na wadze i miała przykry zapach. Nie robiła przy tym wrażenia osoby nieszczęśliwej lub niezadowolonej. Było właściwie tak, jakby zamknięcie się w klasztorze już nie wystarczało, jakby nawet w klasztorze panowała jeszcze zbyt

towarzyska i plotkarska atmosfera, jakby musiała wycofać się w związku z tym w takie miejsce odosobnienia, w którym nikt człowieka nie widzi i wygląd, ubranie, zapach nie mają już znaczenia. Nie, to źle powiedziane, że spisała się na straty.

Na nowo określiła swoje miejsce, określiła je w sposób, który jej odpowiadał, nie robił już jednak wrażenia na innych kobietach.

– A podczas ostatnich dni?

– Była taka jak zawsze.

– Czy mogę ją zobaczyć?

Skinęła głową, nie ruszyła się jednak z miejsca. – Czy podczas lat samotności świat może się stać dla kogoś tak nieznośny? Czy lepiej się zabić, niż wrócić do świata z klasztoru, z pustelni? – Zwróciła się do mnie. – Pani Schmitz nie napisała, dlaczego odebrała sobie życie. A pan nie mówi, co było między wami i doprowadziło może do tego, że pani Schmitz popełnia samobójstwo w nocy, zanim nastaje dzień, w którym chciał pan ją zabrać? – Złożyła kartkę, wsunęła ją do kieszeni, wstała i wygładziła spódnicę. – Wie pan, jej śmierć mnie dotyka i w tej chwili jestem zła, na panią Schmitz i na pana. Chodźmy jednak.

Znowu szła przodem, tym razem bez słowa. Hanna leżała w małym pomieszczeniu na oddziale dla chorych. Zmieściliśmy się akurat między ścianą a noszami. Kierowniczką odwinęła prześcieradło.

Hannie obwiązano głowę chustą, żeby podtrzymać jej brodę, aż do zdrętwienia ciała. Twarz nie była ani szczególnie spokojna, ani

szczególnie umęczona. Wyglądała drętwo i martwo. Kiedy przyglądałem się jej przez dłuższy czas, spod martwej twarzy zaczęła przeświecać żywa, spod starej młoda. Coś takiego musi się przytrafiać starym małżeństwom, pomyślałem; dla niej w starym mężczyźnie żyje młody, a on w starej kobiecie widzi piękno i urok młodej. Dlaczego nie widziałem tej przeświecającej twarzy przed tygodniem?

Nie musiałem płakać. Kiedy po chwili kierowniczka spojrzała na mnie pytająco, skinąłem głową, a ona rozłożyła prześcieradło na twarzy Hanny.

Zanim wypełniłem misję Hanny, nastąpiła jesień. Córka mieszkała w Nowym Jorku, więc przy okazji kongresu w Bostonie zawiozłem jej pieniądze: czek na kwotę zgromadzoną na książeczkę oszczędnościowej i puszkę po herbacie z gotówką. Napisałem do niej, przedstawiając się jako historyk prawa i wspominając o procesie, że byłbym wdzięczny, gdybym mógł z nią porozmawiać. Zaprosiła mnie na herbatę.

Z Bostonu do Nowego Jorku pojechałem pociągiem. Lasy tonęły w przepychu brązu, żółci, koloru pomarańczowego, czerwono-brązowego i brązowo-czerwonego oraz płonącej, połyskującej czerwieni klonu. Przypomniały mi się jesienne obrazki w celi Hanny. Kiedy znużył mnie stukot kół i kołysanie wagonu, przyśniła mi się Hanna wraz ze mną w domu wśród jesiennych kolorowych wzgórz, przez które jechał pociąg. Hanna była starsza niż wtedy, gdy ją poznałem, i młodsza niż wtedy, gdy ją spotkałem ponownie, starsza ode mnie, jeszcze piękniejsza niż dawniej, wraz z wiekiem coraz bardziej opanowana w ruchach i coraz lepiej czująca się we własnej skórze. Widziałem, jak wysiadała z samochodu i brała na ręce torby z zakupami, widziałem, jak szła do domu przez ogród, widziałem, jak odstawiała torby i wchodziła przede mną po schodach. Tęsknota za Hanną była tak silna, że sprawiała ból. Broniełem się przed tą tęsknotą, zarzucałem jej, że zupełnie mija się z rzeczywistością Hanny i moją, z realiami naszego wieku, warunkami

naszego życia. Jak Hanna, która nie mówiła po angielsku, miała żyć w Ameryce? Poza tym nie umiała prowadzić samochodu.

Obudziłem się i zaraz wiedziałem, że Hanna nie żyła. Wiedziałem także, że ta tęsknota przyłgnęła do niej, choć ona nie była jej przedmiotem. Była to tęsknota za powrotem do domu.

Córka mieszkała w Nowym Jorku przy małej ulicy niedaleko Central Park. Ulica otoczona była po obydwu stronach starymi szeregowymi domami z ciemnego piaskowca; ich schody z tego samego piaskowca prowadziły na pierwszą kondygnację. Przez to powstawał surowy obraz: dom za domem, niemal jednakowe fasady, schody za schodami, przydrożne drzewa posadzone dopiero niedawno w regularnych odstępach z rzadkimi żółtymi liśćmi na cienkich gałęziach.

Córka podała herbatę przed dużymi oknami z widokiem na małe ogródki w kwadracie domów, raz zielone, kolorowe, to znów ze zbieraniną rupieci. Kiedy usiedliśmy, herbata została rozlana, cukier dodany i zamieszany, zaraz przeszła z angielskiego, w którym mnie powitała, na niemiecki. – Co pana do mnie sprowadza? – Nie pytała ani uprzejmie, ani nieuprzejmie; jej ton był niezwykle rzeczowy. Wszystko w jej osobie robiło rzeczowe wrażenie: postawa, gestykulacja, ubranie. Twarz miała dziwnie nieokreślony wiek. Tak wyglądają twarze po operacji plastycznej. Być może zastygła ona jednak pod wpływem wczesnego cierpienia – daremnie usiłowałem sobie przypomnieć jej twarz podczas procesu.

Opowiedziałem o śmierci Hanny i jej misji.

– Dlaczego ja?

– Przypuszczam, że dlatego, iż jest pani jedyną osobą, która przeżyła.

– Co mam z tym zrobić?

– Co tylko uważa pani za stosowne.

– I dać tym samym rozgrzeszenie pani Schmitz?

W pierwszej chwili chciałem zaprzeczyć, jednak Hanna rzeczywiście dużo wymagała. Lata więzienia miały być nie tylko nałożoną pokutą; Hanna sama chciała im nadać sens i przez ten nadany przez siebie sens zyskać uznanie. Powiedziałem to.

Potrząsnęła głową. Nie wiedziałem, czy chciała przez to odrzucić moją interpretację, czy odmówić Hannie uznania.

– Czy nie może pani wyrazić jej uznania, nie udzielając rozgrzeszenia?

Zaśmiała się. – Pan ją lubi, nieprawda? Jaki był właściwie wasz wzajemny stosunek?

Wahałem się przez chwilę. – Byłem jej lektorem. To się zaczęło, gdy miałem piętnaście lat, i było kontynuowane, kiedy ona siedziała w więzieniu.

– Jak pan...

– Posyłałem jej kasety. Pani Schmitz prawie przez całe życie była analfabetką; dopiero w więzieniu nauczyła się czytać i pisać.

– Dlaczego pan to wszystko robił?

– Kiedy miałem piętnaście lat, byliśmy ze sobą blisko.

– To znaczy, spaliście ze sobą?

– Tak.

– Jakże ta kobieta była brutalna. Jak pan uporał się z tym, że w wieku piętnastu lat... Nie, sam pan mówi, że zaczął pan na nowo dla niej czytać, kiedy była w więzieniu. Czy pan się kiedykolwiek ożenił?

Skinąłem głową.

– I małżeństwo było krótkie i nieszczęśliwe, nie ożenił się pan powtórnie, a dziecko, jeśli w ogóle istnieje, przebywa w internacie.

– Tak jest w przypadku tysięcy osób; do tego nie potrzeba pani Schmitz.

– Czy w ostatnich latach, utrzymując z nią kontakt, miał pan kiedykolwiek uczucie, że ona wiedziała, co panu zrobiła?

Wzruszyłem ramionami. – Wiedziała na pewno, co zrobiła innym ludziom, w obozie i podczas marszu. Nie tylko mi o tym mówiła, w ostatnich latach więzienia intensywnie się tym zajmowała. – Zrelacjonowałem jej, co opowiedziała mi kierowniczka zakładu.

Podniosła się i zaczęła przemierzać pokój dużymi krokami tam i z powrotem. – O jaką kwotę chodzi?

Podszedłem do wieszaka na ubrania, przy którym zostawiłem torbę, i po chwili wróciłem z czekiem i puszką. – Proszę.

Spojrzała na czek, potem położyła go na stole. Otworzyła puszkę, wysypała jej zawartość, znowu zamknęła i trzymała w dłoniach,

utkwivszy w niej wzrok. – Będąc dziewczynką, miałam puszkę po herbacie na swoje skarby. Nie taką jak ta, chociaż te puszki już wówczas istniały, tylko taką z cyrylicyckim pismem i nakładaną, a nie wciskaną przykrywką. Dowiozłam ją do obozu, tam mi ją pewnego dnia skradziono.

– Co było w środku?

– Co miało być. Lok naszego pudła, bilety na opery, na które zabrał mnie ojciec, pierścioneł w pudełeczku wygrany gdzieś lub znaleziony – skradziono mi tę puszkę nie ze względu na jej zawartość. Sama puszka i to, co można było z nią zrobić, miało w obozie dużą wartość. – Postawiła puszkę na czeku. – Ma pan propozycję, jak spożytkować te pieniądze? Przeznaczenie ich na coś, co ma związek z holocaustem, byłoby w moim odczuciu naprawdę czymś w rodzaju rozgrzeszenia, którego ani nie mogę, ani nie chcę udzielać.

– Na rzecz analfabetów, którzy chcą się uczyć czytać i pisać. Na pewno istnieją społeczne fundacje, zrzeszenia, towarzystwa, którym można by dać te pieniądze.

– Na pewno takie istnieją. – Zamyśliła się.

– Czy są też analogiczne żydowskie zrzeszenia?

– Może pan być pewien, że jeśli istnieją zrzeszenia działające na jakąś rzecz, to są też takie żydowskie organizacje. Jednak analfabetyzm to nie jest akurat żydowski problem.

Podsunała mi czek i pieniądze.

– Zróbmy tak. Pan się dowie, jakie odpowiednie żydowskie instytucje istnieją, tutaj lub w Niemczech, i przekaże pieniądze na konto tej organizacji, która wyda się panu najbardziej przekonująca. Jeśli uznanie jest tak ważne – zaśmiała się – może pan przecież przelać pieniądze w imieniu Hanny Schmitz.

Wzięła ponownie puszkę do ręki. – Ja zatrzymam puszkę.

Od tego wszystkiego minęło już dziesięć lat. W pierwszych latach po śmierci Hanny dręczyły mnie dawne pytania: czy się jej wyparłem i ją zdradziłem, czy pozostałem jej w czymś dłużny, czy byłem winny, kochając ją, czy i jak miałem się od niej odciąć, uwolnić. Czasami zadawałem sobie pytanie, czy jestem odpowiedzialny za jej śmierć. A czasami byłem wściekły na nią i na to, co mi zrobiła. Dopóki wściekłość nie osłabła, a pytania nie straciły na znaczeniu. Niezależnie od tego, co zrobiłem albo czego nie zrobiłem, co ona mi zrobiła – tak potoczyło się po prostu moje życie.

Zamiar spisania naszej historii powziąłem wkrótce po śmierci Hanny. Od tego czasu ta historia wielokrotnie sama pisała się w mojej głowie, za każdym razem trochę inaczej, za każdym razem wypełniona nowymi obrazami, strzępami akcji i myśli. W ten sposób obok wersji, którą spisałem, istnieje jeszcze wiele innych. Rękojmię tego, że wersja spisana jest właściwa, stanowi fakt, że to ją napisałem, a nie inne. Wersja spisana chciała zostać spisana, wiele innych wersji tego nie chciało.

Początkowo chciałem spisać naszą historię po to, żeby się od niej uwolnić. Jednak w tym celu wspomnienia się nie zjawiały. Później zdałem sobie sprawę, że nasza historia zaczyna mi się wymykać z rąk i chciałem ją sprowadzić przez pisanie, ale i to nie zwabiło wspomnień. Od kilku lat zostawiam ją w spokoju. Pogodziłem się z nią. I dlatego

wróciła, szczegół po szczególe, w jakiś sposób doskonała, spójna, ukierunkowana, tak że nie wprawia mnie już w smutek. Co za smutna historia, myślałem przez długi czas. Nie oznacza to, żebym teraz myślał, iż jest szczęśliwa. Sądzę jednak, że odpowiada prawdzie i że w porównaniu z tym pytanie, czy jest smutna, czy szczęśliwa, nie ma żadnego znaczenia.

Tak w każdym razie myślę, gdy tak po prostu o niej rozmyślam. Kiedy ktoś mnie jednak zrani, znowu powracają tamte urazy, kiedy czuję się winny, tamto poczucie winy i w dzisiejszej tęsknocie, dzisiejszej nostalgii wyczuwam tamtą tęsknotę i nostalgię. Warstwy naszego życia przylegają do siebie tak ściśle, że w późniejszych zdarzeniach zawsze napotykały wcześniejsze, nie jako sprawy odłożone na bok, zamknięte, lecz coś, co jest teraźniejsze i żywe. Rozumiem, że tak jest, lecz czasem wydaje mi się to trudne do zniesienia. Być może jednak dlatego spisałem naszą historię, gdyż chcę się od niej uwolnić, nawet jeśli nie mogę.

Pieniądze Hanny zaraz po powrocie z Nowego Jorku przekazałem pod jej nazwiskiem Jewish League Against Illiteracy. Dostałem krótki, napisany na komputerze list, w którym Jewish League dziękował Ms. Hannie Schmitz za datek. Z tym listem w kieszeni pojechałem na cmentarz na grób Hanny. Stałem wtedy nad jej grobem pierwszy i ostatni raz.